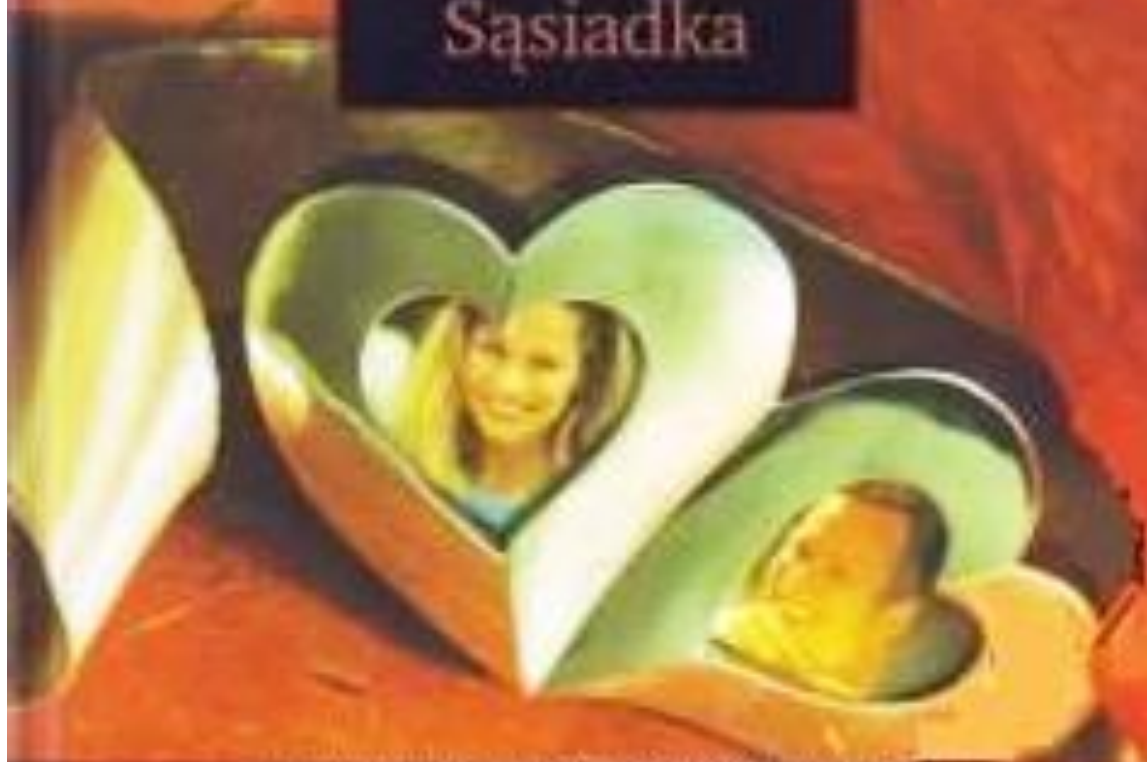


READER'S DIGEST POLECA • MISTRZOWIE POWIEŚCI

Barbara  
Delinsky

Droga  
nad  
urwiskiem

Skandal  
Sąsiadka



READER'S DIGEST POLECA • MISTRZOWIE POWIEŚCI

*Delinsky Barbara*

*Droga nad urwiskiem*

*Rachel Keats i Jack McGill po dziesięciu latach małżeństwa rozwodzą się i tracą ze sobą kontakt. Sześć lat później Rachel ulega tragicznemu wypadkowi i zapada w śpiączkę. Jack początkowo kierując się wyłącznie dobrem ich dwóch córek, jedzie do szpitala. Spędzając tam coraz więcej czasu, stopniowo poznaje o byłej żonie całą prawdę...*

*Małżeństwo może przypominać pełną zakrętów  
drogę biegnącą nad brzegiem Pacyfiku.  
Niektóre małżeństwa rozbijają się o skalisty brzeg.  
Inne będą trwać wiecznie jak sam ocean.*

## PROLOG

KIEDY zadzwonił telefon, Rachel Keats właśnie malowała wydry morskie. Używała farb olejnych i wreszcie udało jej się dobrać odpowiednią czerń na oczy. Nie było mowy, żeby odebrała telefon. Uprzedzała o tym Samantę.

„Dzień dobry. Tu dom Rachel, Samanty i Hope. Proszę zostawić wiadomość i numer telefonu. Oddzwonimy. Dziękuję”.

Przy akompaniamencie serii sygnałów dźwiękowych Rachel naniosła plamkę okrągłym pędzlem. I wtedy rozległ się niski męski głos, zbyt dojrzały, żeby jego właściciel mógł dzwonić do Samanty. Należał do agenta rozprawdzającego bilety na imprezy kulturalne, poleconego przez znajomych.

- Trzymam w ręku trzy bilety na koncert Gartha Brooksa na dzisiejszy wieczór - powiedział. - W San Jose. Znaaakomite miejsca. Rachel rzuciła się do telefonu.

- Biorę!

- Cześć, Rachel. Co porabia moja ulubiona malarka?

- Maluje. Podać ci numer karty kredytowej? Zaczekaj chwilę. Odłożyła na bok słuchawkę, przebiegła przez cały dom aż do kuchni, złapała portfel. Wróciła zdyszana do pracowni, podyktowała numer i rozłączyła się.

Przełknęła mocno ślinę, obrzuciła wzrokiem płótno na sztalugach, następnie sześć innych czekających na dokończenie, podsumowała, ile ją jeszcze czeka roboty w ciągu najbliższych trzech tygodni i uznała, że jest chyba pomyłona.

Nie miała czasu na żaden koncert. Ale dziewczynki dosłownie oszaleją z zachwytu.

Otworzyła okno na oścież, wychyliła się na rześkie leśne powietrze i zawołała:

- Samanta! Hope!

Po chwili córki biegły przez las. Obie z jasnymi włosami rozwianymi na wietrze, który zaróżowił im policzki; i w tym pędzie

Samanta wyglądała zupełnie jak rówieśnica Hope. Jeszcze zanim dobiegły do okna, Rachel doniosłym głosem oznajmiła im nowinę. Ich miny naprawdę były warte sporo więcej niż perspektywa jednej czy dwóch zarwanych nocy.

- Poważnie? - spytała Hope. W jej oczach malowało się niedowierzenie, piegi rozogniły się entuzjazmem, a uśmiech odsłonił zęby wciąż nieco za duże jak na jej dziecinną twarz. Miała trzynaście lat i właśnie wkraczała w okres dojrzewania.

Rachel skinęła z uśmiechem głową.

- Niesamowite - cieszyła się Samanta. Miała piętnaście lat i przewyższała Hope o głowę, a tu i ówdzie rysowały się już jej kobiece kształty.

Hope aż klasnęła z radości.

-1 co? Idziemy na całość? No wiesz... takjak planowałyśmy?

Rachel zupełnie nie miała na ten koncert czasu. Ani pieniędzy. Ale jeżeli jej obrazy zrobią furorę, to pieniądze się znajdą, a co do czasu... życie jest zbyt krótkie. - Jak najbardziej - odparła, bo na pewno Samancie dobrze zrobi oderwanie się od telefonu, Hope oderwanie się od swojej kotki, a może nawet i jej oderwanie się od sztalug.

- Jak rany koguta. Muszę zadzwonić do Lydii - zawołała Samanta.

- Raczej musisz odrobić lekcje - poprawiła ją matka. - Za godzinę ruszamy.

Rachel wróciła jeszcze na godzinę do pracowni, ale zdziałała tam chyba tyle samo, co jej córki. Następnie wszystkie trzy wskoczyły do jej sportowego samochodu i ruszyły na północ. Sklep, o który jej chodziło, znajdował się w drodze do San Jose. Był jeszcze otwarty, a oferował naprawdę świetny wybór. Po półgodzinie wyszły stamtąd w kowbojskich butach, kowbojskich kapeluszach i z uśmiechami szerokimi jak cały Teksas. W San Jose nie doznały bynajmniej zawodu. Były tłumy wielbicieli, światła, dym, no i gwiazdor, który bez przerwy śpiewał swoje największe przeboje.

Jak Rachel mogłaby coś takiego przegapić, skoro Hope i Samanta tańczyły u jej boku? Szalała razem z nimi, kiedy znajome dźwięki zapowiadały kolejny ulubiony szlagier, i przyłączała się do owacji, kiedy się kończył. Wszystkie trzy zdzierały sobie gardła, dopóki nie przebrzmiał ostatni bis, a potem opuściły arenę

ręka w rękę, niczym trzy przyjaciółki, które dziwnym trafem są ze sobą spokrewnione.

To był wyjątkowy wieczór. Rachel upajała się swoim kapeluszem, butami i córkami. A jeśli nawet zaważyła trochę pracę, zrobiła to w dobrej sprawie.

NAZAJUTRZ rano nie miała już tej pewności, kiedy dziewczęta zwlokły się późno z łóżek ledwie żywe i omal nie spóźniły na szkolny autobus. Ale przez cały dzień pracowała jak szalona. Oderwała się tylko raz od sztalug, żeby odebrać córki z przystanku i coś z nimi przekąsić.

Kolejną godzinę spędziła w pracowni. Na wpół przekonana, że wydry morskie są już skończone, przerwała pracę i wstawiła obiad do piecyka, a potem wróciła do pracowni. Zerkając na przemian to na szkic tła, to na fotografię, ostrzem szpachli nadała odpowiednią fakturę farbie na płótnie. Wydry baraszkowały w wodorostach. Niemałym wyzwaniem było wierne oddanie wilgotności futra.

- Mamo, alarm w piecyku już dzwonił - zawołała Hope od progu.

- Dziękuję, kochanie - mruknęła Rachel, maznąwszy jeszcze kilka razy pędzlem. - Bądź tak dobra i wyjmij garnek, a potem zgaś gaz.

- Już zgasłam. - Hope stała teraz przy niej, przyglądała się obrazowi. - Myślałam, że już skończyłaś.

- Coś mi tu nie pasowało. - Cofnęła się o krok, żeby mieć lepszy widok.

Pokiwała z zadowoleniem głową. - Teraz lepiej. - Odłożyła paletę, sięgnęła po szmatkę nasączoną rozpuszczalnikiem, wytarła ręce. - Tylko się ogarnę i już do was przychodzę. - Spojrzała na Hope. - Czy Samanta nakryła do stołu?

- Ja nakryłam.

- A ona znów wisi na telefonie?

-1 to bez przerwy - odparła Hope tak zgryźliwie, że Rachel musiała się roześmiać.

- Będę gotowa za pięć minut - powiedziała i wysłała Hope do kuchni. Zgodnie z zapowiedzią, pięć minut później Rachel podawała lasagne i sałatkę. Dwadzieścia minut później zarządziła, która co sprząta.

Kwadrans później, kiedy już wzięła prysznic

i przebrała się, stanęła i rozejrzała się nerwowo za książką, którą przeczytała w poprzedni weekend.

Przeszukała sypialnię, ale bez powodzenia. Przyszło jej do głowy, że mogła już ją przygotować do zabrania, wróciła więc do kuchni.

- Nie widziałyście tu gdzieś mojej książki? Pamiętam, że miałam ją w ręce.

Córki zmywały po obiedzie.

- Musisz się lepiej zorganizować - rzuciła kąśliwie Samanta. Rachel prawiła im bez ustanku morały na temat dobrej organizacji pracy.

- Żebyś wiedziała - odparła z zadumą. - Ale jakoś ostatnio tyle mi się spiętrzyło spraw.

Ogłędnie powiedziane. Tylko trzy tygodnie dzieliły ją od wernisażu, a już dostawała amoku. Wprawdzie udało się jej trafić w sedno z tymi wydrami, ale musiała jeszcze domalować tło na tym płótnie, a także na sześciu innych, no i oprawić osiemnaście. Poza tym kupić Samancie sukienkę na jej pierwszy bal, przygotować piknik na zakończenie roku szkolnego dla siódmej klasy Hope, zorganizować przyjęcie urodzinowe Benowi Wolfowi, właścicielowi galerii sztuki, z którym się czasem spotykała. Wczoraj wieczorem zaszalała. No więc dzisiaj powinna siedzieć murem w domu. Ale za nic nie przegapiłaby spotkania kółka czytelniczego. Ubóstwiała te kobiety, te książki.

Jak spod ziemi wyrosła przy niej Hope z osowiałą kotką Ginę wrą na rękę. - Chyba leży u ciebie w pracowni.

Rachel zamknęła oczy i przywołała widok pracowni znajdującej się w drugim końcu jej rozłożystego domu. Tak, pamięta

- wychodziła już stamtąd, kiedy coś ją niespodziewanie zawróciło.

Owszem, trzymała książkę w ręce i tam ją odłożyła.

- Dziękuję, kochanie - ujęła oburącz podbródek Hope. Córka miała niepocieszoną minę. - Ginewra wydobrzeje. Zjadła, prawda?

Hope skinęła głową. - A widzisz? To dobry znak. - Pocałowała córkę w czoło. - Pójdę po tę książkę. Bo już jestem spóźniona.

Książka leżała tam, gdzie Rachel ją zostawiła, czyli na rogu dużego stołu. Złapała ją więc czym prędzej i przebiegła znów

przez cały dom. Ucałowała w locie dziewczynki i wreszcie wyszła do samochodu.



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy telefon Jacka McGilla zadzwonił o drugiej nad ranem, jego dźwięk ostro przeciął wyciszony świat zawieszony nocy spowijającej San Francisco.

Zanim Jack chwycił słuchawkę, co najmniej tuzin straszliwych myśli przebiegło mu przez głowę.

- Tak, słucham.

- Czy pan Jack McGill? - spytał nieznany mu głos.

- Przy telefonie.

- Mówi Katherine Evans, koleżanka Rachel. Rachel miała wypadek. Jest w szpitalu w Monterey. Chyba powinien pan przyjechać.

Jack usiadł na łóżku.

- Jaki wypadek?

- Uderzył ją drugi samochód. Zmiótł ją z drogi. Aż go ścisnęło w dołku.

- Z jakiej drogi? Czy były z nią dziewczynki?

- Z autostrady numer jeden. Nie, jechała sama. - Ulga. Przynajmniej dziewczynki są całe i zdrowe. - To się stało pod Rocky Point. Jechała do Carmel. Ten drugi staranował ją z tyłu.

Spuścił nogi na podłogę. Ucisk w dołku jeszcze się nasilił.

- Rachel żyje - ciągnęła jej koleżanka. - Ma tylko kilka złamań, ale jeszcze nie odzyskała przytomności. Lekarze martwią się o jej mózg.

Przejechał ręką po włosach. - A dziewczynki...

- Są w domu. Rachel jechała na spotkanie naszego kółka czytelniczego.

Kiedy nie zjawiła się o dziewiątej, zadzwoniłam do niej do domu.

Samanta powiedziała mi, że wyjechała o siódmej, no więc zadzwoniłam na policję. Na komisariacie dowiedziałam się o wypadku. Zdążono już ustalić tożsamość właścicielki samochodu. Skontaktowałam się telefonicznie z jej sąsiadem, Duncanem Blighem. Poszedł posiedzieć z dziewczynkami.

Nie wiedziałam, czy go poprosić, żeby je przywiózł tutaj, do szpitala. Taka decyzja nie należy do mnie.

Istotnie. Ta decyzja należała do Jacka. Niezależnie od rozwodu był przecież ojcem dziewczynek.

Przytrzymawszy ramieniem słuchawkę przy uchu, sięgnął po dzinsy.

- Już jadę. Zadzwonię do Samanty i Hope z samochodu. Odłożył słuchawkę. - Coś nieprawdopodobnego - mruknął, zaciągając suwak dzinsów i sięgając po koszulę. Wszystko mu się waliło, zarówno w biurze, jak i na placu budowy. Przeżywał koszmar architekta, bo rano powinien być w obu tych miejscach jednocześnie, a do tego jeszcze Jill.

Wieczorem czekało go przyjęcie w celach dobroczynnych, które Jill organizowała od tak dawna. Miał przyjechać po nią o piątej. Ale Rachel jest ranna. Co z tego, skoro nie jesteś już jej mężem - podpowiadał mu głos rozsądku. Nie masz wobec niej zobowiązań. To ona odeszła. Ale jest ranna, i w zależności od tego, co Jack zastanie w Monterey, będzie musiał się zająć dziewczynkami. Ochlapał twarz zimną wodą, umył zęby. Już po chwili był w swojej pracowni - ale raptem tknęła go myśl, dlaczego w ogóle tak jeszcze nazywa to pomieszczenie. Ostatnio służyło mu bardziej jako gabinet do załatwiania spraw niż jako pracownia twórcy. Garstka starych rysunków leżała zagrzebana pod stosem ofert, arkuszy dokumentacyjnych i umów - papierzysk towarzyszących obłędnej liczbie projektów budowlanych w różnych fazach realizacji.

Włożył do walizeczki laptop, tyle niezbędnych dokumentów, ile zmieściło się do środka oraz teczkę z różnymi wersjami projektu w Montanie. Wsadził to wszystko pod pachę i zbiegł na dół. Niebawem wyprowadził swoje bmw z garażu i już gnał ulicą Filbert. Jego reflektory wycinały jasnoszary pokos w czarnej jak sadza nocy, oświetlając niewielki skrawek Russian Hill.

Wystukał po omacku numer w telefonie samochodowym, połączył się z informacją. Mknął już na południe w stronę Van Ness, kiedy dodzwonił się do szpitala w Monterey.

- Moje nazwisko Jack McGill. Niedawno przywieziono do państwa moją żonę, Rachel Keats. Jestem w drodze. Chciałbym dowiedzieć się o stan jej zdrowia.

- Chwileczkę. - Po kilku denerwujących minutach przełączono go do pielęgniarki na ostry dyżur. - Pan McGill? Pańska żona jest na sali operacyjnej. W tej chwili nic więcej nie wiemy.

- Czy odzyskała przytomność?

- Nie była przytomna, kiedy wieziono ją na górę.

- A co to za operacja?

- Czy mógłby pan chwilę poczekać?

- Wolałbym nie... - Nagła cisza z drugiej strony uświadomiła mu, że nie ma wyjścia. Podobnie jak nie miał wyjścia, kiedy Rachel wyprowadziła się sześć lat temu. Poinformowała go, że odchodzi, spakowała dziewczynki i ich rzeczy, kiedy był w podróży służbowej. Wrócił do pustego, dudniącego echem domu, w którym poczuł się równie bezradny i przytłoczony jak teraz. - Pan McGill? - dobiegł go męski głos, lekko zniekształcony w samochodowym głośniku, lecz słyszalny. - Z tej strony doktor Couley. Zajmowałem się pańską żoną, kiedy trafiła do szpitala.

- Na co jest operowana? - wykrzyknął Jack, kurczowo ściskając kierownicę. - Składają jej lewą nogę. Ma złożone złamania, zarówno kości udowej, jak i piszczelowej. Założą jej gwoździe...

- Powiedziano mi, że doznała obrażeń głowy - przerwał lekarzowi. - Czy odzyskała już przytomność?

- Nie. Ma obrzęk mózgu. Jeszcze nie wiemy, jak to się rozwinie. Kiedy pan się tu zjawi? - Właśnie wyjeżdżam z San Francisco.

- Czyli za dwie godziny?

- Mniej - odparł Jack. - Podam panu numer mojej komórki. - Wyterkotał ten numer. - Bardzo proszę o telefon, gdyby coś się zmieniło. Kiedy lekarz obiecał, Jack wystukał kolejny numer. Tym razem zawahał się, zanim wybrał ostatnią cyfrę. Nie wiedział, co powiedzieć dziewczynkom. Nieraz wspominały mu o Duncanie Bli-ghu. Był ranczerem, współwłaścicielem kanionu Rachel. Wypasał owce na łące położonej nad należącym do niej lasem sekwoi. Zarówno łąka, jak i las znajdowały się w paśmie górskim Santa Lucia ciągnącym się na wschód od wybrzeża Big Sur.

Jackowi nie podobał się ten cały Duncan. Drażnił go zachwyty, z jakim dziewczynki mówiły o chacie tego człowieka, o jego brodzie, jego owcach. Zirykowały go ich uśmiešky, kiedy spytał,

czy Rachel się z nim spotyka. Niby wiedział, że córki próbują tylko wywołać jego zazdrość. Sęk w tym, że naprawdę potrafił wyobrazić sobie Rachel z mężczyzną tego pokroju. Górale mają w sobie jakiś nieokiełznany powab. Wprawdzie Jack też nie był ułomkiem. Był wysoki i wysportowany. No, ale nie strzygł owiec ani nie polował na jelenie. Wybrał ostatnią cyfrę. Ledwie przebrzmiał pierwszy dzwonek, w słuchawce rozległo się pospieszne: - Halo?

Podniósł słuchawkę.

- Cześć, Samanto. Tu tata. Wszystko u was w porządku?

- Jak mama?

- Nie wiem - starał się mówić bez cienia zdenerwowania w głosie. -

Dopiero jestem w drodze do szpitala. Przed chwilą rozmawiałem z lekarzem. Zabrali mamę na operację. Chyba ma niezłe połamaną nogę.

- Katherine mówiła, że żebra też.

- Możliwe, ale na razie nastawiają nogę.

- Tatusiu, chciałybyśmy pojechać do szpitala, ale Duncan nie chce nas zabrać.

- Jest teraz u was?

- Tak, zasnął w fotelu. Dam ci go do telefonu. Powiedz mu, żeby nas podwiózł. Duncanie - krzyknęła od telefonu. - Podnieś słuchawkę. Tata chce z tobą porozmawiać.

- Samanto - usiłował ją przywołać Jack.

Dobiegła go jej zagłuszona odpowiedź: - Nie, Hope, mama żyje, za to ta kotka za chwilę wyzionie ducha, jeżeli jej nie puścisz. Za mocno ją ściskasz. Zrobisz jej krzywdę. - Wróciła do Jacka. - Hope chce z tobą porozmawiać.

- Tata? - rozległ się w słuchawce cichutki szept. Jackowi aż się ścisnęło serce. - Cześć, Hope. Jak ty się trzymasz, maleńka?

- Boję się.

- Wiem, ale mama trzyma się dzielnie. Właśnie jadę do szpitala. Więcej dowiem się na miejscu.

- Przyjedź tutaj - poprosił cienki głosik.

- Obiecuję - powiedział. - Ale szpital jest po drodze, więc najpierw zajrzę tam. A kiedy do was dotrę, będę już wiedział coś więcej.

- Powiedz mamie... - urwała.

- Co takiego, maleńka?

Samanta przejęła słuchawkę. - Ona znów ryczy. Porozmawiaj z Duncanem.

- Tu Duncan Bligh - przedstawił się mężczyzna krótko. -1 jak sytuacja?

- Sytuacja wygląda tak, że sam niewiele wiem. Za około godzinę będę w szpitalu. Niech pan ich tu nie przywozi.

- Wcale nie miałem zamiaru.

W tle rozległy się stłumione głosy sprzeciwu, a potem słuchawkę znowu przejęła podenerwowana Samanta. - Tato, ja nie mogę tak tu sterczeć jak idiotka, skoro ona tam leży. Przecież to nasza mama.

- Samanto, mama właśnie przechodzi operację. Nawet gdybyś była w szpitalu, i tak nie mogłabyś się z nią zobaczyć. Jeżeli chcesz coś zrobić, to pomóż siostrze. Ona jest taka rozbita.

-A ja to nie?

Jack istotnie słyszał strach, który dławiał jej głos tuż za fasadą buńczuczności. Ale Samanta była inna niż Hope. Dzielące je zaledwie dwa lata w metrykach zakrawały dosłownie na lata świetlne, jeżeli chodzi o charakter. Samanta mimo swoich piętnastu lat mogła uchodzić za trzydziestolatkę. Wiecznie się wymądrzała, nie bardzo pozwalała się traktować jak dziecko. Natomiast trzynastoletnia Hope była wrażliwa i skryta. Samanta zadawała pytania, Hope wychwytywała wszystkie niuanse odpowiedzi.

- Na pewno czujesz się rozbita - powiedział - ale jesteś od niej starsza. Najlepiej teraz pomożesz mamie, jeżeli dodasz otuchy siostrze. I trochę się prześpisz. Obie się prześpijcie.

- Aha, dobra - mruknęła Samanta.

JACK skupił uwagę na drodze. Telepatycznie przywoływał telefon z informacją, że Rachel obudziła się po operacji i że czuje się zupełnie nieźle. Ale telefon milczał jak zaklęty.

Rano będzie musiał zadzwonić w kilka miejsc, żeby przełożyć parę spotkań. Chociaż jeżeli Rachel się obudzi, może on zdoła jeszcze przed południem wrócić do biura. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej wydawało mu się to prawdopodobne. Rachel była najsilniejszą kobietą, jaką znał - najsilniejszą, najzdrowszą, najbardziej niezależną i samowystarczalną. Wcale go nie potrze-

bowała. Od samego początku. A kiedy sześć lat temu znalazła się na rozstajach, to skręciła w inną drogę niż on. Jej wybór. Jej życie. Mówi się trudno.

No więc, dlaczego jechał teraz na południe? Dlaczego przekładał choćby jedno spotkanie służbowe, żeby znaleźć się przy jej łóżku? Przecież to ona go rzuciła. Jednym gestem zmięła i odrzuciła dziesięć lat ich małżeństwa.

Jechał na południe dlatego, że tak nakazywał ojcowski obowiązek - pomóc córkom. I dlatego, że bał się, iż Rachel może umrzeć. Jechał na południe dlatego, że jego życie z nią było lepsze niż cokolwiek przedtem lub potem, a więc choćby z tego powodu czuł wobec niej dług wdzięczności.

KIEDY Jack po raz pierwszy zobaczył Rachel, uznał, że dziewczyna nie jest w jego typie. Owszem, lubił blondynki, a ona miała burzę falujących włosów, ale zwykle pociągały go dziewczęta w typie modelek. Rachel Keats nie pasowała do tego obrazka. Wyglądała zbyt naturalnie.

Nie miała długich rzęs ani błyszczących ust, tylko dziesiątki piegów na nosie i na policzkach, a oczy wpatrzone ze skupieniem w najnudniejszego wykładowcę, jakiego Jack miał okazję w życiu słuchać.

Profesor prowadził wykłady ze sztuki rokoko i neoklasycyzmu. Będąc sławą w swojej dziedzinie, ufundował stypendium, dzięki któremu Jack mógł zrobić dyplom z architektury. W zamian za nie Jack sprawdzał egzaminy i prace semestralne oraz pomagał profesorowi w badaniach. On sam przejawiał jedynie marginalne zainteresowanie sztuką rokoka i neoklasycyzmu, a jeszcze mniejsze przeprowadzką z Manhattanu do Tucson, ale tam właśnie dostał stypendium pokrywające mu w pełni opłatę czesnego, a także zapomogę na utrzymanie. Ponieważ nie miał centa przy duszy, był to dla niego łakomy kąsek.

Praca nie była wymagająca. Profesor powtarzał te same wykłady od ponad dwudziestu lat. Ponieważ Jack czytał te wykłady wcześniej, jego obecność na sali wykładowej służyła wyłącznie temu, żeby przynieść profesorowi zapomnianą książkę albo referat, a nie jego własnej edukacji. Siedział u boku profesora, żeby zawsze być na podorędziu.

Rachel Keats uczęszczała pilnie na wszystkie wykłady, słuchała z zapartym tchem, robiła notatki. Jako magistrantka sztuk pięknych mieszkała w bloku niedaleko Jacka. Była zdecydowanie samotniczką, a jeżeli jej pogodna mina o czymś świadczyła, bardzo sobie chwaliła taki stan rzeczy.

Nie tylko nie była w jego typie, lecz w dodatku miał już swoją dziewczynę. Celeste była wysoka, długonoga i niewiele można jej było zarzucić. Gotowała mu i sprzątała, tylko nie potrafił jej skłonić do tego, żeby go również opierała. Dlatego właśnie we wtorek wieczorem znalazł się w pralni automatycznej, do której weszła Rachel. Burzę blond włosów miała związaną turkusową wstążką, która gryzła się z fioletową podkoszulką na ramiączkach, natomiast szorty i sandały miała białe i świeżutkie jak rumieniec, którym spłonęła na widok Jacka.

Kiedy wyjątkowo długo ociągała się w drzwiach, Jack byłby przysiągł, że rozważała, czy nie okręcić się na pięcie i nie zrobić w tył zwrot. Ponieważ wołał, żeby została, zagadnął ją: - Cześć, jak leci?

- Świetnie - odparła z uśmiechem. Rumieniec pozostał. Taszcząc przed sobą wielgachną torbę z praniem, spojrzała po pralkach, szukając, w której jest otwarte wieko. - O - zawołała, widząc dwie otwarte pralki obok siebie. Uśmiechnęła się znów do niego i podeszła do pralek.

Jack nie wiedział, dlaczego serce zaczęło mu walić. Ale zeskoczył z suszarki, na której siedział, poszedł za dziewczyną i oparł się o pralkę przylegającą do tej, którą wybrała.

- Rokoko i neoklasycyzm? - przypomniał jej. Skwitowała jego przypomnienie rzuconym od niechcienia

mruknięciem: - Aha. - Nie przestając się rumienić, zaczęła ładować pranie do środka. Przez chwilę jej się przyglądał, a następnie powiedział:

- Moje już się suszy. Była to zapewne najbardziej idiotyczna odzywka, jaka zdarzyła mu się wobec którejkolwiek dziewczyny. Ale nie mógł jej przecież powiedzieć, że upycha razem kolory i białą bieliznę. Nie mógł spytać, czy te kolory to koszule, biustonosze czy majtki. Nie mógł nawet dobrze rzucić okiem w ich stronę, bo sparaliżowałby ją strach. Poza tym nie mógł oderwać wzroku od jej oczu. Były orzechowe, nakrapiane złocistymi plamkami, a przy tym najładniejsze, jakie widział w życiu.

- Jesteś asystentem Obermeyera - odezwała się, kiedy już nappełniła drugą pralkę. - Zamierzasz potem uczyć?
- Nie, studiuje architekturę. Uśmiechnęła się.
- Naprawdę?
- Naprawdę - potwierdził, odwzajemniając uśmiech.
- A co chcesz budować? - spytała z zainteresowaniem.
- Na początek domy. Pochodzę z małego miasteczka, pełnego identycznych pudełek. Kiedy chodziłem do szkoły, mijałem po drodze rzędy takich pudełek, a potem na lekcjach bazgrałem w zeszytach, przerabiając je na ciekawsze.
- Ja też bawiłem się w rysowanie - przyznała nieśmiało. Spodobała mu się ta nieśmiałość. Poczuli się bezpiecznie.
- A gdzie?
- W Chicago, potem w Atlancie, a potem w Nowym Jorku. Dzieciństwo upłynęło mi na przeprowadzkach. Mój tata stawia na nogi stare, zaniedbane firmy. Kiedy już taką odnowioną firmę sprzeda, przenosimy się dalej. A ty?
- Ja wychowywałem się w Oregonie. Na pewno nie słyszałaś o moim rodzinnym miasteczku. Nawet nie ma go na mapie. A co rysowałaś?
- Och, ludzi, ptaki, zwierzęta, ryby. Wszystko, co się rusza. - Nadal rysujesz? - spytał.
- Mam nadzieję, że nie przestanę. Chciałabym malować przez całe życie.
- I utrzymywać się z malarstwa czy malować po pracy? Objęła się rękami w pasie.
- Cicho, niemal ze smutkiem, powiedziała: - Mam szczęście. Te firmy wciąż się sprzedają. Rodzice uważają, że jestem pomyłona. Bo uprawianie sztuki to żadna przyszłość. Woleliby, żebym wróciła do miasta, nosiła markowe ciuchy i zagraniczne botki.
- Wzięła nowy oddech. - Masz rodzeństwo?
- Pięciu braci i siostrę - odparł. Rachel rozbłysły oczy.
- Aż sześcioro? Zazdroścę ci. Ja nie mam nikogo.
- No, to dlatego mi zazdrościsz. W ciągu dziesięciu lat urodziło się nas siedmioro. Mieszkaliśmy z rodzicami w czteropokojowym domu. Reszta jeszcze tam mieszka. Tylko ja się wyrwałem.
- Naprawdę? Jak?



- Dostałem stypendium. Studia połączone z pracą. Byłem przyparty do muru. Musiałem stamtąd uciec. Nie dogaduję się z rodziną.

- Dlaczego? - spytała.

- Bo oni do wszystkiego mają taki negatywny stosunek. Wiecznie wszystko krytykują, żeby zatuszować własne braki, a tak naprawdę brakuje im tylko ambicji. Mój tata mógł osiągnąć, co tylko chciał, bo ma głowę na karku, ale ubrał się w zakład przetwórstwa ziemniaków i nie potrafił się z niego wyrwać. Moi bracia pójdą dokładnie w jego ślady, też zmarnują życie. Ja poszedłem na studia, co rodzina odebrała, jakbym się wywyższał. Nigdy mi tego nie zapomną.

- Czyli nie jeździsz często do domu?

- Nie. A ty? Wracasz do Nowego Jorku? Zmarszczyła nos. - Nie jestem typem miastowej panny.

- No więc co ci się najbardziej podoba w Tucson?

- Pustynia - odparła. - A tobie?

- Góry Santa Catalina.

I znów rozbłysły jej oczy, bardziej złociste niż orzechowe.

- Lubisz chodzić po górach? - Kiedy skinął głową, dorzuciła: - Ja też.

Usta im się nie zamykały, aż ubrania Rachel zostały uprane, wysuszone i złożone. Kiedy opuszczali pralnię automatyczną z naręczem czystych ubrań, wiedział o niej trzy razy więcej niż o Celeste.

Nazajutrz, uznawszy to za swoisty znak, zerwał z Celeste, zadzwonił do Rachel i umówił się z nią na pizzę. Podjęli rozmowę tam, gdzie przerwali ją w pralni.

Jack był zafascynowany. Nigdy nie był mocny w gadaniu. Nie lubił się wywnętrzać, ale przy Rachel czuł się dziwnie bezpieczny. Odnosiła się do niego serdecznie. Okazywała mu zainteresowanie. Była bystra. I chociaż miała nie mniejszą od niego skłonność do samotności, każde z nich ku wzajemnemu zdumieniu otwierało się przed w gruncie rzeczy nieznaną osobą, ale oboje udzielili sobie na to zgody. On instynktownie obdarzył ją zaufaniem. A ona natychmiast odpłaciła mu tym samym.

I tak stali się nierozłączni. Razem jedli, razem się uczyli, razem też rysowali. Chodzili do kina. Odbywali piesze wycieczki. Stała się najdroższą mu istotą, bo najzwyczajniej w świecie się zakochał.

POCZEKALNIA przed salą operacyjną znajdowała się na pierwszym piętrze w końcu bardzo długiego korytarza. Jack usiadłszy w fotelu, zorientował się, że nie jest sam. Z pobliskiej kanapy przyglądała mu się nieznajoma kobieta. Miała zatroskaną minę, ale kiedy spojrzał na nią, nie mrugnęła nawet okiem.

- Pani Katherine? - spytał niepewnie.

- Skąd to zdziwienie?

- Bo nie wygląda pani na koleżankę mojej żony - wyjaśnił. Rachel była absolutnie naturalna - od włosów i twarzy po paznokcie. A ta kobieta była kunsztownie „zrobiona”, od przy-czernionych rzęs po wymalowane paznokcie oraz włosy w kilkunastu odcieniach beżu ułożone w modne długie pukle.

- Byłej żony - sprostowała Katherine. - Ale pozory mylą. czyli pan Jack? Nawet nie zdążył skinąć głową, bo otworzyły się drzwi i stanął w nich lekarz. Miał zmarszczki na nieogolonej twarzy. Na głowie sterczały mu spocone szpakowate włosy przystrzyżone na jeża.

Jack zerwał się na równe nogi i podskoczył do drzwi, zanim te zdążyły się zatrzasnąć za lekarzem.

- Jack McGill - przedstawił się, wyciągając dłoń. - Jak ona się czuje? lekarz uścisnął Jackowi rękę.

- Steve Bauer. Jest w sali pooperacyjnej. Operacja poszła dobrze. pacjentka wykazuje dobre oznaki życia. Sama oddycha, ale nie odzyskała jeszcze przytomności.

- Czyli jest w śpiączce - powiedział Jack. Tak pragnął, żeby lekarz zaprzeczył. Ku jego konsternacji Steve Bauer skinął głową.

- Nie reaguje na żadne bodźce... światło, ból, dźwięk. - Dotknął lewej strony swojej twarzy. - Ma tu poważne obrażenia. Jest opuchlizna. Brak reakcji wskazuje na prawdopodobieństwo również wewnętrznego obrzmienia. Jack przecesał włosy palcami. - czy ona umrze?

- Mam nadzieję, że nie.

- Jak można jej pomóc?

- Nijak. Musi to zrobić sama. Uszkodzone tkanki obrzmiewają. im większa opuchlizna, tym więcej tlenu potrzeba do zagojenia. Niestety, mózg tym różni się od innych narządów, że jest osłonięty kapsułą czaszki. Kiedy tkanki mózgowe puchną, czaszka unie-

możliwia im zwiększanie objętości, rośnie więc ciśnienie. Powoduje to spowolnienie przepływu krwi, a ponieważ ta niesie tlen, wolniejsze krążenie oznacza niedotlenienie mózgu.

Mniejsza ilość tlenu oznacza wolniejszy powrót do zdrowia. Tylko organizm pacjentki ma wpływ na tempo powrotu do zdrowia.

Jack chciał się dowiedzieć czegoś więcej.

- Jaki jest, pańskim zdaniem, najgorszy scenariusz?

- Ciśnienie może wzrosnąć tak bardzo, że całkiem wstrzyma krążenie krwi, a zatem dopływ tlenu do mózgu, i wtedy pacjent umiera. Dlatego monitorujemy pańską żonę. Kiedy zauważymy pierwsze oznaki takiego ciśnienia, mamy większe szanse je powstrzymać.

- Jaki czas wchodzi w grę?

- O wszystkim rozstrzygną najbliższe dwie doby.

- Czy może dojść do trwałych uszkodzeń? - spytał Jack.

- Trudno powiedzieć.

- Czy może pan jakoś zmniejszyć ten obrzęk?

- Trzymamy ją w tym celu na kroplówce.

- A jak my możemy jej pomóc? - spytała z za jego pleców Katherine.

- Właściwie nijak - odparł Bauer. - Ale gdyby pani zapytała pielęgniarki specjalizujące się w opiece nad pacjentami ze śpiączką, toby powiedziały, że trzeba z nią rozmawiać. Podobno tacy pacjenci słyszą różne rzeczy, które potem, po obudzeniu, powtarzają z zatrważającą dokładnością.

- A pan w to wierzy? - spytał Jack.

Bauer ściszył głos. - Moi koledzy trochę kpią sobie z tego. Ale ja uważam, że mówienie do niej na pewno nie zaszkodzi.

- A dzieci? - spytał Jack. - Mamy dwie córki, trzynasto- i piętnastoletnią. Czy trzymać je z dala od matki?

- Przeciwnie. Proszę je tu przywieźć. Ich głosy mogą pomóc jej się z tego wyciągnąć.

- A jak ona wygląda? - spytał. - Czy się nie przestraszą?

- Twarz z lewej strony ma opuchniętą i podrapaną. Zaczyna sinieć. Nogę w gipsie ma na wyciągu, a poza tym obwiązaliśmy jej żebra na wypadek, gdyby zaczęła się rzucać. Ale to wszystko.

Jack usiłował to jakoś w sobie przetrwać.

- Kiedy będę mógł ją zobaczyć?

- Kiedy jej stan się ustabilizuje, przeniesiemy ją na oddział intensywnej opieki medycznej. - zerknął na zegar ścienny. Było dziesięć po czwartej. - powiedzmy, za godzinę.

JACK i Katherine nie byli w kawiarni sami. przy kilku stolikach obok siedziała garstka pracowników szpitala. Jedni jedli wczesne śniadanie, inni popijali kawę. Wszyscy mówili ściszym głosem.

Jack zapłacił za kawę, herbatę i maślaną bułkę. Kawa była dla niego. Reszta dla Katherine. Wymalowane paznokcie aż zamigotały, kiedy rozrywała ciepłą bułeczkę.

Jack przez chwilę przyglądał się kobiecie w roztargnieniu, a potem skupił się na swojej kawie. Bardzo potrzebował kofeiny. padał dosłownie z nóg. perspektywa śmierci Rachel była nie do zniesienia. podobnie jak trwałe uszkodzenie mózgu.

- Nie mogę jej tu sobie wyobrazić - odezwał się. - ona tak nie cierpi szpitali. po porodzie, przy każdej z dziewczynek natychmiast uciekała do domu. Gdyby była wieśniaczką, chyba urodziłaby w polu.

Katherine skinęła głową.

- Wierzę. Rachel to najbardziej nieokiełznany duch z całej naszej grupy. Grupa. Jack miał kłopoty z wyobrazeniem sobie Rachel w jakiegokolwiek grupie. przez wszystkie lata ich małżeństwa przejawiała ogromną niechęć do uczestnictwa w czymkolwiek. Wszystko odrzucała, a na końcu odrzuciła i jego, kiedy spakowała manatki i przeniosła się o trzy godziny drogi na południe do Big Sur, najwyraźniej jej celem było to, żeby zrobić niektóre z tych rzeczy, których nie chciała robić pod jego dachem.

Ugodzony tym wspomnieniem, mruknął uszczypliwie: - To musi być niezła grupa.

Katherine na chwilę przestała żuć bułeczkę, ale zaraz przełknęła kęs. - co znaczy „niezła grupa“?

- Skoro pani tak siedzi tutaj... ile... całą noc?

odłożyła kawałek bułki na talerzyk i wytarła starannie ręce.

- Rachel jest moją przyjaciółką. Nie mogłam zostawić jej tak samej, żeby nikogo nie było przed salą operacyjną, żeby wiedzieć czy ona przeżyje, czy umrze.

- Ale teraz już ja tu jestem. Może pani odejść.

zmierzyła go wzrokiem. pokręciła nerwowo głową, wzięła talerzyk, filiżankę i wstała od stolika.

- Ale z pana niewrażliwy typ. Nic dziwnego, że się z panem rozwiodła. zanim przeniosła się na drugi koniec sali, Jack przyznał, że ta kobieta częściowo ma rację.

okazał niewrażliwość i niewdzięczność. A ponadto zachował się wyraźnie niegrzecznie. zaczynał rozumieć, dlaczego te dwie kobiety się zaprzyjaźniły. Gdyby odezwał się takim tonem do Rachel, też by od niego odeszła. Wziął swoją kawę i podążył za Katherine. - Ma pani rację - odezwał się cicho. - zachowałem się niestosownie. pani jest jej przyjaciółką i siedzi tu od wielu godzin. Bardzo pani za to dziękuję. Wszystko dlatego, że jestem taki zmęczony, przerażony i bezradny. pewnie wyładowałem się na pani. Wybałuszyła na niego oczy, a potem wróciła do swojej bułeczki. - Mogę się przysiąc? - zapytał, nagle zaczęło mu na tym zależeć. - Łatwiej znieść nieszczęścia we dwoje, i tak dalej. Upłynęła niemal wieczność, zanim kobieta wskazała mu wolne krzesło przy stoliku. - A tak dla porządku - przygadyła mu - nie pan jeden jest tu zmęczony, przerażony i bezradny.

Wtedy dostrzegł bruzdy zmęczenia za nienaganną fasadą. Ucieszył się, że Rachel ma taką dobrą przyjaciółkę. Na pewno Katherine teraz znała Rachel lepiej niż on. Był tego ciekaw.

- Rachel nie mówiła mi, że należy do kółka czytelniczego.

- Była jego współzałożycielką. Stworzyłyśmy je pięć lat temu.

- często się spotykacie?

- Raz w miesiącu. Jest nas siedem. Wszystkie z tej okolicy. Jedna jest agentką w biurze podróży, druga rzeźbi, trzecia ma piekarnię, dwie grają w golfa. Wszystkie były tu już wcześniej. Nie muszę dodawać, że nie omawiałyśmy lektur. No tak, uświadomił sobie Jack. Rozmawiały o wypadku, do którego nie powinno było dojść. Wracając do tematu, zapytał: - No właśnie, kto na nią najechał? pijany kierowca? czy policja go przynajmniej zatrzymała?

- To nie był mężczyzna. Tylko kobieta. i owszem, była pijana. policja ją zatrzymała. Teraz leży w kostnicy.

Jacka zamurowało. W kostnicy. informacja o śmierci ukazała wszystko w innym świetle. Sytuacja Rachel wydała mu się

poważniejsza. Aż jęknął długo i przeciągle. Wraz z tym jękiem uszła z niego cała złość.

UZGODNILI, że Jack zobaczy się z Rachel pierwszy, za co był Katherine bardzo wdzięczny. Już samo wejście do sterylnego pomieszczenia, w którym łóżko z bocznymi barierkami skrywało sylwetkę kobiety o osobowości mieniającej się zawsze jaskrawymi barwami, wydało mu się dostatecznie trudne. Lecz wystawienie własnej niepewności na widok publiczny pogorszyłoby jeszcze sprawę.

Podszedł na palcach do łóżka. Zauważył jakieś urządzenie pod ścianą, las kroplówek za łóżkiem, no i nogę Rachel w gipsie, na wyciągu. Szybko odnalazł wzrokiem jej twarz i nie odrywał od niej oczu. Dobrze, że lekarz go uprzedził. Nawet w tym nikłym świetle sączącym się zza łóżka widział, że lewa strona twarzy ze świeżą raną spuchła i zaczęła robić się fioletowa. Rachel leżała z zamkniętymi oczami, wargi miała blade, skórę zszarzałą, piegi jakby nie na miejscu.

Ujął jej prawą dłoń. Palce zwisały bezwładnie, skórę miała chłodną. Zamknął delikatnie jej dłoń w swojej.

- Rachel? - odezwał się cicho. - To ja, Jack. Nadal spała.

- Rachel? Słyszysz mnie? - przełknął ślinę. - Rachel?

Nie poruszyła się. Nie dała żadnego znaku, że go słyszy. Uniósł jej rękę do ust, pocałował, a potem przytulił do piersi. Leciutko przesunął, żeby przykrywała jego serce. - Czujesz?

- Puls miał ciężki, przyspieszony. - Tak mi wali, odkąd dowiedziałem się o tobie. Samanta i Hope też się wystraszyły.

Nie odezwała się.

- Rachel, obudź się - zaczął błagać, wpadając raptem w popłoch. Żył bez niej przez sześć lat, ale przez cały ten czas wiedział, gdzie ona jest. A teraz nie. W każdym razie nie do końca.

- Muszę wiedzieć, jak się czujesz - nalegał, lekko już podenerwowanym tonem. - Muszę wiedzieć, co powiedzieć dziewczynkom. odezwij się do mnie.

Jej milczenie wzmogło jego frustrację. odczuwał frustrację dlatego, że nie umiał pobudzić jej do życia. A także dlatego, że winowajczyni uniknęła kary, bo sama zginęła, ale tego nie mógł powiedzieć Rachel, skoro istniała szansa, że go słyszy. Rachel była

osobą miękkiego serca - miała twardy charakter, lecz miękkie serce. Załamałaby się na wieść o tym, że ktoś zginął. Jeżeli miał ją podnieść na duchu, to na pewno nie taką wiadomością.

No więc czym? Pewno ucieszy cię wiadomość, że moja firma się rozpada. Ale to na nic się nie zda, bo Rachel nie jest mściwa. Podobnie jak nie ma sensu jej mówić, że wszystko mi się wymyka z rąk. Nie potrafię już sklecić przyzwoitego projektu. Rachel nie lubiła uzalania się nad sobą. Nie była też zazdrosna, czyli nie ma jej co opowiadać o Jill. Zresztą, co miałyby do powiedzenia? Ze Jill ma prawie tak samo miękkie serce jak Rachel. Jest prawie tak samo piękna i prawie tak samo inteligentna. Absolutnie jednak nie miała tak bogatego życia wewnętrznego, nie była tak utalentowana ani tak wyjątkowa jak Rachel. Zawsze przy porównaniu wypadła blado.

Po co miałyby to mówić Rachel? Przecież go rzuciła. Byli rozwiedzeni. Czując się niepotrzebny i raptem nieprawdopodobnie wprost zmęczony, powiedział: - Jest tu Katherine. Też chce się z tobą zobaczyć. Pójdę porozmawiać z lekarzem. A potem przywiozę tu dziewczynki. Wrócimy za jakieś dwie godziny, dobrze? - Wbił wzrok w powieki Rachel, wypatrując bodaj najmniejszego drgnienia. Ale na próżno. Zniechęcony, odłożył jej rękę na sztywne szpitalne prześcieradło. Nachylił się, pocałował ją w czoło.

- Niedługo wrócę.

BLADY świt podnosił się na wschód od Monterey, kiedy opuszczał szpital. Zanim dotarł do gór Santa Lucia i wyjechał na wijącą się autostradę, znad oceanu uniosła się poranna mgła, która spowijała teraz chodnik rozwiewającymi się oparami. Jack miał włączone światła, a poza tym wytrzeszczał oczy, doprawdy jednak niepotrzebnie. I tak nie zdołałby przegapić miejsca wypadku. Ruch puszczano na przemian jednym pasem, a na drugim uwijały się służby porządkowe. Dźwignięto już jeden zmiażdżony samochód, ale nie był to potężny łazik Rachel z napędem na cztery koła. Nieopodal leżał pogięty kawałek żelaznej barierki. Jack aż poczuł mdłości, kiedy zatrzymał wóz za robotnikami usuwającymi skutki wypadku i wysiadł. Samochód Rachel leżał

na skałach trochę niżej. Dach i boki miał wgięte, odrapane. Ze zbocza trochę ponad trzy metry dalej tryskała woda, ale samochód był najwyraźniej suchy.

- Proszę jechać. Jak jeden się zatrzyma, to zechcą też inni. Zanim się obejrzymy, zrobi się korek.

Jack wsadził roztrzęsione ręce do kieszeni.

- Tym samochodem jechała moja żona. Widzę, że miała dachowanie. To cud, że w ogóle żyje.

- Czyli wyszła z tego? - spytał policjant nieco bardziej życzliwym tonem.

- Bo kiedy ich zabierają, to nigdy nam potem nie mówią.

Jack powtórzył:

- W każdym razie żyje.

Robotnicy usiłowali przymocować liny do wozu Rachel.

- Kiedy mogą skończyć? - zapytał Jack. - Będę przejeżdżał tędy z córkami. Wolałbym, żeby tego nie widziały.

- E, zejdzie się ze dwie godziny. Może pan tyle poczekać?

Jack zaplanował to inaczej, ale uznał, że tak będzie nawet lepiej. Jeżeli tylko dziewczynki zasnęły, będzie miał czas przemyśleć, jak najdelikatniej zawiadomić je o śpiączce ich matki.



## ROZDZIAŁ DRUGI

PÓŁ godziny drogi na południe od miejsca wypadku znad oceanu wznosił się kanion Rachel. Drogę dojazdową znaczył zagajnik dębów oraz rząd dziewięciu skrzynek pocztowych. Tylko jedna - czwarta z lewej - była pomalowana. W tym roku na wściekle czerwony kolor, zgodnie z życzeniem Hope. W zeszłym roku Rachel wybrała kolor maślany, a rok wcześniej Samanta zażyczyła sobie fioletu.

Jack zjechał z autostrady, zredukował bieg i rozpoczął podjazd pod górę. Droga opasywała zbocze i wiła się do góry, przecinana jedynie krętymi odnogami podjazdów do rozsianych tu prywatnych domów. Kiedy wjechał wyżej, dęby ustąpiły miejsca jaworom i madronom, które jeszcze wyżej mieszały się z cedrami. Tuż przy domu Rachel miejsce tych ostatnich zajęły sekwoje.

Dom był właściwie chatą z suszonych cedrowych gontów. Zatrzymał się na żwirowym podjeździe, wysiadł z wozu, przeciągnął się. Teraz powinien się ogolić, wziąć prysznic i przespać.

Jeszcze nie doszedł do domu, kiedy otworzyły się drzwi wejściowe. W ich framudze stanął mężczyzna znacznie starszy niż Jack się spodziewał. Sądząc po całkiem siwych włosach i brodzie musiał mieć pod sześćdziesiątkę.

- Dziewczynki śpią - poinformował go Duncan Bligh tym samym rzeczowym głosem, którym rozmawiał przez telefon. - A co z nią?

- Jest w sypialni - odparł Jack. - Stan krytyczny minął. Jedyнным poważnym problemem jest uraz głowy.

- Jakie są rokowania?

Jack wzruszył ramionami i wskazał podbródkiem dom. - Rozumiem, że trochę się uspokoiły?

- Nie - Duncan wsadził potężne łapska w kieszenie flanelowej kamizelki.

- Tylko zmęczenie je zmogło. - Minął Jacka. - Muszę już iść. Robota czeka. Jack podniósł rękę w geście podziękowania i pożegnania, ale Duncan już mijał dom i piał się w górę zalesionym zboczem. Po wejściu do środka zamknął cicho drzwi i oparł się o nie, żeby się rozejrzeć. Na palcach jednej ręki mógł policzyć, ile razy był w tej chacie, a i to tylko przed drzwiami. Z progu mógł złapać jedynie przebłycki kolorystyki wnętrza. Teraz owe przebłycki ułożyły się w litą powierzchnię naturalnego drewna, meble w kolorach zielonym i lila, fioletowe skrzynki do kwiatów, szalone plamy barw w ramach na ścianie. Salon przechodził w kuchnię, ale oba te pomieszczenia łączyło z tyłu jedno panoramiczne okno z widokiem na las. Błede promienie słońca przeświecały przez gąszcz sekwoi. Pokonał kilka schodków na lewo od salonu, przemierzył korytarz i zajrzał do pierwszego pokoju. Z plakatów z idolami wiszących na ścianie i z ogólnego bałaganu krzyczało dosłownie imię Samanty. Łóżko było rozgrzebane, ale puste. Jeszcze kilka schodków, znów korytarz i kolejne uchylone drzwi. W tym pokoju na ścianach wisiały akwarele i panował większy ład. Obie dziewczynki spały w łóżku Hope. Hope leżała zwinięta w kłębek, Samanta rozpostarta. W szczelinie między nimi widniała kula pomarańczowego futra, które musiało należeć do kotki.

Kiedy żadna z trzech dam nie dawała oznak przebudzenia, Jack wrócił do salonu i zadzwonił do szpitala. Od pielęgniarki z OIOM-u dowiedział się, że stan Rachel nie uległ zmianie.

Następnie zadzwonił do domu do swojego współnika. Słyszając jego zziębnięty głos, zapytał: - Robisz poranną gimnastykę?

- Katuję maszynę do chodzenia - wydyszał David Sung.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Jack. - Ale mam kłopot.

Wczoraj wieczorem Rachel miała wypadek. Jestem tu z dziewczynkami.

- Tu, to znaczy gdzie? W Big Sur? - dudnienie maszyny zwolniło tempo. - Za dwie godziny mamy ważne spotkanie. Co to był za wypadek?

- Bardzo poważny - Jack starał się mówić cicho. - Rachel jest w śpiączce.

- W śpiączce - powtórzył David. - Jest podłączona do aparatury utrzymującej ją przy życiu?

- Nie. Ale nie zdołałam dotrzeć na spotkanie.

- Nie mogę go odwołać. Przekładaliśmy je już dwa razy - na chwilę zamilkł. - Nie przygotowałeś się do prezentacji?

- Och, przygotowałem - odparł Jack - ale moja propozycja nie spodoba im się bardziej niż zeszłym razem.

Poproszono go o zaprojektowanie luksusowego uzdrowiska w górach Montany. Jego klient wyobrażał sobie zwierciadlane powierzchnie ginące pod wielkim otwartym niebem, ale Jack znał Montane. Szkło i stal wcale tam nie pasowały. Zaprojektował kompleks wypoczynkowy w drewnie.

Kiedy odrzucono jego pierwszy projekt, połączył granit z drewnem.

Kiedy i ten odrzucono, próbował wykorzystać kamienie polne, ale sam podarł ten projekt, potem szkło, ale też podarł, następnie stal, i też podarł. Najlepszy był pierwszy pomysł.

Tyle że teraz miał co innego na głowie. - Davidzie - zwrócił się do kolegi.

- Musisz mnie jakoś usprawiedliwić. Nie mogę przyjechać. To bardzo ważna sprawa rodzinna.

- Jest tylko jedno „ale”. Przecież jesteś rozwiedziony.

- Nie brałem rozwodu z córkami.

- No dobrze. Jack, ja cię rozumiem, ale ci ludzie czekają już tak długo, a w grę wchodzi miliony. Jeśli im powiem, że nie mogłeś przyjechać, bo musisz pilnować dzieci, nie kupią tego.

- To przejmij ten projekt.

- Ale oni chcą ciebie. Chcą ciebie, a ty straciłeś pazur.

Jack poczuł się tak zmęczony, że zaczęło go łupać w kościach.

- Teraz nie mogę się tym zająć. Powiedz im cokolwiek, ale nie mogę być na tym spotkaniu. Zadzwoń, kiedy będę wiedział coś więcej - odłożył słuchawkę. Teraz potrafił się skoncentrować tylko na wypadku Rachel.

Ale zarówno Rachel, jak i dziewczynki były pogrążone we śnie.

Wyciągnął się więc na kanapie, zasłonił ręką oczy i poszedł w ich ślady.

HOPE obudziła się tak, jak zawsze, wracając powoli do świata jawy, nasłuchując, rozmyślając, zanim drgnął jej pierwszy mięsień. Wysłuchała się w cichy pomruk Ginewry tuż przy swojej szyi. Zaczęła myśleć, otworzyła szeroko oczy.

Odwróciła głowę, wtulając policzek w kocie futerko, zobaczyła siostrę śpiącą obok, i naraz wszystko znów stanęło jej przed oczami - wydarzenia minionej nocy. Starając się nie poruszyć materacem, usiadła i wzięła ostrożnie kotkę na ręce. Cichutko wsunęła nogi w kowbojskie buty i wyszła na palcach z pokoju.

Widok ojca w salonie natychmiast przyniósł jej ulgę. Ależ był jej teraz potrzebny. Samanta twierdziła, że tata nie przyjedzie - bo nigdy się nie zjawiał, kiedy go potrzebowały. Ale Hope czuła, że przyjedzie. Czasem miewała takie przeczucia. Na przykład wczoraj czuła się jakoś nieswojo po wyjeździe matki. Sądziła, że chodzi o Ginewrę. Weterynarz uprzedził ją, że koniec będzie szybki i cichy, była więc przygotowana. Uparła się, żeby Ginewra dokonała żywota w domu, przy niej. Ale chciała, żeby była z nią wtedy mama.

Hope przykucnęła na dywanie obok ojca, usiadła po turecku i ułożyła delikatnie Ginewrę na podolku.

Tata spał. A to już coś mówiło. Gdyby mama nie żyła, musiałby im chyba powiedzieć.

Zastanawiała się, czy go obudzić, kiedy sam raptownie się ocknął.

- Trzeba mnie było zbudzić - przywitał ją.

- Uznałam, że skoro spokojnie śpisz, to znaczy, że z mamą wszystko dobrze.

- Tak. Tylko musi jeszcze dojść do siebie.

- Rozmawiałeś z nią? - spytała Hope.

- Nie. Mama spała. Ale chyba wiedziała, że jestem przy niej.
- Ale na pewno żyje?
- Na pewno.
- Nie oszukujesz? - Hope miała trzynaście lat. Gdyby jej matka nie żyła, wolałaby wiedzieć. Zniosłaby prawdę.
- Nie, Hope. Mama żyje. W tej sprawie na pewno bym cię nie oszukiwał. Pokiwała głową, znów oddychając z ulgą.
- Kiedy do niej pojedziemy?
- Trochę później. - Spojrzał na kotkę. - Czyli to stworzenie zjawilo się na waszym progu całe pogryzione i okaleczone?
- Hope pogłaskała kocicę za uchem. - Rany już się zagoiły. - I ma na imię Gwendolyna, tak? - Ginewra - Hope zwiesiła głowę i zaczęła głaskać zjeżoną na karku sierść kotki, gdy w drzwiach rozległ się głos Samanty.
- Kiedy przyjechałeś? - spytała Jacka.
- Podniósł wzrok i przez chwilę, otumaniony zmęczeniem i nerwami, sądził, że stoi przed nim Rachel. Po trosze sprawiła to jej fryzura - miała jasne włosy, chociaż nie tak jasne jak Hope, ale kręjące się i falujące jak u Rachel w czasach, kiedy ją poznał. Po trosze zaś sylwetka, jeszcze bardziej kształtna teraz, półtora miesiąca od ich ostatniego spotkania. Najbardziej jednak zwiódł go jej głos, pobrzmiwała w nim ta sama niepewność, a nawet uraza, którą słyszał w głosie Rachel ostatniej nocy spędzonej razem jeszcze jako małżonkowie - i raptem znów się znalazł w ich sypialni owego wieczoru, przetrząsał szafę w poszukiwaniu krawatów na służbowy wyjazd, a Rachel stała w progu i coś mówiła. Widział ją bardzo wyraźnie. Właśnie wyszła z ich wspólnej pracowni na najwyższym piętrze różowego domu w stylu śródziemnomorskim, stojącego przy promenadzie. Miała na sobie stare wąskie dzinsy i jego koszulę. Była blada, a na jej twarzy malowało się rozczarowanie, które natychmiast kazało mu przybrać obronną postawę.
- Sądziłam, że nie wyjedziesz - powiedziała.
- Ja też tak sądziłem, ale musiałem zmienić plany. - Przesuwał krawaty na wieszaku w tę i w tę, szukając odpowiednich do wyjętych już z szafy garniturów.
- Miałam nadzieję, że chociaż trochę posiedzisz w domu. Nie odwrócił się, nie chciał patrzeć na jej bladą twarz. - Ja też.

- Nie mogłeś po prostu odmówić?

- Tak się nie da - uciął. - Powierzono mi zaprojektowanie dużego centrum konferencyjnego. Wstępny projekt już przedstawiłem, ale to jest kaszka z mlekiem.

Najtrudniej jest go przystosować do użytku, a w tym celu muszę poznać lepiej całe miasto. - Rzucił trzymany w ręku krawat i zwrócił się do niej błagalnie. - Tak samo jest przecież w twojej własnej pracy. Talent pozwala ci się wysforować przed innych twórców. Ale nie mniej ważne są decyzje podejmowane w kwestii perspektywy, postawy, użytego tworzywa, a takich decyzji nie da się podjąć nie spędziwszy czasu w plenerze. I ja działałam podobnie.

Odezwała się cicho, ale nie wycofała się. - Ja ograniczam swoje pobyty w plenerze do tygodniowego wyjazdu dwa razy w roku. Ty wyjeżdżasz dwa razy w miesiącu... albo trzy, jeżeli jutro wyjedziesz do Providence.

- Rachel, na tym polega moja praca. Była bliska łez. -1 moja samotność tutaj.

- Przecież masz dziewczynki. Jeżeli nie chcesz ograniczać się do malowania, możesz mieć koleżanki. Jeżeli chcesz, możesz co wieczór gdzieś wychodzić.

- Ale nie wychodzę. Nie znoszę się stroić, nie znoszę rozmówek towarzyskich, nie znoszę wystawać na szpilkach i skubać tych cholernych kanapeczek z kawiozem.

- Nawet w słusznej sprawie? - W tej części Kalifornii imprezy dobroczynne stanowiły nieodłączną część życia towarzyskiego, zwłaszcza dla kogoś takiego jak Jack. Musiał widywać i być widywany.

- Ja tu nie mogę malować - dodała ze smutkiem w głosie. A malowanie było całym jej światem.

- Każdy artysta miewa chwile niemocy twórczej - odparł.

- To coś więcej - skulona w sobie obejmowała się rękami w pasie. - Jako malarka jestem wypalona w środku, martwa. Tutaj nie widzę kolorów. Nie czuję przedmiotów tak jak dawniej. Tutaj nie jestem szczęśliwa. Nie czuję się pełna. Częściej jesteśmy osobno niż razem.

Dorzucił kilka krawatów na łóżko.

- Sam zobacz - zawołała. - Jakie one są konserwatywne. A mieliśmy żyć inaczej. Mieliśmy żyć po swojemu, nie dać się

wciągnąć w wyścig szczurów. - Spuściła głowę. Przyciszonym głosem oznajmiła: - Kiedy wrócisz, mnie już tu nie zastaniesz. Westchnął.

- Daj spokój, Rachel. Spróbuj mnie zrozumieć.

- To ty spróbuj - zawołała. - Jeżeli już muszę siedzieć sama, to wolę gdzie indziej. Przenoszę się do Big Sur. - I cicho dodała: - Jedź tam ze mną.

Wiedziała, że Jack nie może się przenieść do Big Sur. Big Sur leżało trzy godziny drogi od San Francisco. - Mówisz poważnie? - spytał.

- Bardzo. Przesiedziałam tu dla ciebie dziesięć lat. Teraz twoja kolej, żebyś pomieszkał gdzie indziej dla mnie. Jesteś mi tam potrzebny.

- Tato! - głos Samanty przywołał go do terażniejszości. - Jak mama?

Przejechał dłonią po twarzy i wziął głęboki oddech, zanim powiedział jej o nodze, o żebrach. A potem pogłaskał Hope po włosach, żeby złagodzić jakiś cios. - Najgorsze, że uderzyła się mocno w głowę. Wciąż nie odzyskała przytomności.

Hope aż wytrzeszczyła oczy. - Nadal śpi?

- W pewnym sensie. Tyle że nic jej nie budzi. To jest śpiączka.

- Śpiączka! - wykrzyknęła Samanta.

- Poczekaj - przerwał jej Jack. - To wcale nie jest takie groźne. Śpiączka to stan, w który zapada mózg, kiedy skupia wszystkie siły na gojeniu się. A kiedy proces gojenia się skończy, pacjent się budzi.

- Nie zawsze - sprostowała Samanta. - Taka śpiączka potrafi trwać wiele lat.

- Wasza mama na pewno się obudzi - zapewnił ją Jack.

- Skąd wiesz?

Nie wiedział, ale nie dopuszczał innej myśli do głowy.

- Zdaniem lekarza nie ma powodu, żeby się nie obudziła. Posłuchajcie mnie - zwrócił się do obu córek, żeby również włączyć do rozmowy pochyloną nad kotką Hope. - Musimy zachować hart ducha. Musimy pojechać do mamy i powiedzieć jej, że wyzdrowieje. Jak jej to wmówimy, na pewno usłucha.

Samanta jęknęła. Podniósł wzrok i zobaczył, jak starsza córka wznosi do nieba oczy, które już po chwili wypełniły się łzami.

- A masz lepszą propozycję? - spytał. Potrząsnęła głową.

- No dobrze. Czyli, moim zdaniem, najlepiej zrobić tak: teraz zjeść śniadanie, a potem pojechać do Monterey.

Hope przytuliła kotkę do piersi. - Ja chyba powinnam zostać.

- Nie chcesz się zobaczyć z mamą?

Hope podniosła zalaną łzami twarz. - A jeżeli Ginewra umrze, kiedy mnie nie będzie?

- Nie umrze - orzekła Samanta. - Weterynarz powiedział, że jeszcze pożyje.

- Ale niedługo.

- Hope, ona nie umrze dzisiaj.

- Czyja tu czegoś nie rozumiem? - spytał Jack.

- Ginewra ma raka - wyjaśniła Samanta. - Weterynarz chciał ją uśpić, ale Hope się nie zgodziła.

Czyli kotka jest śmiertelnie chora. Jack zastanawiał się, co jeszcze może pójść nie tak, kiedy Hope odezwała się przez łzy: - Ona nie cierpi. Gdyby cierpiała, pozwoliłabym weterynarzowi uśpić ją. Ale kocham Ginewrę i ona o tym wie. Co w tym złego?

- Nic - odparł Jack. Samanta wniosła sprzeciw.

- To jest kwestia priorytetów - przypomniała siostrze - o których wiecznie mówi mama. Ginewra nie umrze dzisiaj. Gdyby nie ten wypadek, poszłabyś normalnie do szkoły. No więc jeśli zostawisz ją teraz w domu, nawet się nie pozna, czy pojechałaś do szkoły, czy odwiedzić mamę. A mama się pozna. Jack uznał, że świetnie to ujęła, może więc w tym należało upatrywać nadziei, że jego starsza córka wyjdzie na ludzi, gdy ta zwróciła się do niego z niesmakiem: - Chyba ogolisz się, tato, i jakoś ogarniesz przed wyjazdem? Bo wyglądasz okropnie.

- Dzięki - odparł. Poklepał Hope po ramieniu, zwałował się z kanapy i pragnąc się pokręcić po... no, najwyżej godzinie snu, ruszył do kuchni wstawić kawę. GDYBY Jack znał inną drogę do Monterey, z pewnością by ją wybrał, ale innej nie było. Samanta siedziała na miejscu pasażera, z jeszcze mokrą, świeżo umytą głową, ze wzrokiem wbitym w szosę. Hope skuliła się na niewygodnym tylnym siedzeniu starego bmw, opierając nogi w kowbojskich butach po obu stronach środkowej przegrody.

Jack zwolnił przed pierwszą serią zakrętów.



- Patrz! - Samanta pokazywała palcem. - To tam. Widzisz, gdzie jest wyrwana barierka? Zwolnij, chcę to obejrzeć.

Jack jechał dalej. - Nie ma co oglądać. Samochód niedawno odholowano. Obie dziewczynki wyglądały przez tylne okno.

- Katherine mówiła, że ktoś na mamę najechał - odezwała się Samanta. - Co się stało z tym drugim kierowcą?

- Nie wiem - skłamał Jack. Samanta drażyła dalej.

- Wiesz, ale nie chcesz powiedzieć. Poznają to po twoim głosie. Mama na pewno by nam powiedziała.

- Teraz mama na pewno wolałaby, żebyście mówiły same przyjemne rzeczy albo milczały.

- Mówisz w swoim imieniu, a nie w jej. Mama zawsze chciała, żebyśmy mówiły to, co myślimy, a moim zdaniem ten wypadek był znacznie poważniejszy niż twierdzisz, czyli mamy teraz niezły pasztet. A jeśli mama się nie obudzi? Nie mam zamiaru mieszkać w San Francisco.

- Tato? - dobiegł go zza pleców wystraszony głosik. Jack odszukał twarz Hope w lusterku wstecznym.

- Hope, ona nie umiera. Zobaczysz, że z tego wyjdzie. Przecież wypadek zdarzył się zaledwie dwanaście godzin temu. Być może, kiedy dojedziemy do szpitala, mama już się obudzi i poprosi o śniadanie.

RACHEL O nic jednak nie prosiła. Kiedy przyjechali, spała jak zaklęta tak samo, jak podczas wcześniejszej wizyty Jacka.

- Spi - szepnęła Hope, i Jack przez chwilę wyobrażał sobie, że córka ma rację. Pominąwszy obrażenia na twarzy, Rachel wyglądała prawie normalnie.

Podszedł do łóżka, rozbudzając w sobie nadzieję. - Rachel?

- Nie przeszkadzaj jej - zawołała Hope z trwogą w głosie. Jack cofnął się do drzwi, przy których dziewczynki oswajały się z całą sytuacją. - Widzicie? - spytał. - Żadnych respiratorów, aparatury utrzymującej ją przy życiu. Ma tylko złamaną nogę, którą włożyli w gips. A na twarzy obrażenia tam, gdzie się poobijała o samochód. Kroplówką podaje się leki i glukozę. Monitor stojący za nią rejestruje pracę serca, tętno i przepływ tlenu.

Poczuł, jak Hope kiwa głową przy jego ramieniu. - Powiecie jej, że tu jesteście?

Zobaczył, jak kiwanie zmienia się w gorliwe przytaknięcie.

- A ty, Samanto? Wystraszona Samanta wyglądała teraz zupełnie jak rówieśnica Hope. - Ale co mamy powiedzieć?

- Co chcecie.

- A ty też z nią porozmawiasz?

W lot pochwycił aluzję. Znowu zostawił je same i podszedł do łóżka.

Wziął Rachel za rękę, nachylił się, pocałował ją w czoło.

- Cześć, kochanie. Jak się czujesz? Widzisz, obiecałem, że wrócę, no i jestem. Przywiozłem dziewczynki. Stoją przy drzwiach. Są trochę onieśmielone tą całą aparaturą.

- Wcale nie jestem onieśmielona - zaprotestowała Samanta

- Cześć, mamus. To ja, Samanta. - Ale kącikiem ust rzuciła szeptem: - To jakaś bzdura. Ona nie słyszy.

- A masz pewność? -Nie.

- No to nie wyciągaj fałszywych wniosków. - Jack obejrzał się na Hope, która nie ruszyła się spod drzwi. Kiedy przywołał ją skinieniem głowy, aż się skuliła w sobie.

- Co lekarze robią, żeby ją obudzić? - zapytała Samanta.

- Widzisz tę kroplówkę? - wskazał jeden z worków. - To lekarstwo zmniejsza obrzęk w głowie, żeby poprawić przepływ krwi dostarczającej tlen, który leczy zniszczone tkanki.

- Dlaczego nie mogajej po prostu obudzić zastrzykiem?

- Tak się nie da.

- A pytałeś?

- Nie - przyznał Jack i przyjrzał się Samancie. Wolał, kiedy była odrobinę wystraszona niż taka przemądrzała. Nie wiedział, czy to taki trudny wiek, czy też on, ojciec, wyzwala w niej najgorsze reakcje. - Wiesz co - zaproponował - zostawię was same, żebyście porozmawiały z mamą. Nie wstyďte się. Poskarżcie jej się, jaki jestem okropny. Poproście, żeby się obudziła, bo nie macie zamiaru przeprowadzać się do miasta. Powiedźcie, że ja się na niczym nie znam. Wyrzucicie to z siebie. A ja załatwię w tym czasie kilka telefonów.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że wróciła Katherine Evans i ścisnęła teraz Hope. - Cześć, Katherine. Będę na korytarzu. - A do Hope rzucił na odchodnym: - Tuż obok. I zaraz wrócę.

Czuł się jak dezertier, ale po co miałby zostawać?

- Czy zastałem doktora Bauera? - zapytał w dyżurce.

- We wtorki przed południem ma wykłady w mieście - poinformowała go pielęgniarka.

- Pan McGill? - spytała kobieta pochylona nad jakimiś papierami. Pod fartuchem lekarskim miała jedwabną bluzkę, a w uszach duże sztuczne perły. Przykuwały uwagę. Jack podejrzewał, że chciała dodać sobie nimi powagi, bo tak na oko wyglądała na trzydzieści lat.

- Zgadza się, Jack McGill.

Wyciągnęła rękę i przedstawiła się: - A ja jestem Kara. Kara Bates. Jestem neurologiem, asystentką doktora Bauera. Zaglądał do pańskiej żony przed wyjściem. Pacjentka nieźle sobie radzi.

- Ale nie odzyskała przytomności. Czy możemy coś jeszcze dla niej zrobić? - Jeszcze nie teraz - odparła Kara.

Jack odwrócił się i pomaszerował korytarzem do telefonu.

WYKONAŁ dwa telefony, oba do San Francisco.

- Tu firma Sung i McGill - odezwała się w słuchawce Christina Cianni.

Pracowała u Jacka od początku istnienia firmy, wtedy jeszcze jako recepcjonistka i goniec. Obecnie przyjmowała telefony tylko wtedy, kiedy stała recepcjonistka miała urlop. Na co dzień prowadziła księgowość i pracowała jako rzeczniczka prasowa firmy. Jej najcenniejszą cechą była niezniszczalna lojalność wobec Jacka.

- Cześć - ucieszył się, że to ona odebrała.

- Cześć, Jack. Tak mi przykro z powodu Rachel. Jak ona się czuje?

- Wciąż jest w śpiączce. Obrażenia nie byłyby nawet tak poważne, gdyby nie uderzenie w głowę.

- Bardzo ci współczuję. Jak dziewczynki?

- Wystraszone.

- Czy nie uważasz, że lepiej byłoby ją przenieść do tutejszego szpitala?

- Jeszcze nie teraz. Ten zespół chyba znakomicie panuje nad sytuacją. Ale chcę jeszcze zasięgnąć opinii niezależnego specjalisty. Mogłabyś mi zdobyć nazwisko najlepszego neurologa w mieście?

- Jak najbardziej - przyrzekła z nieocenioną pewnością siebie.

- A co u was?

Chwila milczenia, a potem: - Nawet nie pytaj.

- Straciliśmy Montane?

- Gorzej. Spotkanie przełożono na wtorek.

Był tak zmęczony, że się roześmiał. Tylko Tina rozumiała go na tyle dobrze, żeby tak to ująć. Towarzyszyła mu przez tyle lat coraz większych sukcesów, kiedy rósł poziom adrenaliny i spełniały się najbardziej szalone marzenia. Ale ostatnio jakoś trudniej było o taką radość.

Ostatnio mniej było samego projektowania, mniej satysfakcji twórczej, a więcej spotkań służbowych.

- Powiniennem uznać to za komplement - skwitował jej uwagę. - A co z

Napą? - Zaprojektował tam restaurację, a teraz czekało go spotkanie z właścicielem, elektrykiem, hydraulikiem i specjalistą od kuchni.

- We środę. W piątek powinieneś być w Austin. - A po chwili spytała: - Sądysz, że z tego wyjdzie?

Jack zamknął oczy i pomasaował sobie zmęczone powieki.

- Czy to wiadomo? Może obudzi się jeszcze dzisiaj. A może jutro. Albo za tydzień.

- Zostajesz z dziewczynkami?

- Tak. Dzień lub dwa, dopóki sytuacja się nie wyjaśni. Z Austin w piątek może być krucho, ale zostawmy to na razie. Odwołaj wszystkie jutrzejsze spotkania. - David nie będzie zachwycony.

- Wiem.

Ale Jack nie mógł się teraz martwić o Davida. Miał większe zmartwienia na głowie. Drugi telefon wykonał właśnie w takiej sprawie.

- Witaj, Jack! - w głosie dosłyszał ten rozkoszny uśmiech, którym tak się zawsze napawał. - Ale wcześniej - zdziwiła się. - Już po spotkaniu?

- Nie byłem na żadnym spotkaniu. Jill, mam kłopoty. Rachel miała wypadek. Leży na oddziale intensywnej opieki medycznej. Jestem u niej z dziewczynkami.

Chwila milczenia, a potem, już bez uśmiechu: - W Big Sur?

- W Monterey. Rachel jest w śpiączce. - Podał jej garść najważniejszych faktów. - Dziewczynki są przerażone. Nie mogę ich teraz zostawić samych.

Kolejna chwila milczenia. Wreszcie Jill przemówiła: - Czyli nie zjawisz się na balu. - Zawód w jej głosie był równie wyraźny jak przed chwilą radość.

- Nie, chyba że Rachel obudzi się w ciągu najbliższych kilku godzin. Bardzo mi przykro, Jill. Naprawdę. Wiem, ile włożyłaś serca w dzisiejszy wieczór, ale nie tylko z twojego balu muszę zrezygnować. Straszne, koszmarnie jest to czekanie.

- Czy ktoś nie mógłby wieczorem zostać z dziewczynkami?

- Jill, to są moje córki. Nie mogę ich w takiej trudnej chwili zostawić. Nie mogę po prostu wyjechać.

- Ale tak mi na tobie zależało. Wiesz, że będę współgospodynią tego balu. Nie naciskała, a jedynie stwierdziła fakt.

- Wiem, Jill. Gdybym mógł się rozerwać, na pewno bym to zrobił.

- Przecież Rachel nie jest już twoją żoną.

To też zostało powiedziane cicho, kolejne stwierdzenie faktu. Jack jednak usłyszał coś zupełnie innego, a mianowicie: Jack, spotykamy się już dwa lata. Czy w końcu nie zaczęłam znaczyć dla ciebie więcej niż twoja była żona? David powiedział coś podobnego. Jack odparł jej na to dość łagodnie: - Co z tego, że „była”, skoro nie ma nic byłego w moich córkach. Nie mogę ich tu zostawić samych i wrócić do San Francisco na bal.

- Kątem oka zobaczył Katherine sunącą w jego stronę. - Przepraszam, muszę kończyć. Bardzo mi przykro, Jill. Zadzwoń później. - Odłożył słuchawkę i wziął się w garść. Katherine miała poważną minę.

- Czy dziewczynki są nadal u Rachel? - spytał.

- Tak. Wracasz do San Francisco?

- Nie. Właśnie wszystko odwołałem, żeby tu zostać. Zrobiła zdziwioną minę. Jack wyszedł z budki telefonicznej.

Kiedy Katherine podeszła, spytał: - Nie myślałaś, że zostanę?

- Nie wiedziałam, co myśleć. Znam cię tylko z opowieści Rachel. A z nich mogłam jedynie wywnioskować, że jesteś lepszy w wyjeżdżaniu niż w zostawianiu. Czuję się opuszczona.

Przystanął. Katherine również. - Opuszczona? - powtórzył. - Przecież to nie ja ją rzuciłem, lecz ona mnie.

Katherine milczała przez chwilę. Po czym odezwała się, patrząc na niego wyzywająco. - Z punktu widzenia Rachel, to tyś

ją porzucił wcześniej. Ona wyprowadziła się tylko w odpowiedzi na twoją postawę. Dusił się w San Francisco. Nie mogła tam malować. Była sfrustrowana i znudzona.

- Jeśli była znudzona, to tylko jej własna wina. Mogła tam robić dziesiątki rzeczy, a nie robiła.

Katherine wzruszyła ramionami.

- Jedyną osobą, z którą chciała tam coś robić, byłeś ty, a ciebie wiecznie nie było.

- To prawda. Zaharowywałem się dla kariery, żebyśmy mieli gdzie mieszkać i co jeść, a w dodatku, żeby ona mogła sobie malować, nie musząc się przejmować pieniędzmi. Nie chciała brać pieniędzy od rodziców. Pragnąłem dać jej to wszystko, na co według mnie zasługiwała.

- Rachel wiedziała o tym - potwierdziła Katherine. - Ale mówiła, że prawie nigdy nie było cię w domu.

Jack wykonał gwałtowny zwrot, klnąc pod nosem, ale zaraz znów się odwrócił do swojej rozmówczynie.

- Rachel ci tak naopowiadała? A w ogóle, kim ty jesteś, żeby się wtrącać w sprawy mojej żony i moje?

- Twojej byłej żony - sprostowała Katherine. - Sam zapytałeś. A jestem przyjaciółką Rachel. Kocham ją i dziewczynki. Są dla mnie jak rodzina. I nie chcę, żeby ktokolwiek je krzywdził.

- A ja je krzywdzę?

Tym razem, kiedy ruszył przed siebie, już się nie zatrzymał.

CHOĆBY na złość Katherine Evans, Jack przyczepił się do córek jak rzep.

Najpierw tkwił z nimi przy łóżku Rachel, potem zabrał je na śniadanie, następnie wrócił do łóżka Rachel, po czym udał się z nimi na obiad.

W przerwie złapał neurologa z miasta, który zgodził się nazajutrz obejrzeć chorą. Spośród całego personelu medycznego, który przewinął się przez salę Rachel, najbardziej podnosząca na duchu była pielęgniarka przydzielona do opieki nad nią, Cindy Winston. Nosiała białe legginsy, długą bluzkę kryjącą tuszę, grube okulary, a przy tym była opanowana i ujmująco nieśmiała. Mówiła cicho i niebywale życzliwie. Dziewczynki dosłownie spijały słowa z jej ust.

- Rozmawiajcie z mamą - radziła im. - Mówcie jej, co robicie.

Opowiadajcie dowcipy. Żalcie się, że wam smutno. Albo że jeste-

ście wściekłe. Możecie się śmiać albo płakać. To najzupełniej normalne reakcje. Mama na pewno je zrozumie.

- A jeśli skończą nam się tematy? - zapytała Samanta.

- Możecie ją głaskać, przytulać. To bardzo ważne.

JACK usiłował się dopytać, kiedy Rachel się obudzi, ale nikt nie umiał mu na to odpowiedzieć.

Wypił trochę kawy, żeby nie zasnąć, toteż pod wieczór wpadł w dygotki. Kiedy zjawiała się Katherine z koleżankami, ledwie dosłyszał ich nazwiska.

Zaraz po prezentacji zagonił córki do samochodu.

Kiedy ruszyli, Samanta zapytała głośno i zuchwale: - No więc, kto się nami zajmie?

- ja. jeżeli do jutra nic się nie zmieni, podskoczę do siebie po ubrania, kiedy będziecie w szkole.

Sam była przerażona. - Nie możemy chodzić do szkoły.

- Nie możecie nie chodzić. Zbliża się koniec roku. Przecież niedługo egzaminy. - Tak, ale...

- Będę odbierał was ze szkoły. - Ponieważ w Big Sur była tylko podstawówka do szóstej klasy, dziewczynki dojeżdżały autobusem szkolnym do Carmel. Z Carmel do szpitala w Monterey jechało się dziesięć minut. - Resztę czasu możecie spędzać w szpitalu.

- A jak mam się skupić na lekcjach?

- Musisz spróbować. Mama lada chwila się obudzi. To nie będzie trwało wiecznie.

- Skąd wiesz? - rozległ się głosik Hope z za jego pleców.

- Bo wasza mama jest młoda i zdrowa. Na pewno wydobrzeje.

- Wcale nie wiesz tego na pewno - spierała się Samanta.

- Nie. A ty wolisz zakładać, że umrze?

- Nie. Tylko tracę już głowę. Tyle jest do zrobienia. Wizyta u lekarza i u dentystki...

- Mój piknik...

- Mój bal, na który nie mam sukienki. Mama miała się wybrać ze mną w tym tygodniu po zakupy, ale leży w szpitalu. No więc kto ze mną pojedzie?

- ja - odparł Jack.

Samanta skuliła się w fotelu, wyjrzała przez okno. - Aha, akurat. Przecież ty nie masz czasu. Nigdy nie miałeś.

- To znajdę - odparł, bo na więcej nie potrafił się zdobyć.

Resztę drogi spędzili w milczeniu. Kiedy zajechali przed dom, Hope rzuciła coś na temat Ginewry i wyskoczyła z samochodu. Samanta za nią, piszcząc coś na temat pilnych telefonów. Jack pomaszerował, by zająć się kolacją.

SAMANTA obudziła się z zeszywniałym karkiem. Dopiero kiedy przycisnęła ramieniem słuchawkę telefoniczną do ucha i skrzywiła się z bólu, zrozumiała, gdzie leży przyczyna. Chroniczna nerwica języka, mówiła na to mama. Ale co mogła poradzić? Musiała przecież zadzwonić do Shelly w sprawie matmy, do Johna w sprawie fizyki, do Amandy w sprawie hiszpańskiego, a kiedy załatwiła sprawę lekcji, zadzwonił Brendan, żeby pogadać, a po nim Lydia. O której skończyły rozmowę? O wpół do pierwszej? O pierwszej?

- Proszę z OIOM-em - zwróciła się do telefonistki w szpitalu. Kiedy zgłosiła się siostra dyżurna, Samanta przedstawiła się. - Jak się czuje moja mama? - Nieźle sobie radzi. Nadzieje Samanty wzrosły.

- Obudziła się?

- Jeszcze nie.

Co więc miało znaczyć to „nieźle”, pomyślała Samanta. Podziękowała bardziej z rozczarowaniem niż wdzięcznością w głosie i odłożyła słuchawkę.

JACK po obudzeniu natychmiast chwycił za telefon. Po chwili dowiedział się z ulgą, że Rachel wciąż żyje, ze strachem, że nie obudziła się ze śpiączki i z nieoczekiwaną dumą, że Samanta z własnej inicjatywy zadzwoniła do szpitala.

Odrzucił pościel, podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Poranna mgła spowijała kanion, ale różniła się od mgły zasnuwającej jego podwórko w mieście. Była jakaś bardziej miękka.



- Tato? - Obejrzał się przez ramię na drzwi. W wąskiej szczelinie ujrzał twarzyczkę Hope. - Źle się dziś czuję. Brzuch mnie boli.  
jack podszedł do drzwi, dotknął jej policzka. - Nie masz gorączki. Może czymś się zatrzymała?

- Nie wiem. Ale jeżeli pójdę do szkoły i tam zrobi mi się niedobrze, będą musieli wzywać cię telefonicznie, a jeżeli będziesz w mieście, to nie przyjedziesz. No więc może powinnam zostać w łóżku.

Wcale nie sprawiała wrażenia chorej. - Nie chcesz się zobaczyć z mamą?

- jeżeli prześpię ranek, to będę mogła pojechać z Samantą, prawda?

Musiało chodzić o kotkę. - A gdzie jest Ginewra?

Celny strzał. Natychmiast zobaczył troskę w jej oczach.

- W łóżku. Też chyba nie najlepiej się czuje. jeżeli z nią zostanę, to obie poczujemy się lepiej.

jack objął córkę. Poczuł jej drobne, szczuplutkie ramiona pod podkoszulką sięgającą kolan. Między podkoszulką a kowbojskimi butami widać było nagie, chude łydki. - Czy mama pozwoliłaby ci zostać w domu?

- Nie. Ale sama byłaby w domu, żeby dopilnować Ginewry.

A on nie. Bez dwóch zdań. Musiał przecież podrzucić dziewczynki do szkoły w Carmel, zajrzeć do szpitala w Monterey, potem pojechać dalej na północ do San Francisco, znowu po dziewczynki i znowu do szpitala.

- Tato, ja nie mogę tak zostawić Ginewry - błagała Hope.

- Nie na cały dzień. Ona jest bardzo chora.

Nie chciał, żeby Hope opuściła szkołę. Musiał wybrnąć z tego inaczej.

- A Duncan? Nie mógłby do niej zajrzeć? Twarz Hope lekko się rozjaśniła. - Zapytam.

DUNCAN wysunął propozycję, która bardziej przypadła Hope do gustu, chociaż jack nie rozumiał, dlaczego. Nie rozumiał, dlaczego Ginewrze miałoby być lepiej przez cały dzień u Duncana niż we własnym domu.

- Bo on ma wiarę - tak Hope skwitowała pytanie jacka, który więcej nie nalegał. Od lat słyszał o tej wierze Duncana.

Czyli Duncan jest wierzący. To świetnie. To bardzo dobrze.

Ważniejsze dla Jacka było to, że w ferworze ubierania się i podwożenia kotki o trzy minuty drogi od domu Hope zapomniała o bólu brzucha.

Jack czekał przy samochodzie, aż córka zanieśie Ginewrę. Kiedy Duncan wyszedł przed drzwi, Jack mu podziękował:

- Dzięki. To dla niej dużo znaczy.

- A jak z jej matką?

- Bez zmian. Właśnie do niej jadę.

- Zadzwoń lepiej do Bena.

- Kto to jest Ben? - spytał Jack, ale zanim Duncan zdążył odpowiedzieć, Hope ujęła olbrzymą za rękę i spojrzała nań z nabożną czcią.

- Odbiorę ją później - powiedziała.

Duncan skinął głową i uściśnął rączkę dziewczynki.

KIEDY Jack przyjechał do szpitala, Rachel była wykąpana i leżała w wykrochmalonej białej pościeli. Wziął ze sobą tubkę kremu z jej łazienki i teraz zaczął nim nacierać odsłonięte części jej ciała. Kapnął odrobinę na policzki, omijając ostrożnie ranę.

- Na pewno boli cię głowa - powiedział.

Rachel nie zareagowała. Jej dłoń leżała bezwładnie, ręka jakby ważyła tonę. Przez jakiś czas obserwował powieki, wypatrując drgania gałek ocznych. Ale na próżno. Wyszedł z sali mocno sfrustrowany.

Na korytarzu spotkał Karę Bates. W uszach miała dzisiaj onyksowe kwadraciki, również przykuwające uwagę.

- Czy Rachel nie powinna już jakoś reagować? - zapytał.

- Minęło przecież półtorej doby.

- Panie McGill, to musi potrwać - uspokoiła go lekarka.

- Stan zdrowia pańskiej żony się nie pogarsza.

- Dzisiaj ma ją zbadać sprowadzony przeze mnie neurolog. Kara sięgnęła za biurko i wyjęła stamtąd wizytówkę. - Już tu

był. Prosił, żeby zadzwonił pan do niego po południu. Nie sądzi, żeby trzeba było cokolwiek teraz robić. Jack przeczesał ręką włosy. Kolejna zaprzepaszczona nadzieja.

- Gdyby pani miała zgadnąć, kiedy Rachel się obudzi...

- Tego mi nawet nie wolno. Chciałabym dać panu nadzieję, ale nie wiem. Tak to już jest z urazami głowy. Mogę jedynie powiedzieć, że Rachel ma spore szanse na powrót do zdrowia.

Ale Jack chciałby usłyszeć znacznie więcej.

POWINIEN poczuć się lepiej, jadąc na północ w stronę San Francisco. Tam był jego dom, jego firma, Jill. Ale im bardziej zbliżał się do miasta, tym mocniejsze czuł ssanie w dołku.

Najpierw zajrzał do domu, w nadziei, że tam odzyska równowagę, ale powiało stamtąd chłodem. Rzucił torbę na łóżko i szybko napełnił ją ubraniami. W pracowni załadował teczkę papierami i już zmierzał w stronę drzwi, kiedy zatrzymał się w pół kroku i zawrócił. Z holu wejściowego zadzwonił do Jill.

-1 jak ci poszło? - spytał na wstępie.

- Jack, skąd dzwonisz?

- Od siebie, ale zaraz wyjeżdżam. Rachel nadal leży w śpiączce. Jak ci się udał wczorajszy wieczór?

- Dobrze. Znakomicie.

- Wiedziałem. Zawsze świetnie ci wychodzą takie imprezy. - Była serdeczną, ujmującą gospodynią, czy to przyjmowała gości w domu, czy też podejmowała ich w restauracji albo w sali balowej. - ile zebrałaś?

- Ponad ćwierć miliona.

- Jill, to wspaniale. Moje gratulacje. Na pewno się cieszysz.

- Brakowało mi ciebie - przyznała. - Kiedy wracasz?

W ciągu tych dwóch lat dość często zadawała to pytanie. Aczkolwiek nie nalegała, podobnie jak teraz. Tyle że tym razem jej pytanie miało inny wydźwięk. Byłby przysiągł, że wyczuł w nim strach. Zwykle odpowiadał wymijająco, składając wszystko na karb pracy. Tym razem powiedział tylko: - Wrócę, kiedy będę mógł. Módl się za Rachel.

Wiedział, że przypuszczalnie spełni jego prośbę. Podjechał do biura...

lecz zaledwie zaparkował, od razu miał ochotę uciec. A przecież była to jego firma. Jako współwłaściciel, figurujący-nawet w jej nazwie, ponosił odpowiedzialność wobec dwudziestu kilku osób, które zatrudniali wraz z Davidem.

Przeskakując po dwa stopnie naraz, pobiegł prosto do gabinetu Tiny Cianni. Rozmawiała przez telefon, ale natychmiast odłożyła słuchawkę.

- Co z Rachel?

- Żyje, ale nadal w śpiączce.

Tina odetchnęła z ulgą. - A dziewczynki?

- Siedzą u niej. A co tutaj?

Spojrzała na niego ostrzegawczo. - Lepiej nie pytaj. Znowu?

- Coś gorszego niż śpiączka?

- David byłby tego zdania - powiedziała Tina zgryźliwie. - Wczoraj wieczorem Michael Flynn miał poprawić szkic projektu dla Buffalo.

Wybiegł jednak o trzeciej po południu, żeby zabrać swoją dwuletnią córeczkę do lekarza. Potknął się na schodach, upadł i chyba złamał sobie nogę w kostce. Pojechał na prześwietlenie.

Jack powinien się zdenerwować, ale przyjął to z otepieniem. - I co jeszcze? - Boca. Znowu trzeba stanąć do deski.

Projekt w Boce stanowił połączenie biurowca z dużym centrum zakupowym.

Jack już trzy razy przerabiał projekt, żeby zadowolić kaprysy pewnego rezolutnego członka jednej z ważnych komisji. Poszedł na kompromis już tak daleko, jak tylko mógł. Czy za te pieniądze warto się było tak męczyć?

- Czy na jutro też wszystko odwołać? - spytała Tina.

- Absolutnie. - Za nic w świecie nie skupiłby się teraz na Buffalo ani na Boce. Tyle że był szefem firmy, której morale gwałtownie spadało.

Przeszedł więc korytarzem, przystając kolejno przy wszystkich biurkach, żeby bodaj zaznaczyć swoją obecność - tu rzucił pytanie, tam propozycję. Na nim spoczywała odpowiedzialność za trzy czwarte projektów firmy. A były nie byle jakie, coraz ważniejsze.

Magazyn „Metropolitan Home” zamieścił zdjęcie jego muzeum w Omaha, „Architectural Digest” przygotowywał artykuł na temat jego biblioteki w Memphis. Mimo to Jack czuł się tu nieswojo. Był wściekły, że musi siedzieć w biurze. Może się wypalił. Przecież jakoś musiał wyjaśnić swoją niechęć.

Chociaż niechęć mogła też być skutkiem zmęczenia. Albo przejęcia.

Każdy normalny człowiek czułby po czymś takim wstrząs. Jack wetknął do kieszeni plik świstków z wiadomo-

ściami telefonicznymi, wrócił do recepcji i poprosił Tinę, żeby odwołała Austin. A potem ruszył na południe do Monterey.

PRZY swojej filigranowej sylwetce Rachel miała niesłychanie zgrabne ręce i nogi. Jack wcierał jej mleczko w przedramię, kiedy weszła Katherine Evans.

- Witaj - powiedział, siląc się na serdeczność. - Jak leci?

- Byłoby lepiej, gdyby Rachel się obudziła. Wygląda tak samo. Czy zdaniem lekarzy są jakieś zmiany?

- Żadnych. Miałem nadzieję, że do tej pory już się obudzi. Katherine wzięła szczotkę ze stoliczka przy łóżku. zaczęła szczotkować włosy Rachel.

- Dziewczynki są w szkole?

- Tak. Za godzinę je odbieram. I przywożę tutaj. - Zerknął na monitor. - To dla nich trudna sytuacja.

Katherine uniosła delikatnie głowę Rachel, by wyszczotkować włosy z tyłu. - podejrzewam, że to tylko częśćka ich problemów.

- Nie rozumiem.

- podejrzewam, że twoja obecność tutaj nastrecza jeszcze inne problemy.

- przypomina o rozwodzie? Nie sądzę. Martwią się o matkę. Martwią się o to, kto przygotuje im dzisiaj kolację. Nie myślą o rozwodzie. Rozwód to stare dzieje. - A moim zdaniem myślą - upierała się Katherine. - Samanta ma obsesję na tym punkcie. W ogóle nie cierpi autorytetów, a tu nagle ty wkraczasz w jej życie po tak długiej nieobecności. Pewno uważa, że nie masz prawa mówić jej, co powinna robić.

- Tak ci powiedziała?

- Nie. Ale na pewno zastanawia się, dlaczego tutaj jesteś. - Katherine uniosła brwi. - Sama się zastanawiałam.

Jack przyglądał jej się chwilę ze zdumieniem. - Przecież moja żona leży w śpiączce. Więc gdzie miałbym być?

- Twoja była żona. Wciąż o tym zapominasz.

- Spędziliśmy razem dziesięć lat, mamy dwoje dzieci. Nic dziwnego, że tu jestem. Nie dopatruj się w tym niczego więcej.

- Jest coś więcej, jeżeli ją nadal kochasz.

- Od sześciu lat jesteśmy rozwiedzeni. Prawie jej dzisiaj nie znam. Jak mógłbym kochać kobietę, której nie znam?

Przestała szczotkować.

- Wiesz, co? Moim zdaniem, trzyma cię tu poczucie winy. Chcesz nadrobić to, czego nie zrobiłeś wtedy.

- Poczucie winy? A kim ty jesteś? Psychoterapeutką?

- Ciepło, ciepło - odłożyła szczotkę na stolik. - Fryzjerką.

- Żartujesz. Nie wyglądasz mi na fryzjerkę. Roześmiała się.

- Podobnie jak nie wyglądałam ci na przyjaciółkę Rachel?

- Fryzjerką? - Nie mógł uwierzyć. - Ostatnim razem moja żona przestąpiła próg salonu fryzjerskiego w dniu naszego ślubu. I poprzysięgła sobie, że nigdy więcej tego nie zrobi.

Katherine wzruszyła ramionami.

- Najwyraźniej dopatrzyła się błędów w swoim postępowaniu.

JACK McGill przypominał Katherine jej byłego męża. Roy wykazywał taką samą arogancję, taką samą krótkowzroczność. Do dzisiaj sądził, że rozwiodła się z nim, bo nie mogła sprostać jego potrzebom.

Nie mogła sprostać jego potrzebom? Niezupełnie. Raczej nie chciała. On w ogóle nie zwracał uwagi na jej potrzeby, co przez pierwszych kilka lat w ogóle jej nie przeszkadzało. Zajmowała się własną pracą. Miała przyjaciół. Gdzie indziej znajdowała lojalność, wrażliwość, bodźce intelektualne. Ale kiedy raz był jej naprawdę potrzebny, to go przy niej nie było. Potem szybko jej się znudziła rola jego służącej.

Założyła ręce, spuściła oczy, usiłowała odeprzeć myśl o Royu, jadąc windą do kawiarni, ale cała sceneria wokół wcale jej w tym nie pomogła.

W ogóle nie lubiła szpitali, a tego w szczególności. Znała go jak własną kieszeń. Podeszła wprost do tacy z herbatą w torebkach, wybrała earl greya, naląła wrzątku do plastikowego kubka, zapłaciła i usiadła przy stoliku. Zanurzyła torebkę, kiedy ktoś ją zaczepił:

- Przepraszam, czy myśmy się przypadkiem nie poznali? Podniosła wzrok. Mężczyzna miał na sobie blezer, koszulę,

krawat i dzinsy. Włosy bujne, szpakowate, dobrze ostrzyżone. Katherine zwracała uwagę na takie drobiazgi. Na tym polegała jej praca. Zauważyła również, że jest przystojny. Sama też była niebrzydka. Tyle że właśnie wygłosił najstarszą bodaj odzywkę podrywaczy.

- Chyba wczoraj z rana. O świcie - wyciągnął do niej rękę. - Steve Bauer.  
No tak. Neurolog Rachel. Podała mu rękę.

- Katherine Evans. Jestem przyjaciółką Rachel. Widział ją pan dzisiaj?

- Z samego rana. - Przysiadł się. - A pani?

- Też. Czy można coś więcej dla niej zrobić?

- Jeszcze nie. Najważniejsze, że jej stan nie pogarsza się. A to już dużo.  
Czy pani mieszka gdzieś w pobliżu?

- Nie bardzo - odpowiedziała, zgadując, do czego lekarz pije.

- Bo odnoszę wrażenie, jakbym panią znał. - Miał naprawdę zakłopotaną minę. - Ale może się mylę. Czasami jakaś twarz utkwi człowiekowi w pamięci, aż zaczyna sądzić, że pamięta ją z dawnej sytuacji. Nigdy tu pani nie pracowała?

- Nie. Jestem fryzjerką.

Przybrał zaintrygowaną minę. - Rzeczywiście, ma pani wspaniałą fryzurę. Aż postawiła oczy w ślup. - Ja tu siedzę w nerwach, bo moja przyjaciółka leży w śpiączce. Ani pan, ani pański personel nie możecie jej pomóc, a pan tu jeszcze plecie o mojej fryzurze?

Wycofał się. - To była niewinna uwaga.

- Ale bardzo nie na miejscu.

- Wcale nie. Nie na miejscu byłoby, gdybym omawiał z panią medyczne szczegóły stanu zdrowia pani przyjaciółki, albo, co gorsza, rzucił czece obietnice na temat jej powrotu do zdrowia. A ja po prostu wyraziłem podziw dla pani wspaniałej fryzury. To dzieło pani zakładu?

Owszem, ale nie miała zamiaru odpowiadać. Nie pojmowała, dlaczego lekarze uważają, że mają prawo o wszystko wypytywać.

- A gdzie pan mieszka? - spytała, wątpiąc, czyjej odpowie. Ale odpowiedział. - W Pacific Grove.

O raju. Ale elegancka dzielnica.

- Siedem lat temu kupiłem tam domek - dodał. - Dosłownie kilka kroków od oceanu.

- A ma pan rodzinę?

- Byłą żonę. Poza tym dwóch synów i córkę. Dorosłych.

To ją zaskoczyło. Mimo że miał siwiejące włosy, sądziła, że jest dopiero po czterdziestce. - To ile pan ma lat?

- Pięćdziesiąt trzy. A pani?

Naraz rozdrażniona, westchnęła i wstała z herbatą.

- Na tyle dużo, by wiedzieć, że najlepiej zrobię, jeżeli wrócę do Rachel. Do widzenia.

DZIESIĘĆ nastolatek czekało na Jacka przed szkołą. Hope pierwsza otworzyła drzwi samochodu i wślizgnęła się na tylne siedzenie. - Jak mama? - zapytała.

Usiłował zbyć ją zdawkową odpowiedzią.

- Nieźle. Jeszcze śpi.

Samanta usiadła na miejscu pasażera, wskazała grupkę kolegów stojących na krawężniku.

- To moi koledzy: Joshua, Adam, Shelly, Heather, Brendan, Amanda, Seth i Lydia. Też chcą się dowiedzieć o stan mamy. Obudziła się?

Uniósł rękę w geście powitania. - Jeszcze nie.

- A czy nastąpiła poprawa? - zapytała jedna z dziewcząt stojących najbliżej Samanty. Domyślił się, że to Lydia, którą znał tylko z imienia.

- Lekarze twierdzą, że tak - odparł. Wśród dziewcząt ukazała się twarz chłopca.

- Jestem Brendan. Moja mama prosiła, żeby panu powiedzieć, że opanowała sytuację z balem, więc żeby pan się nie martwił. W poniedziałek omówiła plany z mamą Samanty i wszystko jest ustalone. Samanta zatrzasnęła drzwi. - Musimy jechać.

- Co jest ustalone? - spytał Jack.

- Plany na bal. Jedziemy. Chcę zobaczyć mamę. Ruszył spod szkoły. - Co to za bal?

- Taki, na który muszę mieć sukienkę. Już ci mówiłam. Może i mówiła, ale tyle miał ostatnio na głowie.

- Chyba raczej zabawa szkolna, a nie bal? Masz dopiero piętnaście lat. zza pleców dobiegło go wygłoszone błagalnym głosem wyjaśnienie, najwyraźniej po to, żeby nie doszło do kłótni.

- Dziewiąta i dziesiąta klasa mają bal.

- Kiedy?

- W sobotę za tydzień - poinformowała go Samanta. - W ten weekend muszę kupić sukienkę. Obiecałeś tato, że ze mną pojedziesz.



- Tato? - odezwał się znów głosik z tyłu. - A co z moim piknikiem? Mama miała go urządzić.

Jack poczuł się, jakby już trzymał naręcze cegieł i teraz uginał się pod kolejną, a potem kolejną i jeszcze kolejną. Sukienkę, owszem, mógł kupić. To wymagało od niego postania w sklepie, powiedzenia „tak” lub „nie” i wyciągnięcia karty kredytowej. Ale organizacja pikniku to coś zupełnie innego. Uznał, że może załadować samochód po brzegi dwulitrowymi butelkami napojów chłodzących i zawieźć je, dokąd trzeba, może nawet kupić dwa tuziny naczyń jednorazowych. Ale wszystko zorganizować? z pewnością ktoś inny z grona rodziców mógłby się tym zająć.

- zadzwonię wieczorem do twojej nauczycielki. Masz numer?

- Mama ma. - A co z wystawą mamy? - zapytała Samanta.

- z jaką wystawą?

- Mama miała mieć wystawę u P. Emmeta. To galeria sztuki tutaj w Carmel. Wernisaż ma się odbyć w niedzielę za dwa tygodnie. A jeżeli do tego czasu się nie obudzi?

- Na pewno się obudzi - pocieszył ją.

- A jeżeli nie? Albo jeżeli obudzi się dopiero tydzień przed czasem?

Obrazy nie są dokończone. Ostatnio zaczęła już histeryzować w sprawie terminu. Chyba musisz pogadać z Benem.

- z Benem?

- z Benem Wolfem. Kierownikiem galerii. To on przygotował mamie wystawę. Ostatnio się spotykali - dodała, w swoim mniemaniu niewinnie.

- Ben sprzedaje więcej obrazów mamy niż ktokolwiek inny. zorganizował jej wystawę indywidualną. Jack gwizdnął, pod wpływem podwójnego wrażenia. - A jeżeli mama nie dokończy tych obrazów? - dopytywała się Samanta. - To od wielu miesięcy jej pierwsza wystawa indywidualna.

Mamie bardzo na niej zależało. - Pogadam z Benem - obiecał Jack i odsunął na razie tę myśl, bo rosła w nim potrzeba, żeby Rachel obudziła się, i to szybko. BEN Wolf był w szpitalu, kiedy Jack przyjechał z dziewczętami. Miał szatynowe włosy i okulary w drucianych oprawkach, przeciętny wzrost, wagę, prezencję - słowem nic takiego, co, zdaniem Jacka, mogłoby przyciągnąć Rachel. I ona uważała, że Jack jest konserwatywny? Dopiero Ben Wolf stanowił uoso-

bienie konserwatyizmu, chociaż było mu z tym do twarzy. Sądząc po wykrochmalonej białej koszuli, elegancko wpuszczonej w szare, dobrze skrojone spodnie od garnituru, a także po renomie tej galerii, Jack zgadywał, że facet musi mieć głowę na karku.

Natomiast kobieta przy jego boku sprawiała zgoła odmienne wrażenie.

Tchnęło od niej jakąś buntowniczością, począwszy od różowych pasemek we włosach, a skończywszy na półtuzinie kolczyków w jednym uchu.

Jack uznał, że to musi być rzeźbiar-ka z grupy Rachel, jeszcze zanim ich sobie przedstawiono.

Ben Wolf. Charlena Avalon. Jack witał się uprzejmie ze wszystkimi, ale szybko przeniósł uwagę na Rachel. Miała wciąż spokojną, bladą, nieruchomą twarz. Ujął jej dłoń. Kiedy ją trzymał, od razu czuł się lepiej, jakby to nadawało mu wszelkie prawo, żeby tutaj być.

Następnie zwrócił się do Hope uczeptionej jego ramienia:

- Opowiesz mamie, co robiłaś dzisiaj w szkole?

- Cześć, mamó - odezwała się Hope nieśmiałym głosem.

- To ja, Hope. Dziś też włożyłam te buty, które przynoszą mi szczęście.

- Co za bzdura - skomentowała Samanta.

- Wcale nie. Przypominają mi tamten niedzielny koncert. Nie zdejmę ich, dopóki mama się nie obudzi. - A do matki powiedziała: - Ginewra jest u Duncana. Mam nadzieję, że jest w dobrej formie. - Podniosła wystraszone oczy na Jacka. - Charlie zna Duncana. Często do niego wpada.

Charlena skinęła głową.

- Duncan ma szopę ze starym, zardzewiałym żelastwem

- wyjaśniła. - Wybieram stamtąd złom potrzebny mi do pracy

- uśmiechnęła się do Jacka. - Ben i ja zastanawialiśmy się, co teraz zrobić z wystawą. Bo wiesz, że była w planie wystawa?

- Ależ naturalnie - potwierdził Jack, jakby wiedział o tym od początku. -

Za dwa tygodnie wernisaż. Przypuszczam, że obudzi się na długo przed

terminem. - Pochwycił spojrzenie Bena Wolfa. - Możemy zamienić

słowo? Pociągnął Samantę na swoje miejsce przy boku Rachel i wyszedł na korytarz. Kiedy Ben dołączył do Jacka, ten spytał:

- Czy jest jakaś szansa na przełożenie wystawy? Ben pokręcił głową.

- Obdzwońnię wszystkich autorów kolejnych wystaw i nikt nie zdąży w tak krótkim terminie.

- Ile prac Rachel jest już gotowych?

Ben poprawił okulary na nosie. - Nie jestem pewien. Obiecała mi dwanaście. Gdybym mógł zajrzeć do jej pracowni i zobaczyć, co tam ma, z pewnością zorientowałbym się lepiej, na czym stoimy.

Jack zdziwił się, że jeszcze tego nie zrobił. Gdyby Ben i Rachel naprawdę mieli się ku sobie, na pewno spędzałby dużo czasu w jej pracowni. Tak jak niegdyś Jack.

- Nie trzeba - stwierdził Jack. Ben Wolf był za mdły dla Rachel. Nigdy nie dorównałby jej duchowi. Był zbyt ulizany, za bardzo błady.

Jack, czując swoją dominującą pozycję, zaproponował: - Sam się rozejrzę. Ma pan wizytówkę?

Po chwili trzymał wizytówkę kierownika galerii w ręce. - I dam panu znać, co znalazłem.

ZNALAZŁ zdjęcia. Wpadły mu w ręce wieczorem po dokończeniu pizzy, zatelefonowaniu do nauczycielki Hope z błaganiem o pomoc w organizacji pikniku, spędzeniu dwóch godzin przy laptopie na biedzeniu się z problemami wynikłymi przy projekcie, który przefaksowano mu z Boca. zbyt zmęczony, żeby zaglądać do pracowni Rachel, zabrał się do przetrząsania jej szuflad. Cindy Winston, przełożona pielęgniarek, podszeptała mu, że Rachel mogłaby się lepiej czuć we własnej koszuli nocnej. Nawet nie chodziło o to, że we własnej. Rachel nosiła zwyczajne flanelowe koszule. Ale musiał przyznać, że miała świetny gust do żywych kolorów. Wybrał fioletową i jasnozieloną, a kiedy odsunął na bok czerwoną w kolorze maków, znalazł trzy fotografie w ramkach. Leżały odwrócone wierzchem do spodu, zakrywając całe dno szuflady.

Najpierw odwrócił jedną. Była oprawna w złotą ramkę, którą mogła kupić jedynie matka Rachel. Było to oficjalne zdjęcie ślubne, państwo młodzi na środku, a po bokach dwie pary szczęśliwych rodziców. Jack i Rachel w równym stopniu nie znosili tej fotografii. Wyszli na niej sztywno i sztucznie.

Teraz oboje rodzice Rachel już nie żyli, ale wtedy Victoria Keats postanowiła za wszelką cenę wyprawić swojej jedynaczce

huczne wesele, jakiego nigdy sama nie miała, a Eunice McGill przyłączyła się ochoczo do tego projektu.

Zdjęcie zaręczynowe Rachel i Jacka było lepsze, ale ileż się o nie musieli wyklócać. Wyszli na nim całkiem naturalnie, całkiem swobodnie, czyli zupełnie nie tak, jak matka Rachel chciałaby, żeby wyszli na zdjęciu posłanym do gazet, ale oni się uparli.

Jack wziął je teraz do ręki, zwyczajną drewnianą ramkę, do której Rachel przykleiła żywicą kompozycje z migoczących sre-berek i ozdobnego papieru. Młodszy o siedemnaście lat, mieli twarze promienne, wyzywające, radosne.

A drugie zdjęcie? Jego ulubione. Oprawne w surową kamienną ramkę, pstryknięte przez Rachel na rok przed rozwodem. Dokazywał z dziewczynkami na podwórku za domem w Pacific Heights, a Rachel, która stała po drugiej stronie obiektywu, była tak zaangażowana w tę scenę, jakby była jej głównym obiektem. Trzy uśmiechy, trzy roześmiane twarze patrzyły wprost na nią, każda z inną dozą śmiałości i miłości.

Wsunąwszy małą kamienną ramkę ostrożnie do szuflady, Jack przykrył ją zdjęciem zaręczynowym, kiedy jednak miał położyć na wierzchu zdjęcie ślubne, przemknęło mu przez głowę, że nie chciałby nim kłaść tamtych dwóch.

Schował je więc osobno w dolnej szufladzie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

KIEDY nazajutrz rano Jack znów przyjechał do szpitala, Rachel leżała na boku tyłem do drzwi. Serce zaczęło mu walić. Obudziła się! Podeszedł na palcach.

- Rachel? - szepnął, wypatrując drgnienia jej powiek. Kara Bates wróciła na salę.

- Zaczęliśmy ją przewracać. Przeleżała już dwie doby na plecach. Podłożyliśmy też materac przeciwoleżynowy. Da jej namiastkę ruchu. Jack musiał znowu pożegnać się z nadzieją. Jej miejsce zajęło rozczarowanie z domieszką strachu, bowiem słowa lekarki

sugerowały, że utrzymywanie się śpiączki dłużej niż dwie doby oznacza pogorszenie sytuacji. - Jest jakaś zmiana? - spytał, wpatrując się w monitor. - W mózgu nie ma. Ale chyba poprawiła się trochę na twarzy. Jack przyznał jej rację.

- Skoro obrzęk ustępuje tutaj, to dlaczego nie miałyby ustępować również w środku?

- Obrzęk w środku jest osłonięty czaszką, dlatego mózg regeneruje się wolniej - odparła Kara, zaglądając do podręcznej torby, którą Jack postawił na łóżku. - Co pan przyniósł?

- Koszule nocne. Rachel lubi żywe kolory.

- Zaczęłam się domyślać - stwierdziła lekarka, wskazując głową na parapet. Był zastawiony kwiatami.

Stało tam pięć bukietów - w wazonach i koszach. Jack nie znał nawet nazw tych wszystkich kwiatów, ale znał kolory. Ulubione kolory Rachel - głębokie granaty, żywe czerwienie, soczyste zielenie, jaskrawe żółcie. Lubiła podstawowe kolory w mocnych odcieniach. Przy każdym bukietcie karteczka. „Rachel, jesteś nam potrzebna. Wracaj szybko do zdrowia” napisały Dinah i Jane. Obok stała wiązanka płomiennych czerwonych kwiatów od Nellie, Toma i Bev, wysoki niebieski bukiet od Liebermanów, wazon żółtych róż z karteczką: „Serdeczności, Ben”. Kiedy Jack rozmyślał nad tym, że drażni go ten cały Ben Wolf ze swoim serdecznym bukietem, na salę wparowała Katherine. Na widok Rachel leżącej na boku wytrzeszczyła oczy, złożyła usta w pełne nadziei „O!”, ale Jack pokręcił głową.

Zakłęła pod nosem. - A już miałam nadzieję... - Ja też.

Pochyliła się nad Rachel i przemówiła do niej cicho, a potem wyprostowała się i spojrzała na Jacka. - Nie byłam pewna, czy przyjdiesz. - Przecież jestem - odpowiedział, ale nie był w nastroju do przekomarzania. Myślał o tych kwiatkach, o przyjaźniach zawiązanych przez Rachel po rozstaniu z nim. W San Francisco prowadziła samotne życie... życie kobiety niezależnej, skupionej wyłącznie na malowaniu, dzieciach i mężu.

- Kto to są Dinah i Jane?

- Dinah Monroe i Jane O'Neal. Obie należą do naszego kółka czytelniczego. Poznałeś je wczoraj.

Wczoraj poznał mnóstwo ludzi. Wszystkie twarze mu się pozlewały.

- A Nellie, Tom i Bev?

- Znajomi od brydża.

Chyba się przesłyszał. - Od brydża? Chodzi ci o karty?

- Tak. Zgadza się.

Usiłował to sobie wyobrazić, ale nie mógł.

- Coś niesłychanego. W San Francisco Rachel za żadne skarby nie usiadłaby do brydża. Brydż symbolizował życie jej matki.

Katherine uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście. Rachel nienawidziła roli brydża w życiu swojej matki, ale z domu wyniosła znajomość tej gry. A kiedy sprowadziła się tutaj, poznała Bev, brydżystkę, która maluje nieprawdopodobne obrazy akrylami na skórze wężowej i jakoś dała się skusić do brydża.

- A Liebermanowie?

Katherine uśmiechnęła się naprawdę ciepło.

- Faye i Bill. Faye należy do naszego kółka czytelniczego. Gra w golfa. Jane zresztą też, a poza tym jest młodą matką. Wpadnie tu później.

- A ty i Rachel? Jak się poznałyście?

- W poczekalni u ginekologa - powiedziała Katherine. Spojrzała na zegarek, spłoszona nachyliła się nad ramieniem Rachel.

- Muszę już bieć, o dziewiątej mam klientkę. Ale wczesnym popołudniem zostawiłam sobie wolną godzinę. Wpadnę tu, żeby cię uczesać. - I spytała Jacka: - Odebrać dziewczynki ze szkoły i przywieźć tutaj?

Jack poczuł przyływ zaborczości.

- Ja sam się tym zajmę. Przecież to mój obowiązek.

- Witam wszystkich - odezwał się od progu Steve Bauer. Katherine wyprostowała się i skierowała ku wyjściu. - Pa, pa

- rzuciła, machnąwszy ręką nie wiadomo komu.

Lekarz odprowadził ją wzrokiem. - Nie musi pani uciekać z mojego powodu.

Ale jej już nie było, zanim Jack zdążył się zastanowić, skąd ten nagły pośpiech.

JACK poważnie zalegał z pracą. Gdy tylko włączał laptop, zasypywała go lawina wiadomości. Rano ruszył z Big Sur na północ, ma-

jąc zamiar podrzucić dziewczynki do szkoły w Carmel, odwiedzić Rachel w Monterey, a później pojechać do San Francisco. Ale kiedy znalazł się przy boku Rachel, jakoś praca przestała go naglić.

Oparł łokcie na barierce łóżka i wpatrywał się w twarz żony. Nawet z tym blednącym sińcem po lewej stronie nadal wydawała mu się piękna. Tak jak zawsze.

- Rachel, co się z nami stało? Nigdy tego nie zrozumiałem. Nie mogłem tego pojąć. - Urwał. - Czy teraz muszę w ten sposób zapłacić za wszystkie moje wyjazdy? Chcesz, żebym spędzał więcej czasu z dziewczynkami? No więc powiem ci, że spędzam teraz z nimi sporo czasu i świetnie się dogadujemy. Kocham je. Zawsze je kochałem. Wierz mi, że kiedy spakowałaś ich rzeczy i zabrałaś je z domu, było mi ciężko na sercu. Przysunął się bliżej do jej twarzy i ciągnął cicho. - No dobrze. Już po wszystkim. Jesteśmy rozwiedzeni. Ale ta śpiączka to zupełnie inna sprawa. Dzień, dwa, rozumiem. Ale trzy? Rachel, obudź się. Staram się, jak mogę, ale jesteś potrzebna naszym córkom. Ja cię tylko kiepsko zastępuję. Jak długo masz zamiar trwać w tej śpiączce?

Nawet nie drgnęła, nie mrugnęła okiem, nie zareagowała.

Nie wiedział, jak długo tak stoi, patrząc na nią z marsem na czole. W końcu się jednak rozchmurzył, przysunął sobie krzesło i usiadł.

KLIENKA Z pierwszej godziny się spóźniła, toteż ta z pierwszej czterdzieści pięć też się przesunęła. Katherine dojechała więc do szpitala dopiero o czwartej. Poczula zawód, kiedy zobaczyła, że Rachel wcale się jeszcze nie ocknęła.

Hope czytała książkę. Siedziała z podkulonymi nogami na łóżku, kowbojskie buty leżały na podłodze. Jack stał przy oknie. Jedną rękę trzymał na biodrze, drugą podrzucał nerwowo telefon komórkowy. Na stoliku za jego plecami piętrzył się stos papierów.

Katherine uściskała Hope. - Jak mama?

Dziewczynka wzruszyła ramionami. - Dobrze.

Jack się odwrócił. - Co słyszać? - zapytał, ale wyszedł, zanim Katherine zdążyła odpowiedzieć. - Zaraz wracam.

Odprowadziła go spojrzeniem, po czym zwróciła pytający wzrok na Hope.



- Nie pozwalają mu tu korzystać z komórki - wyjaśniła Hope.
- Bo to zakłóca pracę aparatury.
- Aha. To dlatego jest taki rozdrażniony.
- No. - Hope wbiła wzrok w Rachel. - Myślisz, że mama wie, że tu jestem?
- Z całą pewnością.

Hope rozważyła to w myślach i dodała: - Samanta siedzi na korytarzu.

- Wiem, bo minęłam ją po drodze. - Samanta zaklinowała się w budce telefonicznej z podręcznikiem algebry na kolanach i z ołówkiem w ręce. Nagle przerwana rozmowa i zbyt szeroki uśmiech rzucony Katherine świadczyły o tym, że bynajmniej nie rozmawia o matematyce.

Hope zerknęła przezornie w stronę korytarza, a potem rzuciła żarliwym szeptem:

- Martwię się o Sam. Katherine nachyliła się bliżej.
  - Z jakiego powodu?
  - Chodzi o ten bal - wyjaśniła szeptem Hope. - Oni chyba coś knują. Ale nie mogę nic powiedzieć tacie, bo się na nią wścieknie, a ona na mnie. Zresztą ja nic nie wiem. Tylko się domyślam
  - skuliła ramiona, przez co wydawała się jeszcze mniejsza.
  - Wiesz co - zaproponowała Katherine. - Może ja bym szepnęła słówko tacie? Nikt nie musi się dowiedzieć, że coś mówiłaś. Ufasz mi? - spytała Hope akurat, kiedy wrócił Jack. Gdy Hope przytaknęła, patrząc prosto w oczy Katherine, ta uśmiechnęła się i wręczyła jej banknot pięciodolarowy: - Marzę o herbacie. Może byś tak skoczyła i przyniosła mi earl greya? A tata pewno chętnie napiłby się kawy.
- Jack poprosił o mocną i czarną. Katherine odczekała, aż Hope wyjdzie, zanim spojrzała na pracę na stoliku.
- Sądziłam, że wybierasz się do San Francisco. Jack rzucił telefon na stół. - Rozmyśliłem się.
  - Dlaczego?
  - Sam nie wiem - przeczesał obiema rękami włosy. Katherine musiała przyznać, że na jego twarzy malowało się zmęczenie i poczuła do niego odrobinę sympatii. Miał teraz na głowie tyle spraw. Nie chciała mu ich dokładać, ale nie miała wyjścia.

- Hope się zamartwia, ale moim zdaniem jakoś się z tym upora. A jak Samanta?

- Muszę przyznać - odparł - że dziś po szkole była bardzo miła.

- To może oznaczać kłopoty.

- Może i tak, ale póki co - nie mam zamiaru szukać dziury w całym.

- A może powinieneś - powiedziała, tylko na poły się z nim drocząc. - Nastolatki bywają sprytnie. Jest już przygotowana na bal?

- W weekend jedziemy razem po sukienkę.

- Nadal wybiera się na bal z Brendanem?

- Można by tak powiedzieć - odparł Jack, ale minę miał niepewną. - Nie bardzo się orientuję, czy to dla niej coś poważnego. Za moich czasów miało się konkretną sympatię, ale Sam bardzo mgliście mówi o tym, kto z kim chodzi. W dziesięcioro ruszają limuzyną z domu Lydii. A po balu dziewczęta mają tam przenocować.

- Na pewno tylko dziewczęta?

- Tak twierdzi Samanta. Podobno rodzice Lydii też tam będą.

- Podejrzewam - podsunęła Katherine, niby to głęboko się nad tym zastanawiając - że Rachel wolałaby, abyś do nich zadzwonił.

- To by świadczyło o braku zaufania do własnej córki.

- Tu nie chodzi o zaufanie albo jego brak. Chodzi o troskę rodzicielską.

- Z tego wnoszę, że się na tym nieźle znasz. Umknęło mi... w jakim wieku są twoje dzieci?

Katherine nie miała dzieci i w lot chwyciła aluzję. Kiedyś kwestia dziecka była dla niej ważniejsza niż wszystko inne. A potem Roy od niej odszedł. I raptem skończyła czterdzieści dwa lata.

- Przepraszam, to był chwyt poniżej pasa - zaskoczył ją przeprosinami Jack. - Wybacz, ale mam teraz tyle kłopotów. Samanta i ja nie najlepiej dogadujemy się w Big Sur. Nie odpowiada jej to, co gotuję na kolację, nie odpowiada, że rozmawiam przez Jej" telefon, ani że śpię w łóżku Rachel. Traktuje mnie jak główną zawadę w swoim życiu. Skrytykowała już chyba każdy mój krok - i może, może właśnie wyszliśmy oboje na prostą. Dzisiaj po szkole pierwszy raz się do mnie uśmiechnęła.

Patrząc na Katherine błagalnym wzrokiem, zaczerpnął tchu.

- Daj mi się tym przez chwilę nacieszyć, co?

NADSZEDŁ piątek rano, a stan zdrowia Rachel nie uległ poprawie. Z rzędu telefonów w korytarzu tuż za salą Rachel Jack zadzwonił do Jill. Na dźwięk jej głosu poczuł wyrzuty sumienia.

- Cześć, Jill.

- Och, jak miło - ucieszyła się, słysząc jego głos. - Zastanawiałam się, kiedy sobie przypomnisz o moim istnieniu.

Wyrzuty sumienia się wzmogły. - Mam za sobą trudne dni. Dziewczynki są rozbite. Rachel nie odzyskała przytomności.

- Wiem.

- A, czyli dzwoniłaś do mnie do biura.

- Nie - westchnęła. - Nie chciałam, żeby Tina wiedziała, że do mnie nie dzwonisz, no więc zadzwoniłam do szpitala.

Poczuł się jeszcze parszywiej.

- Przepraszam cię, Jill. Tyle miałem ostatnio na głowie.

- Jack, wystarczyłby jeden telefon. Mógłby trwać tylko dziesięć sekund.

Ale wydaje mi się, że o mnie zapomniałeś. Chyba nie jestem dla ciebie na tyle ważna, żebyś chciał ze mną porozmawiać.

- Daj spokój - westchnął. - To nie najlepsza pora, Jill. Borykam się z poważnym problemem. Daj mi trochę czasu.

- Zawsze trzeba ci czasu.

- Wiedziałaś, kiedy się poznaliśmy, że prowadzę wymagający tryb życia.

- Ale nie spodziewałam się wymogów ze strony twojej byłej żony - rzuciła, lecz zaraz urwała. - Przepraszam, jestem samolubna. Ona przecież leży nieprzytomna. Może umrzeć.

- Wcale nie umiera. Moim zdaniem jest szansa, że obudzi się przed końcem tygodnia.

- Czyli do tej pory się nie zobaczymy? - spytała ostrożnie.

- A jutro wieczorem?

- Nie mogę. Muszę zajmować się dziewczynkami.

- Rozumiem - odparła Jill.

Ale czuł, że nie rozumiała. Wyczuł jej żal zawarty w tym jednym słowie.

- Może w poniedziałek, kiedy dziewczynki będą w szkole. Zjemy razem wczesny obiad?

- Chętnie - podchwyciła znów rozpromieniona.
- Powiedzmy o pierwszej w „Stars”?
- Nie w „Stars”. U mnie. Coś przygotowuję.
- Nieźle się zapowiada - powiedział. - Dzięki za wyrozumiałość, Jill. To dla mnie teraz największa pomoc.

Odłożył słuchawkę, czując się jak kompletny palant. To poczucie nie odstępowało go aż do drzwi sali Rachel.

JACK zdrzemnął się w fotelu przy łóżku Rachel. Ledwie przyłożył głowę tuż przy jej ręce, gdy zaraz musiał się poderwać jak na sprężynie.

- Przepraszam. Nie chciałam pana obudzić.

Patrzył nieprzytomnym wzrokiem na nieznajomą kobietę. Nie była urodzoną piękną. Miała zbyt chudą twarz, zbyt cienkie siwe włosy. Ale ładnie się prezentowała w jedwabnej tunice i zgrabnych spodniach, a ponadto miała ujmującą powierzchowność. Wokół unosił się cudowny zapach. Dobywał się z wielkiej torby zasuwanej na suwak, którą trzymała w ręku.

Wstał. - Myśmy się już poznali, prawda?

Uśmiech zagrał w jej oczach.

- Jestem Faye Lieberman. Byłam tu wcześniej. Należę do tego samego kółka czytelniczego, co Rachel. - Postawiła zasuwaną torbę na stoliku. - Przyniosłam obiad. Uznałam, że domowy obiad panu nie zaszkodzi.

- Bardzo dziękuję - podziękował. - Cóż za miły gest.

- Nie ma za co. - Faye podeszła do łóżka i dotknęła ręki Rachel. - Witaj, Rachel, jestem. Przyniosłam twoim bliskim coś do jedzenia. - Zerknęła na Jacka. - Jak dziewczynki?

Dziewczynki! Jack rzucił nerwowo okiem na zegarek. - Właśnie czekają na odebranie ze szkoły. - Jeszcze raz spojrzął na torbę z jedzeniem. - Musi pani mieć wielkie serce, że pani o nas pamiętała.

Zbyła komplement machnięciem ręki.

- Mam to w genach. Żydowskie matki w tym celują.

I RZECZYWIŚCIE smakowało - całej piątce. Bo Samanta zaprosiła Lydię i Shelly na nocleg w Big Sur, o czym Jack dowiedział się dopiero wówczas, kiedy dwie dodatkowe dziewczyny wpakowały się do jego bmw, a wtedy już nie umiał odmówić i ich

wyprosić. Swoją drogą, warto by pomyśleć o kupnie większego samochodu.

Termoizolacyjna torba kryła kurczaka duszonego w winie i w pomidorach z marchewką i ziemniakami. Wszyscy się najedli, humory dopisywały. Samanta z koleżankami oplotkowały wszystkie i wszystko dokoła. Hope słuchała z jakimś nabożeństwem, trzymając mrużącą Ginewrę na kolanach.

Dopiero jednak nazajutrz rano Jack pojął głębszy sens gościny koleżanek.

- Oczywiście, że jadą ze mną po zakupy - oznajmiła Samanta, kiedy miał czelność zaproponować, że po drodze podrzuci obie dziewczyny do domów. - W tym cała rzecz. Przecież sama nie wybiorę sobie sukienki, a ty nie jesteś kobietą. Skoro mama nie może mi pomóc, chcę mieć przy sobie koleżanki.

Zajrzeli do Saksa. Zajrzeli do Benettona. Kiedy przeczesali trzy kolejne sklepy, zaczął się już denerwować. Hope zresztą też.

- Jeszcze tylko jeden sklep - oświadczył jej, kiedy stali na rogu ulicy, dyskutując, dokąd pójść. - Ostatni. No więc, dobrze się namyśl. U Saksa była zupełnie dobra sukienka.

Dziewczęta odbyły długą trójstronną konferencję na szczycie i wreszcie zgodziły się tam wrócić. Jack spojrzał chętnie na Hope, ale mina mu zrzędała, kiedy okazało się, że sukienka zanesiona przez Samantę do kasy nie była wcale tą błękitną, którą miał na myśli. Ta była kusa, wąska i czarna.

- Czy mamie podobałaby się ta sukienka? - zapytał.

- Z całą pewnością - zapewniła go Samanta i z nieoczekiwanym uśmiechem wyciągnęła rękę po jego kartę kredytową.

W SZPITALU Jack nie odstępował od łóżka Rachel. Szczotkował jej włosy. Wpatrywał się w jej twarz. Dziewczynki poznały już na tyle dobrze szpital, że mogły same zejść do kawiarni po zimne napoje.

Niedługo potem wpadła w odwiedziny matka Lydii i po jakimś czasie wyszła wraz z Lydią oraz Shelly. Przewinęła się Katherine, po niej Ben Wolf. Kiedy ktoś inny znajdował się na sali, Jack wychodził. Wszyscy ci ludzie należeli do tej części życia Rachel, która rozgrywała się już bez niego. Sytuacja była niezręczna dla obu stron. Był czarnym charakterem w gronie aniołów.

Ale przetrzymał wszystkich. Pomógł siostrze dyżurnej wykąpać Rachel, a potem rozgimnastykować jej członki. Kiedy zauważył, że chora ma niewygodnie przekrzywioną głowę, podłożył jej poduszki.

- Tato, kiedy jedziemy? - dopytywała mniej więcej co godzinę Hope.

Mała zostawiła Ginewrę u Duncana. Już by chciała ją odebrać.

Jack to rozumiał, ale odwlekał chwilę wyjazdu. Przy boku Rachel czuł się lepiej, przyzwoiciej, spokojniej.

Ale Samanta umówiła się znowu z koleżanką na nocleg, a Hope rzucała mu mordercze spojrzenia, no więc wreszcie je stamtąd zabrał.

PODRZUCIWSZY Hope do Duncana, Jack podjechał do miejscowego sklepu po zakupy. Następnie wrzucił brudy do pralki i usiadł sobie pod sekwojami, wdychając leśne powietrze. Był przejrzysty, rześki, wonny wieczór.

Wkrótce przyłączyła się do niego Hope. Chwilę posiedzieli razem.

Pogłaskał Ginewrę po grzbiecie, czując ciepło i kruchość małego ciała.

Pomodlił się, żeby kotka nie cierpiała, bo wiedział, że to przysparza cierpienia Hope.

Jeszcze nie znalazł czasu, by zajrzeć do obrazów Rachel. Pracownia leżała odłogiem.

Podał kolację na stół. Samjadł bardzo powoli. Między kolejnymi kęsami powiedział Hope, że jest dumny z powodu jej opieki nad Ginewrą, a kiedy wybuchnęła płaczem, nachylił się nad jej krzesłem i wziął ją w ramiona.

Nie miał pojęcia, co by tu powiedzieć na pocieszenie, więc tylko trzymał ją w objęciach. Kiedy łzy ciurkały już wolniej, zapytał: - Pomożesz mi?

- Przy-przy czym? - chlipnęła, wtulona w niego.

- Przy obrazach mamy. Musimy przejrzeć, co tam ma, żeby powiedzieć Benowi, co zrobić z wystawą.

Córka podniosła na niego oczy - szeroko otwarte ze zdziwienia i załzawione.

- W poniedziałek mama malowała wydry morskie. Chcesz zobaczyć?

Uśmiechnął się.

- Jeśli mnie zaprowadzisz.

W PRACOWNI spędzili godzinę. Dokładność Rachel bardzo się teraz przydała. Lista obrazów przewidzianych na wystawę była przypięta do tablicy korkowej. Te, nad którymi pracowała przed wypadkiem stały tuż przy sztalugach. Inne umieszczone były w wyraźnie oznaczonych stelażach. Jack przyjrzał się każdemu z osobna. Rachel malowała dzikie zwierzęta w ich naturalnym środowisku. Poza wydrami były też jelenie na śniegu, wieloryby szare, wilki arktyczne, czaple, przepiórki i nury. Był też kojot, który patrzył wprost na Jacka wzrokiem, w którym strach mieszał się z groźbą, tak że ten omal się nie cofnął.

Czy malowała farbami olejnymi, akwarelami, akrylami, czy pastelami, zawsze udawało jej się uchwycić w zwierzaku coś prawdziwego, coś, co i on czuł - spojrzenie, emocję. Nic dziwnego, że powiększało się grono jej wielbicieli. W państwie, gdzie w ostatnich czasach rosła dbałość o ochronę środowiska, Rachel przejmująco przedstawiała nieszczęsny los dzikich zwierząt.

Jedenaście ukończonych prac czekało na oprawienie. Siedem, łącznie z wydrami, było wstępnie ukończonych, należało tylko domalować tło, dopiero ledwie zarysowane. Na odwrocie każdej z prac były przypięte szkice i zdjęcia plenerów.

Jak szacował sytuację? Żeby dokończyć tych siedem prac, Rachel musiałaby mieć półtora tygodnia. A oprawa? Niepocięte listwy leżały pod ścianą. Gdyby Rachel się przyłożyła, oprawa zabrałaby jej kilka dni. Czyli dwa tygodnie pracy nad wystawą zaplanowaną na za dwa tygodnie. Zdążyłaby na mur beton, gdyby nie śpiączka.

MIAŁ to powiedzieć Benowi Wolfowi w niedzielę po południu, kiedy podjechał do galerii w Carmel, ale zanim otworzył usta, Ben wprowadził go do sąsiedniego pokoju. W niszy wisiały trzy obrazy.

- Mieliliśmy cztery - wyjaśnił Ben. - Jeden sprzedałem w zeszłym tygodniu. Ale ten drugi nie jest na sprzedaż. Rachel nie chciała się z nim rozstać. I wcale jej się nie dziwię. Bo to również mój ulubiony. - Skierował wzrok w stronę obrazu, ale Jack już przedtem sam zwrócił na niego uwagę. Ulubiony obraz Bena, którego Rachel nie chciała za nic sprzedać, został namalowany razem z Jackiem. Przedstawiał parę młodych rysiów na zwałonym pniu, na łące w otoczeniu drzew. Ona namalowała rysie, on tło.

- Co się panu w nim podoba? - Jack spytał Bena.

Ben, w całej nieświadomości, nawet się nie zawahał. - Tło znakomicie uzupełnia pierwszy plan, a jednocześnie różni się subtelnie od reszty. Rysie są niesamowite.

- Mówił pan to Rachel?

- Nie raz.

- I co ona na to?

- Ze powstał dawno temu. No więc, na czym stoimy? Da się zrobić tę wystawę?

- Hm, moim zdaniem... Tak, chyba tak - potwierdził Jack, bo nie ulegało wątpliwości, że należy spróbować. Wątpliwości miał tylko co do jednego - jak Rachel przyjmie fakt, że jej były mąż chwyci za pędzel i znów przyłoży palec do jej pracy.

KIEDY Jack wchodził do domu, właśnie zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszał głos Davida Sunga.

David przez cały tydzień zostawiał mu wiadomości. Chciał zmusić Jacka do roboty, ale ten miał co innego na głowie.

- Co słyhać, Davidzie?

- Jack? Jack? To naprawdę ty?

Jack wyjrzał przez okno. Przedwieczne słońce, natrafiwszy na wierzchołki sekwoi, przedzierało się przez podrygujące szpilki i padało na chropowatą korę.

Było w tym coś uspokajającego.

W głosie kolegi brzmiało wybaczenie, którego nie spodziewał się usłyszeć. - Stary, mam za sobą ciężki dzień. - Czyli bez zmian?

- Bez zmian. A co u was?

- Właśnie odebrałem telefon. Flynn przeszedł do Walkera, Jansena i McCree'ego.

Walker, Jansen i McCree - ich konkurencja. Czyli Michael Flynn zdezerterował. To już trzeci w ciągu półtora miesiąca.

- Długo będziesz rozmawiał? - natarła zniecierpliwiona Samanta.

Jack uciszył ją gestem i powiedział do słuchawki:

- Trudno. Jakoś to przeżyjemy. Zresztą niezbyt się dziwię, bo ich projekty bardziej odpowiadają na lokalne zapotrzebowanie niż nasze. A Michael ma małe dzieci i nie chce mu się jeździć.



- To prawda, no a ty? Jack, robota czeka. Ale nie będzie czekała w nieskończoność.
- Tato, ja muszę zadzwonić - jęczała Samanta. Odwrócił się do niej plecami. - Podjadę jutro rano.
- Rozmawiałeś z Bocą?
- Taa, rozmawiałem. Musimy przenicować cały projekt. - Aż go coś ścisnęło w dołku na samą myśl o tym. - Posłuchaj, Davi-dzie, muszę zwolnić telefon.
- Co? Sądziłem, że ty tam pracujesz? Dziewczynki są w szkole, a Rachel i tak niewiele możesz pomóc.
- Owszem, mogę. Przy malowaniu. Przepraszam, Dave, ale muszę już kończyć. Moja córka czeka na telefon. Pogadamy później - i odłożył słuchawkę. - Przy jakim malowaniu? - zainteresowała się Samanta.
- Obrazów mamy na wystawę - wyjaśnił.
- Aż się skrzywiła ze zgrozą. - Nie możesz tego robić. Przecież to jej praca. Nie masz prawa mamie niczego psuć.
- Wcale nie chcę „psuć”. Miałem zamiar... przymierzałem się, żeby dokończyć kilka płócien. Wówczas Ben mógłby jednak zrobić wystawę.
- Mama by nie chciała.
- Znasz ten obraz z małymi rysiami na łące?
- Pewnie, że znam. To ulubiony obraz mamy.
- Zgadza się. A wiesz, że pomagałem go jej malować? - Miażdżące spojrzenie Samanty świadczyło o tym, że nie tylko nie wiedziała, lecz w ogóle mu nie wierzyła. - Miałaś wtedy sześć lat. Twoja mama i ja chodziliśmy po górach niedaleko stąd. Po powrocie namalowaliśmy razem kilka obrazów, w tym i ten.
- Gdybyś jej przy nim pomagał, to dlaczego trzymałaby go w salonie? Przecież się z tobą rozwiodła. Chciała cię usunąć ze swojego życia! I wybiegła, zostawiając Jacka sam na sam z uczuciem pustki.
- MÓJ ojciec to kretyn - Samanta oznajmiła Lydii. Oddychała głośno i pospiesznie. - Za kogo on się uważa? Wparowuje tu ni stąd, ni zowąd i od razu zaczyna się szarogęsić?
- Według mnie jest dość fajny.
- Silił się. Chciał zrobić dobre wrażenie.
- Chyba naprawdę przejmuje się twoją mamą.

- Aha. Bo jak ona nie wyzdrowieje, to będzie się musiał nami opiekować. A to by mu pomieszało szyki. Dlaczego go bronisz?

W słuchawce rozległ się sygnał, że ktoś próbuje się dodzwonić. -

Poczekaj - Samanta nacisnęła guzik. To Brendan. Zwykle rozmowa z Brendanem nie umywałaby się do rozmowy z Lydią, ale Samanta wkurzyła się właśnie na Lydię, dlatego odebrała. - Lydia to debilka - oświadczyła Brendanowi.

- Czyli wiesz już o imprezie?

- O czym?

- To Lydia ci nie powiedziała? Miała powiedzieć.

- Ale o czym?

Chwila przerwy, a potem słabe: - Może sama do niej zadzwoń.

- Brendan, no powiedz.

- Jej rodzice zostają w domu - wybuchnął chłopak. -Co?

- Lydia się wygadała, że potem spodziewa się chłopaków, no więc starzy zmienili plany. Nie ruszą się z domu przez całą noc.

- Lydia się wygadała? - Samanta westchnęła z obrzydzeniem. - Jak mogła?

- Jacyś inni rodzice zaczęli do nich wydzwaniać, no więc starzy przyparli ją do muru i się wygadała.

- To było do przewidzenia. - Wprawdzie Lydia była jej przyjaciółką od trzeciej klasy, ale widać było, że od początku miała pietra przed tą imprezą. Bała się, że ktoś się porzyga, rodzice dowiedzą się, dlaczego, i że jej się za to dostanie. No więc, zawałiła wszystkim imprezę. - To debilka. Pokrzyżowała wszystkim plany.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Jak jej rodzice zostaną w domu, możesz się pożegnać z piwem.

- Może nie będzie tak źle. Zresztą jej rodzice będą w innym pokoju.

- Akurat. Jesteś tak samo żaloszny jak Lydia. - Kiedy się na to nie odezwał, wydała z siebie gardłowy jęk. - Cały ten bal będzie nudny jak flaki z olejem. Nie jestem pewna, czy chcę na niego iść.

Milczał dłuższą chwilę. - Jak to?

- Może nie pójdę.

Po kolejnej chwili dodał: - A co ze mną?

- Może lepiej idź z Janą - zaproponowała.

- Tak uważasz?

- Tak. - Nie miała zamiaru iść na bal z mięczakiem. Chłopak nie wiedział, co powiedzieć, więc pożegnał się słabym głosem: - No dobra. To do jutra. Samanta odłożyła słuchawkę i naburmuszyła się. Od wieków czekała na taki bal, z limuzyną, całonocną imprezą i piwem. Wielkie dzięki, Lydio. Dzięki ci, Brendanie. Oboje to dzieciuchy. Czyżby tylko ona była dorosła? Przyszedł jej do głowy ktoś jeszcze. Podniosła słuchawkę, wystukała jego numer. Znała go na pamięć, bo wydzwaniała tam wiele razy. Ale nigdy nie odważyła się odezwać, tylko słuchała jego głosu. Kiedy w słuchawce rozległ się niski, opanowany głos siedemnastolatka, serce zabiło jej żywiej.

-Aio?

- Cześć, Tom. Z tej strony Samanta. No wiesz, ta ze szkolnego autobusu. Wyraźnie usłyszała uśmiech w jego głosie. - Znam Samantę, która jeździ szkolnym autobusem, tyle że od tygodnia jej nie widziałem.

- Bo moja mama jest chora i teraz tata podwozi mnie do szkoły.

- No właśnie. Czy to twoja mama miała wypadek?

- Aha - potwierdziła Samanta, czując się ważna. - Ktoś w nią uderzył w drodze do Carmel. Samochód zjechał z szosy i wpadł na skałę. Mama leży w śpiączce. Każdą wolną chwilę spędzamy u niej w szpitalu.

- To musi być okropne.

Samanta wyprostowała się. - Nie tak bardzo. Po chwili zapomina się o aparaturze i o rurkach. Tyle że ostatnio tak dużo myślałam o mamie, że zapomniałam o bożym świecie, a tata twierdzi, że mama chciałaby, żebym poszła na bal... no, ten w sobotę... aleja się z nikim jeszcze nie umówiłam. I co ty na to? Poszedłbyś ze mną?

- A gdzie ten bal?

- W szkole, ale nie musimy długo siedzieć. Bo tam pewno będzie nudno. Ale mam kapitalną czarną sukienkę, która według taty jest za bardzo seksowna, jak na mój wiek... od razu widać, że się nie zna. No więc miałbyś ochotę pójść?

- Jasne. - Znowu ten uśmiech w jego głosie. - Pójdę.

- No to super!

HOPE siedziała w swoim pokoju na podłodze. Trzymała Gi-newrę na kolanach, zwiniętą w bezwładną kuleczkę, na szczęście wciąż cicho pomrukującą.

Wziąwszy ostrożnie w ramiona kotkę, wstała i poszła w samych skarpetkach poszukać taty. Znalazła go w pracowni. Wpatrywał się w płótna, które ustawił pod przeciwległą ścianą.

- Cześć, kochanie - przywitał ją i spojrzał na jej nogi. - Gdzie twoje kowbojki?

- W pokoju. Naprawdę chcesz dokończyć prace mamy?

- A uważasz, że mama by się za to na mnie zdenerwowała?

Hope wcale tak nie myślała. Nie słyszała, żeby mama powiedziała o tacie jedno złe słowo. Samanta wmawiała jej, że widocznie nie słuchała, ale to nieprawda. - Tato?

- Co, kochanie?

- Jutro minie tydzień. Myślisz, że mama się obudzi?

- Na pewno. Po prostu wszystko się przedłuży.

- Z Ginewrą jest coraz gorzej. Niedługo umrze.

- A boli ją?

- Nie, bo miauczałyby - Hope przełknęła ślinę. - Tato, co ja zrobię, jak ona umrze? Chwilę pomyślał. - Będiesz smutna. Będzie ci jej brakowało. Ale Hope chodziło o coś innego.

- Ale co zrobię z nią? Przecież nie mogę jej tak po prostu... wyrzucić jak kurzych kości.

Aż go ciarki przeszły. - A co chciałabyś zrobić?

- Pochować ją.

- Nie ma sprawy - powiedział, zaskakując tym dziewczynkę - Możemy ją pochować w lesie. Gdzieś niedaleko. Lepiej się wtedy poczujesz?

Dużo lepiej, pomyślała Hope i skinęła głową.

- No to załatwione - odparł i przygarnął ją do siebie. Przez chwilę się nie odzywała. Sam się myliła. Tata jednak rozumiał. To znaczy, że je kochał.

- Tato? - odezwała się szeptem. - Ale nie zostawisz nas samych, prawda?

- Jak ty to sobie wyobrażasz?

- Jeżeli mama się nie obudzi, a ty będziesz musiał wrócić do miasta do pracy, mógłbyś wynająć kogoś do opieki nad nami. - Przysięgam, że tego nie zrobię. Najciszej, jak mogła, wyszeptała: - Kocham cię. Nie odpowiedział, ale jego policzek wtulił się w czubek jej głowy, i w tej chwili czas jakby zawrócił, a ona uwierzyła tacie.

KIEDY obudziła się nazajutrz rano, Ginewra nie ruszyła się z miejsca, w którym Hope ułożyła ją wieczorem. Zdjęta strachem nachyliła się tak blisko, żeby kotka poczuła jej oddech. - Ginka? - odezwała się szeptem, głaszcząc koniuszkiem palca pyszczek kotki. Kiedy poczuła leciutki ruch pod palcem, odetchnęła z ulgą. Objęła kotkę i leżała myśląc - kocham cię, Ginewro - i słuchając cichuteńkiego pomruku w odpowiedzi. Ale po chwili pomruk ustał. Przez ładnych kilka minut Hope się nie poruszyła.

- Ginka? - szepnęła. Pogłaskała łepkę kotki i czekała na pomruk, znów pogłaskała, znów czekała. Kiedy się nie doczekała, wtuliła głowę w stygnące futerko Ginewry i rozszlochała się.

- Hope? - zawołał tata pod drzwiami. - Wstałaś już?

Z piersi wyrywał jej się spazmatyczny szloch. Przyciągnęła Ginewrę, łudząc się, że się omyliła. Ale wiedziała. Czowała potworną pustkę, jedną wielką dziurę, olbrzymią samotność.

- Kochanie? - dotknął jej głowy. - Hope, co się stało? - dotknął kotki, przez chwilę nie odrywał od niej ręki, a kiedy dziewczynka właśnie pomyślała, że nie wie, co robić, bo wszystkie najukochańsze istoty ją opuszczają, wziął ją w ramiona razem z Ginewrą i mocno przytulił.

Nie odzywał się słowem, tylko tak siedział, tuląc je obie, a kiedy weszła Samanta z pytaniem, kiedy wychodzą, powiedział:

- Hope dzisiaj nie jedzie. Właśnie umarła Ginewra.

- Och, tak mi przykro, Hope - powiedziała Samanta cicho i tak jakoś blisko. - Pochowamy ją tutaj - oświadczył Jack. - Pojedziesz dzisiaj autobusem?

Hope nie dosłyszała odpowiedzi. Znowu zaczęła płakać. Zresztą nie potrzebowała teraz towarzystwa Samanty. Potrzebowała tego kogoś, kto właśnie trzymał ją mocno w ramionach.

GDYBY ktokolwiek powiedział Jackowi, że kiedy jego żona będzie leżała w śpiączce, a firma zacznie się sypać, on będzie rąbał drewno na trumienkę dla kota, to wysłałby kogoś takiego do czubków. A jednak było to najlepsze rozwiązanie.

Hope siedziała obok na ziemi. Ginewra leżała na jej kolanach, owinięta w spraną wełnianą chustę zrobioną szydełkiem przez Rachel, pod którą Hope spała przez pierwszych osiem lat życia. Trzymała teraz swój tłumoczek, jakby cały był ze złota.

Kiedy trumienka była gotowa, Jack wykopał spory dołek. Praca dobrze mu zrobiła. Wysilek fizyczny tak go zmęczył, że kiedy Hope złożyła swoje zawiniątko w trumience, a on zabił ją gwoździami i włożył do dołka, który potem zaczął zasypywać ziemią, nie czuł się już tak rozbity. Hope płakała. Nic dziwnego. Jack tulił ją do siebie, pozwalając jej się wypłakać. A potem po prostu razem sobie posiedzieli - i znowu był to zupełny bezsens. Naprawdę nie miał czasu na wysiadywanie w lesie w poniedziałek rano. Powinien wziąć prysznic i zająć się Rachel, a potem ruszyć w te pędy do San Francisco do pracy. Ale Hope miała wobec niego inne oczekiwania. I *musiał* przyznać, że bardzo go to uspokoiło.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

PRZEJAZD z Big Sur do szpitala w poniedziałek późnym rankiem zabrał przeszło trzy kwadranse. Jack przyjechał w pogodnym nastroju - i zastał na sali Rachel inną pacjentkę. Na ułamek sekundy serce w nim zamarło z przerażenia, ale zaraz pojął, że gdyby Rachel umarła, zawiadomiono by go telefonicznie. Trzymając Hope za rękę, wszedł do dyżurki pielęgniarek.

- Gdzie jest moja żona? - spytał, ale w tym samym momencie wypatrzył Cindy wychodzącą z jakiejś sali na końcu korytarza. Podeszedł do niej, ciągnąc za sobą Hope. - Gdzie jest Rachel?

Cindy zaprosiła ich gestem na salę, z której właśnie wyszła. Była to zwykła sala szpitalna z telewizorem, łazienką i kilkoma fotelami. W jednym z nich siedziała teraz Katherine. Rachel le-

żała na boku, twarzą do koleżanki, toteż Jackowi przemknęło przez głowę, że może się obudziła. Ale po minie Katherine poznał, że jednak nie.

- Minał już tydzień - wyjaśniła Cindy. - Stan Rachel utrzymuje się w normie, dlatego lekarze zdecydowali się ją przenieść.

W drzwiach rozległ się głos Kary bates. - Nazywamy to salą obserwacyjną - powiedziała od progu.

Hope wdrapała się na łóżko, nie zdejmując kowbojskich butów, i usadowiła przy biodrze matki. Nie odezwała się słowem. Po chwili podniosła ostrożnie rękę Rachel i położyła ją sobie na kolanach. Głowę miała spuszczonej. zwinęła się w kłębek. Kiedy zaczęła chlipać, podniosła dłoń mamy do oczu, żeby zasłonić łzy.

Jack pochwycił przestraszony wzrok Katherine.

- Ginewra - wyjaśnił ruchem warg. Katherine pokiwała głową. dotknął spuszczonej głowy Hope, ale sam poczuł klującą się w nim rozpacz. Gestem ręki wywabił Karę na korytarz. - Daliście za wygraną - natarł na nią. - zabraliście ją z oIoM-u, bo nie wierzycie, że się szybko obudzi.

- Nieprawda. Po prostu minał prawie tydzień od wypadku, i nie nastąpiły żadne dodatkowe komplikacje. Jest mała szansa, by coś złego mogło się teraz wydarzyć. Cindy nadal będzie się nią opiekowała. Steve i ja również. Ale pacjentka wyszła z kryzysu.

- Tyle że nie odzyskała przytomności - mruknął Jack bardziej do siebie niż do lekarki. Poklepała go po ramieniu i ruszyła korytarzem. Jej miejsce zajęły Cindy i Katherine.

Ponieważ nic nie wskórał u Kary, zwrócił się do Cindy.

- Na pewno moglibyśmy jej bardziej pomóc.

- zasięgałam języka na ten temat - wtrąciła się Katherine. - Moglibyśmy spróbować innych rzeczy. Możemy jej czytać, grać jej ulubioną muzykę. Możemy palić trociszki o zapachu lasu wokół jej domu. Może się wtedy ocknie. Jack chętnie by się sprzeciwił, ale nie mógł. Nawet teraz, o wiele kilometrów stamtąd, czuł w nozdrzach zapach tamtego lasu. - Czy to może zadziałać? - spytał pielęgniarkę.

- Na pewno nie zaszkodzi - odparła Cindy, tak jak niejedną raz przedtem. Uśmiechnęła się. - O, jest doktor Bauer.



- Zjrę do Hope - zaproponowała Katherine, ale zanim odeszła, ktoś ją zawołał po imieniu. Rzuciła spojrzenie gdzieś za ramię Steve'a Bauera, rozpląnęła się cała w uśmiechu i ruszyła na powitanie przystojnego młodego mężczyzny w fioletowych dżinsach.

Odprowadzając ją wzrokiem, Jack nie mógł opanować myśli, że mieszkanie w mniejszej miejscowości niż San Francisco ma jednak swoje plusy. Zawsze można spotkać kogoś znajomego. Wszędzie widuje się znajome twarze. Podnosi to człowieka na duchu, zwłaszcza kiedy zaczyna tracić grunt pod nogami.

Z TELEFONU na korytarzu Jack zadzwonił do Jill. Powiedział jej o śmierci Ginewry, o zbyt późnym wyjeździe z Big Sur, o odejściu Michaela Flynna z jego firmy. A potem dodał najserdeczniej, jak umiał: - Przepraszam, Jill, ale nie dam rady przyjść na ten obiad. Jest ze mną Hope, nie mamy zbyt wiele czasu. Przykro mi. Na pewno przygotowałaś coś pysznego.

- Jeszcze nie. Miałam zrobić *risotto primavera* tuż przed twoim przyjściem. Składniki mogą poleżeć. Wpadniesz jutro?

- Dopiero pod koniec tygodnia będę w San Francisco. Chwila milczenia, a potem: - Dlaczego?

Czuł, że to pytanie padnie. Chciała znać prawdę. Ale on nie był jeszcze gotów. Powiedział tylko: - Bo moja obecność przy Rachel może coś zmienić, Jill. Chcę, żeby wyzdrowiała.

- Tak, wiem - rzuciła Jill z westchnieniem.

- To może w czwartek - zaproponował. - Czy warzywa dotrwają?

- Tu nie chodzi o warzywa.

- Wiem - chodziło o ich związek. - W czwartek. Przyrzekam.

Po DRODZE do firmy Sung i McGill wpadli na chwilę do domu Jacka.

Kiedy on sam pakował duży wór ubrań, poprosił Hope, żeby zgarnęła pocztę. Ładując wszystko do samochodu, wpadł na pewien pomysł.

Wrócił do szafy w sypialni, odsunął swetry na górnej półce i wyjął dwie fotografie w ramkach. Jedna przedstawiała Rachel z dziewczynkami, druga samą Rachel. Wrzucił je do torby i wrócił do Hope. Następnie pojechali do jego biura, gdzie przez bite trzy godziny negocjował z jednymi klientami, przeproszał innych, rozdzielał prace współpracownikom.

Pod sam wieczór wrócili do szpitala. Katherine odebrała Samantę ze szkoły i przyjechała z odtwarzaczem płyt kompaktowych, który grał teraz cicho na stoliku nocnym kilkadziesiąt centymetrów od głowy Rachel.

- Garth - Samanta poinformowała Jacka.

- To mama też jest wielbicieleką Gartha? -1 to jaką - odparła Samanta.

Hope potwierdziła to skinieniem głowy, no więc nie pozostawało mu nic innego, jak wystawić przywiezione zdjęcia.

Samanta natychmiast zwróciła na nie uwagę. - Skąd je wytrzasnąłeś?

- Zawsze je miałem. Chciałbym, żeby lekarze i pielęgniarki, którzy przychodzą do waszej mamy, widzieli w niej żywą, oddychającą, czującą osobę.

JACK wpadł w melancholijny nastrój, kiedy ruszał do Big Sur, ale samo wybrzeże zrobiło swoje. Zanim minęli Big Sur, wznosząca się mgła odgrodziła go od reszty świata.

Gdy dotarli już do domu, dziewczynki rozbiegły się do swoich pokojów, zostawiając go samemu sobie. Powinien wziąć się jak najprędzej do roboty. On jednak, spragniony obecności Rachel, poszedł do jej pracowni. Płótna, które ustawił poprzedniego dnia pod ścianą, nawet nie drgnęły. Usiadł na podłodze i zaczął się im przyglądać.

Po chwili jął grzebać w przyborach Rachel. Farby olejne i akryle w tubach zostawiła porządnie ułożone na stole. Na szmatce leżały pędzle w różnych rozmiarach, a obok szpachle. Kiedy myszkował w jej rzeczach, trafił na cienką teczkę zatkniętą między szafką a ścianą. Przykucnął, oparł ją o przód szafki, otworzył, usiadł.

Pierwsza strona była czysta jak karta tytułowa, tyle że bez tytułu.

Przewrócił na następną stronę i zobaczył, ku swojemu zdziwieniu, coś jakby dziecko w pierwszej fazie rozwoju. Embrion. Przewracał kolejne strony, przyglądając się, jak embrion rozwija 'się w płód o coraz bardziej ludzkich rysach. Strona po stronie płód przekształcał się w noworodka.

To był mały chłopczyk.

Na ostatniej stronie dziecko miało otwarte oczy i patrzyło wprost na Jacka. Przyjrzał mu się, czując do szpiku kości jego realność, chociaż było narysowane jedynie granatowym tu-

szem. Aż przeszły go ciarki po krzyżu. Takie realne. Takie znajome. I wtem poraziła go upiorna myśl. Odsunął ją, zebrał arkusze, wsadził cały plik do teczki. Zawiązał ją mocno i upchał za szafką przy ścianie.

Wciąż jednak miał przed oczami ten ostatni rysunek. Śnił mu się przez całą noc i obudził go o świcie.

Patrząc na dziewczynki w samochodzie, zachodził w głowę, czy wiedzą cokolwiek o dziecku, ale nie mógł zapytać. Tak czy owak, otworzyłyby tym samym puszkę Pandory.

Rachel wiedziała. Ale nie mogła mu teraz odpowiedzieć. Pozostawała więc Katherine.

KIEDY przyjechał do szpitala, nie zastał tam oczywiście Katherine, ale się tym nie przejął. Odszukał numer jej telefonu w skorowidzu Rachel - oba numery, do pracy i do domu. Tuż przed salą Rachel wystukał na komórce jej numer do pracy.

- Zakład fryzjerski - odezwał się perlisty młodzieńki głos.

- Chciałbym mówić z Katherine Evans.

- Niestety, ma teraz klientkę. Czy może oddzwonić?

Podał miłej panience swój numer, wsadził telefon do kieszeni spodni i wrócił do Rachel. Przysunął fotel do łóżka.

- Rachel? Jesteś tam? Słyszysz mnie? To już cały tydzień! Jesteś bardzo potrzebna Hope, by pomóc jej się uporać ze śmiercią Ginewry. Znikła dzisiaj rano, nie przyszła na śniadanie, w ogóle nie było jej w domu.

Pobiegłem na grób Ginewry. Tam również jej nie znalazłem. Już ogarnął mnie strach, kiedy nadeszła od strony domu Duncana. Zaczynam się o nią bać. W końcu ten facet to dorosły mężczyzna, a mieszka sam. Może być zboczeńcem.

Rachel wcale nie wyglądała na osobę zdenerwowaną. Podobnie jak Hope po wyjściu od Duncana. - Hope twierdzi, że chodzi tam ze względu na jego wiarę. Jeśli tak jest w istocie, to sam nie potrafię temu sprostac.

Nigdy nie rozmawiałem z tobą o religii. A może trzeba było. Może dzieciom właśnie w takich chwilach potrzebna jest wiara.

Stał tak, unosząc jej rękę, sprawdzając delikatnie jej reakcje. Dżinsy stłumiły dźwięk jego telefonu. Odłożył delikatnie rękę Rachel. Już mniej delikatnie otworzył klapę telefonu i zrobił parę kroków w stronę drzwi: - Tak?

- Tu Katherine. Co się dzieje?

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział Jack. - W pracowni Rachel znalazłem teczkę szkiców przedstawiających dziecko. Muszę się dowiedzieć, co one znaczą. Dziecko ma moje oczy.

- Będę tam za trzy kwadranse - rzuciła i rozłączyła się.

PRZED jej przyjazdem Jack wysłuchał całego Gartha Brooksa i zadał sobie tuzin pytań na temat dziecka, którego istnieniu nie zaprzeczyła przyjaciółka Rachel.

Katherine weszła na salę. Cmoknęła Rachel w policzek.

- Mmm. Ładnie pachniesz. To on cię naciera kremem? Jack od razu na nią naskoczył:

- No więc, czy Rachel rzeczywiście była w ciąży?

Katherine wyglądała dosłownie jak rozdarta na dwoje. - Katherine - upomniał ją groźnie. - Nie przeczysz, czyli była. I jeśli dobrze interpretuję jej szkice, poroniła dziecko.

Katherine przeniosła wzrok na Rachel. - Owszem, Jack, była w ciąży.

Prawda, która raptem stała się tak realna, aż dech mu zapało. Patrzył na Rachel, próbując to sobie wyobrazić. Poczował przejmujący ból.

- Jak mogła mnie opuścić, skoro była w ciąży?

- Och, nie. Kiedy cię opuszczała, nie była już w ciąży. Tylko wcześniej.

- Wcześniej - zakrawało mu to na jeszcze większy absurd. - Niemożliwe. Na pewno bym wiedział.

- Z tego, co mi mówiła, ona sama ledwo wiedziała. Między wami się nie układało. Nie wiedziała, co robić.

- Ale na pewno by mi powiedziała - obstawał przy swoim.

- Próbowała - Katherine westchnęła. - Kiedy wystąpiły pierwsze mdłości, bawiłeś w podróży służbowej. Zadzwoiła i poprosiła, żebyś wrócił. Ale nie posłuchałeś.

Jack przełknął ślinę. Usiłował odtworzyć w pamięci tamte chwile. Dwa tygodnie przed rozstaniem wyjechał do Toronto. Owszem, dzwoniła, nie czuła się najlepiej, chciała, żeby wrócił. Ale to był ważny wyjazd. Zależał od niego olbrzymi kontrakt. Jack zwrócił się teraz do Rachel: -

Wypytywałem cię, co się stało. Mówiłaś, że nic poważnego. Że masz bóle brzucha. Że może to grypa. - Spojrzał na Katherine. - i poroniła?

Katherine skinęła głową.

Próbował przypomnieć sobie coś więcej. - Po powrocie była blada jak śmierć, ale twierdziła, że czuje się lepiej. Byłem w domu przez cztery dni. Ani razu nie wspomniała o dziecku. - Dygotał na całym ciele, bliski płaczu. - A potem wyjeżdżałem kilka razy pod rząd w krótkich odstępach czasu. - No i przed ostatnim wyjazdem dostał ultimatum. - Dlaczego mi nie powiedziała?

- Nie mogła.

- Straciła dziecko, o którym nie wiedziałem, a potem mnie rzuciła, bo się nie domyśliłem?

Kiedy Katherine siedziała bez słowa, zaczął wyłamywać sobie palce. - Proszę cię, Katherine, powiedz mi, co mówiła.

- Mówiła, że nie chodziło tylko o tamto poronienie. Ale o cały wasz związek. Poronienie przepełniło jedynie czarę. Dojrzała w nim znak, że wasze małżeństwo nie wypali.

Poczuł dotkliwy smutek. - Och, Rachel - jęknął, podnosząc jej rękę do swojej piersi. - Trzeba mi było powiedzieć.

- A to by coś zmieniło? - spytała Katherine.

- Sam nie wiem - mruknął w odpowiedzi. - Może. - Gdyby wiedział, że Rachel jest w ciąży, mogliby przynajmniej o tym rozmawiać.

- Jeśli ci to pomoże - dodała Katherine - straciłaby to dziecko i z tobą, i bez ciebie. Nie obarczała cię winą za poronienie, ale za to, że nie było cię wtedy przy niej.

Westchnął. Dopiero teraz zrozumiał, co doprowadziło do ostatecznego zerwania. Chociaż wcale mu to nie pomogło. Nadal czuł się porzucony. Odwrócił się do Katherine.

- Mówiłaś, że poznałaś ją w poczekalni u ginekologa. Czy miała jakieś dalsze kłopoty po wyjeździe z San Francisco?

- Nie. Po prostu chciała poznać miejscowego lekarza. Zaczęłyśmy rozmawiać. Natychmiast przypadłyśmy sobie do serca. Rachel bardzo mi pomogła. Sądził, że było odwrotnie. - Ona pomogła tobie? Katherine zbladła. - Właśnie wykryto u mnie raka piersi. Aż wytrzeszczył oczy. Byle tylko nie spojrzeć na jej biust. - Złośliwy?

- Nie było przerzutów. Węzły chłonne miałam czyste. Znalezione tylko maleńkiego, mikroskopijnego raka przewodowego

*in situ*. Jestem żywym dowodem na cud wczesnego wykrycia. -

Westchnęła. - To była ta dobra wiadomość. Bo zła była taka, że znaleziono po małym guzku w obu piersiach.

Wykonała gest, który przeniesiony dwadzieścia centymetrów wyżej, oznaczałby ścięcie głowy.

Tym razem Jack spojrział na nią inaczej, bo do tej pory widział w Katherine tylko i wyłącznie atrakcyjną, zgrabną kobietę po czterdziestce. Roześmiała się.

- Masz dosłownie rozdziawione usta.

- Wiem... bo po prostu... nie rozumiem...

- Rekonstrukcja.

- Aha - zawstydził się. - Są jak nowe.

- Patrząc z zewnątrz - dodała. Znow wróciła do dawnego, obronnego tonu. - Przez cały czas była przy mnie Rachel... przed, w trakcie i po.

- Nie masz nikogo z rodziny?

- Czy teraz mam? Nie mam. A wtedy czy miałam? Jak najbardziej. Byłam mężatką. Tyle że mój mąż był nadwrażliwy.

- Czyli zostawił cię z tym samą?

- Niezupełnie - zabrzmiało to cierpko, zgryźliwie. - Roy zajmował się zawodowo golfem. Urządzał zawody w klubie na Pebble Beach. Nie miał czasu wysiadywać w poczekalniach u lekarzy, żeby trzymać żonę za rękę.

- Przekrzywiła głowę, wciąż z tą sama cierpką, zgryźliwą miną. - Nie nalegałam. Załatwiałam wszystko prawie bez jego udziału - wizyty lekarskie, operację, późniejsze kontrole. Czasem zawoziła mnie Rachel. Kiedy indziej inni przyjaciele. No i doszłam po operacji do siebie. Trwało to dłużej niż się spodziewałam, bo o połowie rzeczy cię nie uprzedzają. Ale stopniowo nabrałam sił i poczułam się lepiej. Powiedziałam sobie, że dostałam na nowo dar życia.

Urwała. Patrzyła na Jacka z nadzwyczaj zgryźliwą miną. Ale on z wielką troską w głosie spytał ostrożnie: -1 co dalej?

- Roy traktował mnie jak trędowatą. I wtedy dowiedziałam się, że spotyka się z taką małą rudą z Santa Cruz. - Rozcierała teraz ramię Rachel. - Czyli i to nas połączyło.

- Chwileczkę, ja nigdy nie zdradzałem Rachel.

- Nie. Ale zostawiałeś ją samą.

- Tylko podczas wyjazdów. Najwyżej nie potrafiłem zrozumieć, co czuje pod moją nieobecność.

- Ujmując rzecz oględnie.

Jack czuł się za bardzo rozbity, żeby przyjąć krytykę.

- Przenosisz złość, którą czujesz do Roya, na mnie. To niesprawiedliwe.

Nie jestem Royem.

- A podobały ci się kobieta bez biustu?

- Podoba mi się kobieta w śpiączce - odparował, zanim zdążył ocenzurować swoją myśl. I szybko dodał: - Zapomnij o tym Royu. Są inni mężczyźni na świecie.

Westchnęła dramatycznie. - Niby tak. Też tak sobie powiedziałam, i wtedy napatoczył się Byron. Poznałam go podczas salonu fryzjerskiego w Nowym Jorku. Był cudowny. Naprawdę między nami zaiskrzyło.

Przyleciał aż tutaj, żeby się ze mną spotkać. I wtedy mu powiedziałam.

Jack czekał.

Pozostała opanowana. Tylko jej oczy zdradzały ból.

- Och, wycofywał się stopniowo. Dzwonił coraz rzadziej. Potem już tylko ja dzwoniłam. A kiedy przestałam, nastąpił koniec. - Aż ją przeszedł dreszcz. - Rachel i z tego pomogła mi się wygrzebać.

Jacka nagle oświeciło. - A ten młody człowiek w dzinsach?

- To mój anestezjolog. Zadurzył się we mnie.

- A Steve Bauer? Znałaś go wcześniej? -Nie.

- Ale coś między wami iskrzy.

- Aha. Tyle że to sprawa bez przyszłości. Po pierwsze, Steve jest lekarzem, a ja mam dosyć lekarzy do końca życia. Po drugie, jest mężczyzną. A tych przez jakiś czas najchętniej trzymałabym od siebie na wyciągnięcie ręki.

- Nie wszyscy jesteśmy tacy źli - powiedział Jack. - Przecież tu siedzę, prawda?

Chwilę się nad tym zastanowiła. - A rozważałaś możliwość częściowego powrotu Rachel do zdrowia? Na przykład gdyby się obudziła i nie mogła normalnie mówić albo chodzić?

- Najpierw pomóżmy jej odzyskać przytomność. A potem będziemy się dalej martwić. Katherine spojrzała na zegarek. - Muszę wracać do pracy.

- Dziękuję - powiedział Jack.

- Za co?

Musiał się chwilę zastanowić. Podziękowanie zaskoczyło i jego.

- Za to, żeś przyjechała. I opowiedziała mi o tym wszystkim.

- Niewielu osobom o tym mówiłam. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś nikomu...

- Nikomu nie powiem. - Wskazał głową drzwi i ruszył powoli w ich stronę. Kiedy dołączyła do niego, powiedział: - Dziękuję ci w imieniu Rachel, że tu jesteś. Szczęściara z niej, że ma taką przyjaciółkę.

- Bardzo to miło z twojej strony.

- I ja czasami bywam miły. - Uścisnął ją spontanicznie.

- A to za co? - spytała.

- Sam nie wiem. Tak jakoś nasza mnie ochota. - Obejrzał się na Rachel, zachodząc w głowę, czy zrozumiała właściwie jego gest. I zamarł. -

Czekaj. - Wrócił do łóżka.

Katherine podbiegła za nim. - Co takiego?

- Rachel? - pochylił się nad nią. - Rachel, ja to widziałem.

- Co ona zrobiła?

- Mrugnęła. Drgnęła. Sam nie wiem - wziął Rachel za rękę.

- Jeżeli mnie słyszysz, to ściśnij mi rękę. - Czekał, ale nic nie poczuł. -

Spróbuj mrugnąć. - I znów czekał. - Coś widziałem. Wiem, że cię na to stać.

- Rachel? - spróbowała Katherine. - Walcz, kochanie. Próbuje się ocknąć. Stali obok siebie pochyleni nad Rachel.

- Widocznie tylko mi się zdawało - stwierdził Jack. - Ale przysięgłbym...

Za plecami usłyszeli głos Cindy: - Co się dzieje? Kiedy Jack jej powiedział, nachyliła się z drugiej strony i zaczęła rozcierać szczękę Rachel. - Rachel! Rachel! Patrzyli, czekali, ale niczego się nie doczekali.

- Może to był bezwiedny odruch - powiedziała Cindy. - My to nazywamy odpuszczeniem. Pacjent budzi się stopniowo z odrętwienia, poczynając od palców rąk albo nóg.

- To nie były palce - zaprzeczył Jack, znów podniesiony na duchu. - Ale twarz. Czy to możliwe, że coś się zaczyna?

Spojrzenie Cindy zza okularów mówiło: „może tak, a może nie”, co spowodowało powrót jego przygnębienia. - I co teraz?

- spytał.



Pielęgniarka uciskała rękę Rachel od łokcia po ramię. - Musimy wciąż rozmawiać. Czy kiedy zobaczył pan ten ruch, mówił pan coś, co mogłoby wywołać u niej emocjonalną reakcję?

Jack spojrzał na Katherine.

- Rozmawialiśmy o sprawach bardzo osobistych, ale właściwie już skończyliśmy. Podeszliśmy do drzwi. Uściskałem cię.

- Uniósł brew. - Czyżby poczuła zazdrość?

- Mniej żywe uczucia niż zazdrość wyciągały już ludzi ze śpiączki - powiedziała cicho Cindy.

PRZEZ dłuższą chwilę po wyjściu Katherine Jack siedział na łóżku Rachel. Przyłożył dłoń do jej dłoni, potem jej dłoń do swojego podbródka. Myślał o tamtym poronieniu, o synku, którego mogli mieć. Myślał o muzyce country i o zazdrości. A potem wyjął z kieszeni telefon. zadzwonił do niedoszłego klienta w Boce i oznajmił mu, że firma Sung i McGill wycofuje się z projektu.

SAMANTA spakowała do plecaka książki, które miała zabrać do domu, po czym przejrzała się w lustrze po wewnętrznej stronie drzwi swojej szafki. Przejechała grzebieniem włosy, starła spod oka rozmazany tusz. Potem wyprostowała się i odrzuciła włosy do tyłu. Ponieważ Lydia wciąż się nie pokazywała, Samanta zdjęła z haczyka kurtkę baseballową. Już zamykała szafkę, kiedy zza rogu wyszła Pam Ardley.

- Cześć, Samanta - zawołała Pam i pobiegła w jej stronę.

- zaczekaj.

Pam Ardley jako szefowa drużyny kibicujących dziewcząt była najbardziej popularną dziewczyną w klasie. Samanta stanęła posłusznie. Pam zwolniła kroku, zatrzymała się. - Tom twierdzi, że zaprosiłaś go na bal. Coś niesamowitego. To ektrafacet. A my robimy imprezkę u Jake'a Drumble'a. Może byście chcieli wpaść?

Samanta nie wierzyła własnym uszom. Pam była najbardziej popularną dziewczyną, a Jake Drumble był najbardziej popularnym chłopakiem.

- Chętnie - odparła, starając się, żeby nie zabrzmiało to zbyt gorliwie.

- Co możesz przynieść? - spytała Pam.

Samanta odgarnęła włosy na bok. - A co trzeba?

- No, co tam masz w domu... wódkę, dżin.

- Z tym mogę mieć kłopoty - uprzedziła Samanta. - Mama od tygodnia leży w sypialni, no więc mieszka z nami tata. Mówię ci, koszmar. Wszędzie nas wozi. Pilnuje nas jak jastrząb. Gdyby przyszło mu do głowy, że wynoszę wódkę...

Pam machnęła ręką. - No to nie. Damy sobie radę - cofnęła się o krok z uśmiechem. - Spotykamy się w sobotę o szóstej na jednego przed balem. Na razie. -1 odbiegła w podskokach.

KIEDY W środę rano Jack dotarł do szpitala, jedyną zmianą, jaką zastał, był bukiet żółtych róż od Bena Wolfa. Wyjął jedną z wazonu, przesunął nią pod nosem Rachel.

- Ale jest żółta - powiedział. - A jak pachnie. Przypomina mi tamte róże na plaży w Nantucket. Pamiętasz? To były świetne wakacje.

Połąskotał różą czubek jej nosa. A potem opowiedział jej o wycofaniu się z projektu w Boce.

- Widzisz, wcale nie gonię za pieniędzmi - pochwalił się. - Może przez jakiś czas tak było. Ale nie dlatego, że bym był takim znów materialistą. Chciałem coś osiągnąć. Jeśli się w tym pogubiłem, to przepraszam. Ale zawsze zależało mi na sukcesie bardziej niż tobie. Bo wychowywałem się w poczuciu, że jestem zerem. I nadal czasem się tak czuję. A ty zawsze byłaś gwiazdą. Kiedy człowiek rusza naprzód i nabiera rozpędu, czasem może zapomnieć, dokąd zmierza i dlaczego, ale dzięki pędowi i tak tam dociera. Dopiero na miejscu odkrywa, że nie jest tam, gdzie chciał.

Nie był pewien, czy mówi o swojej pracy, czy o rozwodzie. Ponieważ rozwód był faktem dokonany, skupił się na pracy.

- Szkopuł w tym - powiedział, wyciągając rysunki techniczne z teczki - że mogę odwołać taki projekt jak w Boce, bo nie podpisałem jeszcze umowy, ale mam zbyt wiele innych, wiążących zobowiązań. - Rozwinął rysunki. Były to szkice projektu w Napie przesłane mu wieczorem do Big Sur. Czekwały na jego ocenę.

Opowiedział Rachel o tym projekcie, a potem omówił szczegółowo wszystkie rysunki. Dawniej Rachel patrzyła mu czasem przez ramię, kiedy pracował nad takimi szkicami. Komentując je, wciągał ją w swoją pracę. Ale ta by ją znudziła. Nawet jego

nudziła. Należała raczej do obowiązków inspektora nadzoru niż projektanta, a przecież projektowanie było jego żywiołem. Ledwie zwinął rysunki i odłożył je do teczki, kiedy zjawił się Ben Wolf. Ben odbył dość sztuczną rozmowę z Rachel. Był to bardzo sympatyczny, porządny i uprzejmy facet. Jackowi przemknęła przez głowę szalona myśl, żeby zapoznać go z Jill.

Kiedy Ben poruszył temat wystawy Rachel, Jack poinformował go, że sam oprawi jej obrazy. Wszystkie materiały były u niej w domu, a on oparował obrazy już przedtem, w każdym razie podjął taką decyzję. Ale po wyjściu Bena wcale nie myślał o oprawianiu, lecz o malowaniu. JACK wziął się do malowania o ósmej wieczorem. Pracował do czwartej nad ranem, pokrywając płótno Rachel jeziorem obrośniętym drzewami, zwieńczonym przedwieczornym niebem z domieszką różu i zieleni. Kiedy w końcu odłożył paletę i pędzle, kiedy odstąpił od sztalug, nury Rachel jeszcze bardziej przykuwały wzrok.

Dopiero pół godziny później rąbnął się spać. Obudził się po trzech godzinach snu, zmęczony, ale zadowolony. Solidnie się napracował. Od dawna już nie czuł takiej satysfakcji.

Wziął prysznic, ogolił się, ubrał. Kiedy zjawił się w kuchni, Samanta piła kawę przy blacie. - Twoja siostra już wstała? - zapytał.

- Wstała i wyszła.

- Dokąd?

Wystarczyło, że Samanta spojrzała w stronę Duncana, a Jack zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi. Hope poszła do Duncana o ten jeden raz za dużo. Chciał sprawdzić, co to za dom.

Jack wspinał się w kierunku domu Duncana Bligha jak nawiedzony.

Sam domek był drewnianą chatą, która wpasowałaby się idealnie w róg przyległej zagrody. Bo już stodoła za domem była większa i nowsza.

Owce, zbite w stado między zagrodą a stodołą, gapiły się tępo na niego.

Wszedł na ganek, zastukał głośno do drzwi. Kiedy Duncan otworzył, Jack wparował do środka. Po kilku krokach stanął jak wryty.

Najpierw jego wzrok padł na wielkie palenisko z wesołym ogniem roztaczającym wokół ciepło. Zaraz potem zobaczył opartą o coś blond główkę Hope. Dopiero po chwili dojrzał, że jego córka jest wtulona w drobną postać siedzącą na wózku inwalidzkim.

- Najwyższy czas, żebyś poznał Wiarę - wybąkał Duncan, zapraszając Jacka do środka. - Poznaj moją żonę.

Kobieta na wózku spojrzała na Jacka. Miała siwe włosy, pomarszczoną twarz i uśmiech promienny jak ten ogień.

- Witam - powiedziała, a właściwie szepnęła. Trzymała rękę na głowie Hope, która spoczywała na zrobionej szydełkiem chuście na jej kolanach.

- Śpi - dodała.

A więc to była ta słynna „wiara” Duncana.

Ileż to razy słyszał słowo „wiara” wypowiedane jednym tchem z otuchą i pokojem. Widok tej uśmiechniętej kobiety powiedział mu wszystko.

Wiarą Duncana. Wyciągnął rękę. - Jack McGill - przedstawił się. Jej drobna dłoń zginęła w jego dłoni, ale uścisk był zdecydowany. - Miło mi panią poznać.

Wiarą skinęła głową.

- Hope nie mówiła panu, że do mnie przychodzi?

- Nie - spojrzał na Duncana, który patrzył na żonę z taką czułością, że Jack tym bardziej poczuł się upokorzony. Wiarą Duncana. Dlaczego tego nie wiedział? Nie wiedział, bo był tępakiem, bo w sprawach rodziny kierował się zazdrością, bo pochopnie wyciągał złe wnioski. i może dlatego, że dziewczynki zamydliły mu oczy.

Duncan wyszedł. Jack kucnął przed paleniskiem, żeby Wiarą nie musiała podnosić wzroku.

- Jak się czuje Rachel? - zapytała.

- Niestety, bez zmian. Czy pani wie, że nie miałem pojęcia o pani istnieniu? Dziewczynki wciąż mówiły o „wierze” Duncana, zupełnie jakby chodziło o jakąś religię. Dlatego zachowałem się tak nieładnie i nie przyszedłem wcześniej, żeby pani podziękować.

- Ale za co?

- Za dobroć okazaną dziewczynkom. Za opiekę nad Ginewrą. Nie rozumiałem, dlaczego kotce ma być lepiej tutaj, skoro Duncan przez cały dzień jest w polu. Teraz rozumiem.

- On tu do mnie zagląda co kilka godzin - powiedziała z uśmiechem. - Chociaż ja nigdzie się nie wybieram.
- Wychodzi pani na dwór?
- Ależ tak. Mogę wyjechać sama na ganek. Roztacza się stąd piękny widok na dolinę. Niektórzy uważają mnie za wariatkę, że tu mieszkam, ale ja zawsze uwielbiałam te góry. Duncan i ja przyjeżdżaliśmy tu przed wypadkiem na wakacje.
- Jak dawno temu był ten wypadek?
- Wypadek? Dwanaście lat temu. Urwał się wyciąg narciarski. Miałam nogi połamane w tylu miejscach, że zwyczajne chodzenie byłoby mordegą, nawet gdybym nie miała uszkodzonego kręgosłupa. Ale miałam.
- Tak mi przykro.
- Niepotrzebnie. Troje ludzi wówczas zginęło. i ja mogłam zginąć, a wtedy ominęłoby mnie to życie tutaj - oczy jej rozbłysły. - Mój Duncan był szoferem ciężarówki. Nigdy go wtedy nie widywałam. A teraz widuję. Hope poruszyła głową. Powoli otworzyła oczy i zobaczyła Jacka.
- O, tata - szepnęła i szybko usiadła.
- Martwiłem się o ciebie - powiedział ciepło.
- Mama zawsze wie, że tu jestem.
- No tak - powiedział, podnosząc się z podłogi. - Teraz również ja będę to wiedział. - Podał jej rękę. - Masz szkołę. Samanta czeka.
- Hope zjadła śniadanie z nami - dodała troskliwie Wiara.
- Bardzo przepraszam. Sprawiamy tyle kłopotu.
- Kłopotu? Ależ skąd. Hope wcale nie sprawia mi kłopotu. Wyłącznie radość. Przynajmniej w ten sposób mogę odplacić Rachel za wszystko, co od niej dostałam. - Sięgnęła po wolną rękę Hope. - Ucałuj mamę ode mnie, dobrze?
- No DOBRA - zwrócił się do córek, zaganiając je do samochodu. - Koniec żartów. Opowiedzcie mi teraz o znajomości mamy z Blighami.
- Bardzo się przyjaźnią - podsumowała krótko Samanta. - Możemy porozmawiać teraz o moim balu?
- Jeszcze nie - odparł Jack, zmieniając bieg przy zjeździe ze zbocza. - Dałyście mi do zrozumienia, że mama spotyka się z Duncanem.

- Nigdy czegoś takiego nie mówiłyśmy.

- Rzecz w tym, że o Duncanie i Wierze trudno jest właściwie mówić - pospieszyła z odpowiedzią Hope. - Mama im pomaga, rozprawadza ich produkty, i w ogóle. Zawsze powtarza, że Wiara jest dla niej jak ukochana ciocia. Często chodzi do niej na kawę. Siedzą tam sobie i gadają.

Samanta swoim działającym na nerwy tonem wtrąciła znów niegrzecznie:

- Tato, musimy wreszcie pogadać o moim balu. Nastąpiła zmiana planów. Jack wolalby usłyszeć coś jeszcze o Wierze, bo samo przywoływanie jej obrazu przepełniało go spokojem, ale Samanta miała własne plany, a już się nauczył, że samochód jest wymarzonym miejscem do rozmowy.

Córka nie mogła mu czmychnąć, kiedy nie spodobał jej się jego komentarz. Skręcił na północ na autostradę.

- Jaka zmiana?

- Nie idę na bal z Brendanem, ale z Tomem.

- Z Tomem?

- Tak, z Tomem Runyanem. To świetny chłopak. -1 ruszacie z domu Lydii?

- Nie. To kolejna zmiana. Tom przyjedzie tu po mnie.

Jack poczuł coś pod ręką od strony drzwi. Siedziała tam Hope przyklepiona do okna. - Ile lat ma ten Tom?

- Siedemnaście. Jest doskonałym kierowcą i ma półciężarówkę. Mówię ci, jest niezniszczalna.

Jackowi spodobało się to określenie. Mniej natomiast wiek chłopaka - siedemnaście lat. Niebezpieczny wiek. - No dobrze. Czyli poznam go, kiedy po ciebie przyjdzie?

- Aha - rzuciła Samanta trochę zanadto gorliwie.

- I to już koniec zmian? Jedziecie limuzyną z domu Lydii i tam wracacie?

- Po balu jedziemy na imprezę do Jake'a Drumble'a.

- A to co za jeden? - spytał Jack trochę już podejrzliwie. -1 co z imprezą u Lydii?

- O rany, no wiesz co - zawołała Samanta. - Wypytujesz mnie jak święta inkwizycja. Wielkie mi mecyje. Jedyna różnica, że Tom przyjedzie po mnie w sobotę i odwiezie mnie w niedzielę.

- Żebyś wiedziała, bo przez wiele godzin będziesz poza kontrolą - odparł Jack. Poczuję, że Hope zmienia pozycję. Specjalnie? - Czyli impreza ma się odbyć u Jake'a. I przed balem, i po?

- Chyba tak. To nie jest jeszcze ustalone.

- Ale nocujesz u Lydii?

- Nie - raptem straciła cierpliwość. - Nie idę z Lydią.

- W ogóle z nią nie idziesz?

- No właśnie. Wybieram się z zupełnie inną grupą. Lydia idzie z Brendanem, Jane, Adamem i Shelly, a ja z Tomem, Pam, Jakiem i Heather.

Zaczynał wreszcie rozumieć.

- Ale przecież Lydia jest twoją najlepszą przyjaciółką.

- No więc?

Zerknął na nią. - No więc to jakoś nie w porządku.

- Lydia jest taka przyziemna. Będąc z nią, nie mogę być z kolegami, którzy mają trochę więcej fantazji.

Jack myślał o tym przy kierownicy. - Jakoś w zeszły weekend odpowiadało ci jej towarzystwo. Czyżbyś udawała?

- Nie - odburknęła. - Niczego nie rozumiesz.

- Próbuję, ale coś mi tu nie gra.

- Przecież to szkolny bal - wyjaśniła Samanta. - Chodzi o jedną noc.

- Wydaje mi się, kochanie, że tu chodzi o coś więcej - powiedział. -

Chodzi o lojalność. Co ci się wydaje słuszne, Sam? Iść na bal z paczką, którą znasz i której ufasz, czy dać im kosza, żeby być z inną grupą?

- Beznadzieja - jęknęła. - Niczego nie rozumiesz.

- Nie - westchnął, pokonany. - Chyba nie.

JILL mieszkała w skromnym domku w Seacliff, północno-zachodniej dzielnicy San Francisco, z widokiem na Pacyfik. Kiedy Jack zjawił się o pierwszej, natychmiast wyczuł strach wiszący w powietrzu. Jill była zadbana, blond włosy miała pięknie ułożone. Zrezygnowała z risotta, które miała przygotować w poniedziałek, a przyrządziła na ciepło egzotyczną sałatkę ze świeżym tuńczykiem, chrupiącymi nitkami chińskiego makaronu z łagodnym sosem ziołowym i z chlebem oliwkowym domowego wypieku. Kiedy pocałowała go z wyraźną ulgą, poczuł się jeszcze parszywiej.

Siedzieli obok siebie na wysokich taboretach, stykając się udami, czasem się obejmując. Jill spytała go o Rachel i słuchała z przejęciem, gdy próbował ująć w słowa ten odczuwany każdego ranka wstrząs, kiedy wchodził na salę szpitalną i widział, jak Rachel leży bez ruchu.

Potem spytała go o pracę. Ponieważ właśnie spędził dwie godziny w biurze, chwilę jej o tym opowiedział. David złościł się o Bocę, ale jakoś z tego wybrnęli. Bardziej gnębiła Jacka wstrzemięzliwa reakcja współnika na jego najnowszy projekt uzdrowiska w Montanie, który opisał Jill.

Wysłuchała, kiwając głową. Następnie spytał Jill o lekcje tenisa i o stan zdrowia jej matki, diabetyczki.

Kiedy przestali rozmawiać, Jill objęła go czule w pasie. Złożyła głowę na jego ramieniu, a po chwili uniosła twarz. Pocałowali się raz i drugi.

Zsunęła się z taboretu, stanęła przed nim i zarzuciła mu ręce na szyję.

Kiedy ponownie go pocałowała, zaczęła się wolniutko kołysać. Jack usiłował się zaangażować. Powtarzał sobie w duchu, że Jill to niezwykła kobieta, że byłby idiotą, gdyby wypuścił ją z rąk. Próbował się wciągnąć, ale czuł tylko pustkę. W końcu wysunął się łagodnie z jej objęć. - Jakoś nie mogę - przyznał cicho.

Cofnęła się wystraszona, spojrzała mu w twarz. - Chodzi o Rachel?

- O wszystko.

- Kochasz ją? - zapytała.

- Sam nie wiem. Zupełnie jakbym się znalazł na zakręcie.

- Potrzebujesz trochę przestrzeni. Rozumiem. Poczekam. Ujmując jej dłonie w swoje, powiedział:

- Jill, nie mogę tego ciągnąć. To nie jest fair wobec ciebie. Odpowiedziała mu wysokim, napiętym głosem: - A czyja się skarżę?

- Nie. Byłaś cierpliwa, czekałaś, chciałaś, żeby to się spełniło, ale się nie spełni.

-Ale...

- Cii - przyłożył palec do jej ust. Mówił półszepem. - Proszę cię, Jill.

Posłuchaj. Uwielbiam cię, ale jako przyjaciółkę. Nasza znajomość nigdy nie zakończy się małżeństwem, a o to ci chodzi,

i na to zasłużyłaś.

Jej oczy napełniły się łzami.



- Dlaczego? Czego tu brakuje?

- Niczego. Niczego w tobie. Tylko we mnie. Boja... Boja...

- Nadal kochasz Rachel?

Odetchnął. - Może. Nie wiem. Ale nie czuję się teraz wolny. Nadal czuję się związany małżeństwem. To nie jest dla mnie zakończona sprawa.

- Przecież zawsze mi mówiłeś, że Rachel zakończyła ją, kiedy cię rzuciła.

- Bo to mi pomagało podsycać w sobie złość, ale ona miała swoje powody. Poznałem je dopiero teraz. Jill, muszę z nią porozmawiać. Do tego czasu nie podejmę żadnych decyzji.

Jill, zdumiona, spytała: - A jeżeli się nie obudzi?

- To zostaną mi dziewczynki. I własna skrucha - westchnął. - Nie dokładaj mi powodów do skruchy, Jill. Mógłbym ciągnąć nasz związek i brać to, czego chcę. Ale chciałbym postąpić właściwie i proszę cię, żebyś mi w tym pomogła.

- ZAŁATWIONE - oznajmił po dwóch godzinach Rachel. Na ostatku Jill się rozplakała. Umówili się, że czasem będą ze sobą rozmawiali. Czuł się pusty w środku, samotny. Ale podjął właściwą decyzję. - Była absolutnie wspaniałą kobietą, ale tyś rzuciła na mnie urok. I zawsze tak było.

TEGO wieczoru Jack znów malował w pracowni Rachel. I znów ślezczał do czwartej nad ranem, ale opłaciło się. Obudził się w samą porę na śniadanie z dziewczynkami, odwiózł je na przystanek autobusu szkolnego i zadzwonił do szpitala. zlekceważył wiadomość przysłaną pocztą elektroniczną od Davida Sunga, wrócił do łóżka i spał do dziesiątej. A potem wypił powoli kawę, siedząc na zwalonym pniu w lesie Rachel, gdzie przyglądał się stadku żerujących dzikich indyków.

Po drodze zjechał do sklepu po tuzin dwulitrowych butelek starannie wybranych napojów chłodzących i podrzucił je do szkoły na piknik klasowy Hope. Stamtąd wyruszył do Monterey. Nic się nie zmieniło. Rachel nadal leżała w śpiączce.

wIECzOREM Jack zjadł z dziewczynkami kolację w River Inn, dokąd od dawna obiecywał je zabrać. Dziewczynkom buzie się nie zamykały - Hope wychwalała go, że napoje były najlepszym

punktem programu, Samanta chwaliła się celującym z klasówki z biologii i fantastycznym obiadem z Pam i Heather. Po powrocie do domu marzył tylko o jednym - żeby rzucić wszystko i zabrać się do malowania. Tego dnia czekały go przepiórki. Rachel namalowała stadko, które przycupnęło w niskich gałęziach jaworu. Jeszcze zanim obejrzał dokładnie zdjęcia przypięte z tyłu obrazu, uznał, że tło powinno być oddane w szarościach i brązach zimy, co na poły zakamufluje, a na poły uwydatni wtopione w nie ptaki. Pracował starannie i szło mu jak z płatka. Dobierał różne odcienie umbry, ochry, sjeny i szarości, mieszał i dopasowywał, aż uzyskał odpowiednie tło, przydające wyrazistości przepiórkom. Kiedy skończył, poczuł adrenalinę przyspieszającą mu krążenie krwi w żyłach. Mimo zmęczenia przez jakiś czas nie mógł zasnąć.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W SOBOTĘ rano Samanta zamierzała jak zwykle wyspać się, ale obudziła się wcześniej i nie mogła już drugi raz usnąć. Przez głowę przetaczała jej się burza różnych sprzecznych emocji. Przede wszystkim bał, który tak bardzo ją podniecał. Ale była też zła na ojca za to, że obudził w niej poczucie winy wobec Lydii. No i brakowało jej mamy. Często się z nią sprzeczała, ale przynajmniej czuła jej troskę. A tej nie była wcale pewna w przypadku ojca.

Samanta wolałaby mieć dwadzieścia jeden lat. Gdyby miała, nie martwiłaby się o bal maturalny. Nie martwiłaby się, czy włożyć ośmiocentymetrowe szpilki pożyczone od Heather. Ani jak się zachować, jeżeli Tom ją pocałuje.

Mama powiedziałyby jej, jak się zachować. Ale nie było jej przy córce. Był tylko ojciec, co doprowadzało ją do szału.

JACK ruszył wcześniej wraz z Hope, żeby odwiedzić Rachel. Samanta wymówiła się zmęczeniem i została w domu, wobec czego ojciec obiecał wrócić przed południem z jedzeniem.

Wstąpili do kawiarni na gorącą kawę, którą wzięli na górę, a tam podsunęli Rachel kubeczek pod nos w nadziei, że może

zapach do niej dotrze. Hope wycinała małąkami nożyczkami filigranowe śnieżynki z białego papieru, który przyniosła ze sobą. Rozmawiali o pogodzie, o balu Samanty.

Następnie Hope zawiesiła śnieżynki na stojaku do kroplówki i poprosiła szeptem: - Powiedz mamie o przepiórkach.

Jack zawahał się. Jeszcze nie mówił Rachel o swoim domalowywaniu jej obrazów. Hope przyjęła jego pracę z uznaniem, ale Samanta nie chciała nawet spojrzeć. Obawiał się, że w tej sprawie Rachel może podzielić stanowisko Samanty.

Nagle tknęła go myśl, że mogłoby to mieć zbawienny wpływ. Gdyby Rachel oburzyła się na dokańczanie jej obrazów - gdyby ją to rozsierdziło - mogłaby się obudzić, żeby go zrugać.

No więc opowiedział jej o dokończonych w środę wieczór nurach, o jeleniu podmalowywanym w czwartek wieczór i o przepiórkach ukończonych w piątek. Z prawdziwym ożywieniem rozgadał się o kolorach i efektach, jakie pragnął osiągnąć, lecz Rachel ani drgnęła. SAMANTA była na tyle roztropna, że rozpoczęła przygotowania do balu bardzo wcześnie. Dlatego miała czas na drugi prysznic, kiedy za pierwszym razem włosy nie ułożyły jej się odpowiednio pod suszarką. Dezodorant schnął dosłownie wieki. Krzywo jej wyszła kreska pod oczami, musiała je więc malować od początku. I chociaż uznała, że połyskliwe czarne rajstopy będą wyglądały bardziej wyrafinowanie niż gołe nogi, to jeszcze nie podjęła decyzji na temat biustonosza, kiedy czas było wkładać sukienkę. Miała dwa czarne biustonosze. Oba z ramiączkami. Jeżeli wyciągnęła się do góry pod pewnym kątem, nieodzownym podczas tańca z Tomem, który miał prawie metr dziewięćdziesiąt, to ramiączka wysuwały się spod spodu.

Przetrząsnęła szuflady Rachel w poszukiwaniu biustonosza bez ramiączek. Z ciekawych rzeczy znalazła tylko fotografie w ramkach. Nie rozumiała, dlaczego mama je w ogóle trzyma. Przecież nienawidziła Jacka. Czasami zanudzała je na śmierć gadką o lojalności, ale to tylko takie gadanie. W końcu byli roz-wiedzeni. A to już mówi wszystko. Zatrzasnęła szuflady i zaczęła się zbierać do wyjścia.

- Wszystko gra? - spytał Jack od drzwi.

Absolutnie nie grało. Chciało jej się płakać. - Moja matka leży w śpiączce, mój ojciec jest kretyńcem, a ja nie mam biustonosza bez ramiączek.

- Jak najbardziej - rzuciła przez zęby i szybko go wyminęła.

- A mnie się zdaje, że nie - powiedział, idąc za nią. Odwróciła się w jego stronę. - Bo mam tremę. Rozumiesz? To wyjątkowy wieczór. Daj mi spokój.

Podniósł rękę i wycofał się... ale nawet to ją rozzłościło. Miała ochotę się pokłócić. Najchętniej zaczęłaby krzyczeć i wrzeszczeć, żeby upuścić trochę pary. Nawet miała ochotę się rozplakać, ale nie chciała przy nim.

Hope płakała. Samanta nie.

Poza tym nie miała już czasu malować od nowa oczu.

O SZÓSTEJ Jack siedział w kuchni i nakładał do miseczki sos do maczania krakersów, które Hope ułożyła na półmisku. Ledwie zanieśli je do salonu, rozległ się dzwonek do drzwi.

- Pogadaj z nim - zawołała Samanta ze swojego pokoju. - Jeszcze nie jestem gotowa. Jack otworzył drzwi młodzieńcowi swojego wzrostu, tyle że tamten był brunetem o ciemnych oczach i ciemnym zarostem. Był w smokingu... no poniekąd. Bo zamiast plisowanej koszuli miał biały podkoszulek, do tego skórzany pas, a zdarte czarne trzewiki wystające spod nogawek wyglądały na buty z cholewami.

Jack wyciągnął rękę. - Jestem ojcem Samanty.

Uścisk dłoni młodzieńca był zdecydowany, odrobinę zadziorny, a może wręcz wyzywający. - Tom Runyan.

Jack wciągnął go do domu mocnym uściskiem dłoni, świadczącym o tym, że chłopak nie ma wyboru. - Wiem od Samanty, że mieszkasz tutaj, w Big Sur. - Trochę dalej przy tej samej ulicy.

Podeszła Hope z sosem, wpatrzona bez uśmiechu w Toma.

- Cześć, Hope - przywitał ją Tom. - Sama robiłaś? - zanurzył krakersa w sosie i wrzucił sobie do ust. - Mmm. Pycha.

Jack odczekał, aż Tom przełknie. - Jakie więc macie plany?

- Nie mam pojęcia. To Samanta się umawiała.

- Kiedy mogę się jej spodziewać z powrotem? Tom zrobił zagadkową minę.

- Jakoś jutro. To zależy, jak długo będziemy spali.

Nie to chciał usłyszeć Jack. - A gdzie będziecie spali? Tom wzruszył ramionami. - To bal Samanty.

- Cześć, Tom - rzuciła Samanta. Stała na skraju salonu. Wyglądała tak pięknie, że Jackowi aż dech zaparło.

- Cześć - przywitał ją Tom. - Gotowa?

Żadnego: Pięknie wyglądasz. Żadnego: Proszę, to twój bukiet. Jackowi nie przypadły do gustu te buciory ani ten szeroki skórzany pas. A już szczególnie podkoszulek.

Podszedł do Samanty, zaprosił gestem na korytarz i ruszył do jej pokoju, oglądając się przez ramię, czy za nim idzie.

Szła, ale z marsową miną. - Muszę już iść - syknęła.

- Słuchaj, ślicznie wyglądasz - pochwalił, czym ją kompletnie zaskoczył.

- Naprawdę?

- Szkoda, że mama cię nie widzi. Poczekaj. Pójdę po aparat. Złapała go za rękę. - Nie, tato, błagam cię. Tom czeka. Powinien był wcześniej przygotować aparat. Powinien był to

zaplanować. - Naprawdę wyglądasz bajecznie - powiedział i nieoczekiwanie aż go ciarki przeszły. - Możemy porozmawiać, o której wrócisz? Spojrzała na niego, jakby miał rogi. - O której wrócę? Przecież to bal do rana. Wiedziałaś o tym.

- Wiedziałem, że nocujesz u Lydii, ale to uległo zmianie. No więc, chcę poznać plany. Chcę wiedzieć, gdzie będziesz.

- Bal jest w szkole.

- Nie to mnie akurat martwi, Sam. - Grzebał w bałaganie na jej biurku w poszukiwaniu długopisu i świstka papieru. - Ale przed balem i po balu planujecie jakieś imprezy. Podaj mi numery telefonów.

- Nie możesz mnie szpiegować - zawołała. - Jeżeli zadzwonisz, spalę się ze wstydu. Poszedł na kompromis. - W takim razie podaj mi nazwiska. - Zawsze może wziąć numery z informacji. - Impreza przed balem odbywa się u Jake'a... Jake'a Drummera?

- Drumble'a.

- A po balu?

- Chyba u Pam, ale to zależy od tego, kto kiedy wyjdzie z balu, czy będziemy chcieli coś zjeść i na co będziemy mieli ochotę potem, no więc nie wiem.

- Czy twoją mamę zadowolilaby taka odpowiedź?

- Tak. Ona mi ufa.

- Ja też. Ale nie ufam twoim kolegom. - Przyszedł mu do głowy inny pomysł. - Weź mój telefon komórkowy.

I znów to spojrzenie „skąd tyś się urwał?”. - Po co?

- Żebyśmy mogli być w kontakcie.

Spojrzała na niego ze zgrozą. - Nikt nie bierze komórek na bal maturalny. Zresztą, gdzie bym ją włożyła? W tej sukience nie ma nawet kieszeni.

- Do torebki?

Podniosła cienką torebeczkę na jeszcze cieńszych paskach.

Westchnął. - No dobrze. Obejdzie się bez telefonu. Jak Pam ma na nazwisko? Podała mu niechętnie. Ledwie zaczął je zapisywać, wyskoczyła z pokoju. - Poczekaj - rzucił, bo wciąż coś mu nie dawało spokoju.

Odwróciła się zniecierpliwiona: - No co?

- Zadzwoń, gdybyś miała jakieś kłopoty. - Podeszedł do niej.

- Czekam na telefon przed dziesiątą rano.

- Dobra - burknęła i znikła w korytarzu.

Ruszył za nią do salonu, ale kiedy tam dotarł, Samanta już pociągnęła Toma do drzwi.

- Cześć - rzuciła, machnąwszy mu na pożegnanie, i już ich nie było.

W DOMU Jake'a Drumble'a roiło się jak w ulu. Samanta w życiu nie widziała tylu młodych ludzi w tak małym pomieszczeniu.

- Znasz tu kogoś? - spytał Tom, chwyciwszy dwa piwa z baru i wcisnąwszy jej jedno w rękę.

- To chyba koledzy Jake'a z drużyny futbolowej - odparła.

- Czekaj, jest Pam. Pam! - Pociągnęła Toma przez tłum, ale musiała przystawać, czując opór w ręce, gdyż jej partner co chwila zatrzymywał się, żeby pogadać to z tą, to z inną dziewczyną. Trudno się było dziwić. Był najfajniejszym chłopakiem na całej imprezie. Kiedy precyzyjnie się już do Pam, Samanta uwiesiła się jego ramienia, żeby nikt nie miał wątpliwości, że Tom należy tego wieczoru do niej.

Gadali i wygłupiali się z Pam i Jakiem. Pogryzali chrupki, popijając piwem, jedli prażoną kukurydzę i znów popijali piwem.

Tom był wymarzonym partnerem, zawsze wiedział, kiedy jej dolać.

- Jak się bawisz? - spytał z uśmiechem, kiedy zaciągnął ją do kąta.

Szumiało jej w głowie, czuła się fantastycznie wolna.

- Kapitalnie.

Oparł ręce po obu jej stronach o ścianę, napierając na nią ciałem. Miał usta o kilka centymetrów od jej ust. - Jesteś cudowna.

Zlikwidował te centymetry pocałunkiem tak czułym, że wszystkie wcześniejsze obawy wydały jej się niedorzeczne.

- Miło? - spytał. Uśmiechnęła się. - Aha.

- Jeszcze? - Aha.

Tym razem pocałunek był głębszy, żywszy, bardziej otwarty. Ciężko dysząc, przyłożył czoło do jej czoła i rzucił chrapliwie:

- Fiuu. Musimy dokądś pójść.

Samanta nie bardzo nawet pojmowała, o co mu chodzi, kiedy pokój zaczął się opróżniać. - Ale bal - wybąkała.

- Nie, w jakieś zaciszne miejsce.

- Przecież jest bal - obstawała przy swoim. Za nic w świecie nie chciała zrezygnować ze swojego pierwszego balu i z tańca z Tomem Runyanem. JACK i Hope stali w pracowni Rachel wśród drewnianych listew, które wkrótce miały zamienić się w ramy.

- Na pewno umiesz to robić? - spytała Hope.

- Jak najbardziej - zapewnił ją Jack. - Te łaty... - wskazał na drewno - trzeba przyciąć do odpowiednich rozmiarów...

- podniósł palec - piłą grzbietnicą. Potem nawierca się otwory na gwoździe, wpuszcza klej stolarski, wbija gwoździe, wciska te tutaj... - wskazał na ciężką konstrukcję metalową - kątowniki. Bułka z masłem. Hope uśmiechnęła się. - Bułka z masłem.

- Pomyślałem, że mi pomożesz. To nic trudnego. Chcesz? Oczy Hope powiedziały mu wszystko, jeszcze zanim ona sama pisnęła entuzjastycznie: - Tak.

- Od którego obrazu zaczniemy? - spytał. Hope wskazała na nury. - To mój ulubiony. To był też jego ulubiony obraz.



Odkąd Jack wrócił do córek, czuł się bliżej Rachel i to uczucie bardzo pragnął podtrzymać tego wieczoru.

Uważał, że nie najlepiej załatwił sprawę Samanty. Może Rachel wiedziałyby, jak postąpić i co powiedzieć. A może nie. Tak czy owak, bardzo przydałaby mu się jej rada.

SAMANTA i Tom wyszli z balu tuż po dziesiątej. W ślad za Pam i Jakiem pojechali do lana McWaina. Muzyka była z taśmy, ale za to dawali pizzę, piwo i okropnie słodki poncz. Tom traktował ją jak ósmy cud świata, przynosił jej drinki, tańczył wtulony w nią, nie zważając na rytm. Z każdą chwilą atmosfera była coraz swobodniejsza, muzyka coraz szybsza, tańce bardziej szalone niż w szkole.

Samanta była wniebowzięta, wtopiła się w ten tłum, w tę zabawę, nawet w Toma Runyana, gdy więc zgarnął jedną ręką nowy browar w szkle, a drugą poprowadził ją do swojej półciężarówki, podążyła ochoczo za nim. Przygarnął ją na przednim siedzeniu, objął ramieniem tak, że piwo dyndało mu między jej piersiami, i wdepnął gaz.

- Dokąd? - spytała.

- W jakieś ustronne miejsce - odparł. - Jesteś zbyt cenna, żeby się tobą dzielić.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc tylko się uśmiechnęła, zamknęła oczy i wtuliła twarz w szorstkie zagłębienie pod żuchwą, gdzie ciemniał jego zarost.

Nie ujechali daleko, kiedy Tom zjechał na pobocze. Zgasił silnik i światła, pociągnął spory haust, odstawił butelkę na podłogę szoferki i odwrócił się do Samanty.

Nie odezwał się słowem, tylko wziął jej twarz w obie ręce i zaczął całować.

Trzymał ją tak, dopóki cała nie pogrążyła się w tym pocałunku. A wtedy wyciągnął obie ręce do jej piersi. Zamruczała coś na znak sprzeciwu, czując się oszołomiona, wstawiona, niezbyt przytomna.

- Daj się ponieść - szepnął i zmieniając pozycję pociągnął ją na swój fotel.

- Tom, ja nie... To nie jest...

- Oczywiście, że jest - uciał w ten swój dorosły, zmysłowy sposób.

- Nie - zaprotestowała, usiłując się spod niego wyslizgnąć. Ale leżała na plecach, a on przygwałdził ją sobą, zadając jej ból.

- Puszczaj! - wymacała ręką jego włosy, szarpnęła.

- Co ty do...

Kopnij go w krocze, instruowała ją kiedyś na taką okoliczność matka, i Samanta to właśnie zrobiła. I chociaż nie umiała kopnąć mocno, chłopak odskoczył na tyle, że zdołała się wysmyk-nać, pociągnąć drzwi i wyskoczyć na zewnątrz.

- Dlaczego? - ryknął za nią przez otwarte drzwi.

Ale ona miała już serdecznie dosyć Toma Runyana, toteż puściła się biegiem. Potknęła się, kiedy szpilka uwięzła jej w trawie. Pozbierała się jednak i pomknęła naprzód. Minęła niewielki zagajnik, a gdy zabrakło jej tchu, stanęła i zwymiotowała gwałtownie w czyimś ogródku za domem. Trzymając się za brzuch, podeszła do ciemnego domu, osunęła się na ziemię i skuliła w pozycji embrionalnej.

Oddychała płytko, nasłuchując. Nie usłyszała Toma ani nie zobaczyła. W końcu wstała i zaczęła się oddalać od tego domu. Rozejrzała się zza drzewa po ulicy, a kiedy nie zobaczyła śladu półciężarówki, pobiegła w przeciwnym kierunku. Skreśliła za róg i usiadła na poboczu, żeby odpocząć. Po chwili zmusiła się do tego, żeby wstać i dobiegła aż do następnego skrzyżowania. Tam padła na ziemię, modląc się w duchu, żeby nikt jej nie zobaczył. Była w dzielnicy willowej, ale nie wiedziała, jakiej. Czuła mdłości, wstyd i strach.

Znowu ruszyła, na próżno szukając tabliczki z nazwą ulicy. Skreśliła za róg, kiedy nadjechała jakaś furgonetka. Dała nura za krzak, ale to nie był Tom. Wlokła się dalej, zastanawiając się, co robić. Najchętniej położyłaby się i zasnęła pod okiem troskliwej mamy, tyle że mama była w szpitalu i sama leżała w śpiączce.

Minęła kolejną przecznicę. Wyobraziła sobie, że będzie tak chodzić całą noc aż do rana, przemarznięta do szpiku kości, nie wiedząc, co robić.

Z każdą chwilą coraz bardziej przerażona, marząc tylko o domu, zaczęła cicho płakać. Bliska hysterii na kolejnym rogu przeczytała nazwę ulicy. -

Dzięki Bogu, dzięki Bogu, dzięki Bogu - wymruczała i znów puściła się biegiem. W ciągu niespełna pięciu minut znalazła budkę telefoniczną.

Podniosła słuchawkę, wykręciła numer i czekała, aż tata odbierze.

JACK malował, kiedy zadzwonił telefon. Aż podskoczył, rzucił paletę i pędzel, chwycił słuchawkę. - Halo?

Chwila milczenia, a potem kilka słów zgnębionym głosem: - Tato?

Przyjedź po mnie.

Przełknął ślinę.

- Gdzie jesteś? Co się stało?

- Jest mi niedobrze. Mógłbyś po mnie przyjechać?

- Zaraz przyjeżdżam. Powiedz mi tylko, gdzie jesteś. - Kiedy podała mu nazwę dwóch krzyżujących się ulic, spytał o adres.

- Dzwonię z budki - zawołała. - Szybko przyjedziesz? Postara się przyjechać w trzydzieści pięć minut. - Jesteś sama? - Gdzie był jej kolega? I co zrobił? - Pospiesz się, tato.

- Samanto, czy mam wezwać karetkę? Albo policję? Masz jakieś kłopoty...

- Chcę tylko wrócić do domu!

- Dobrze, kochanie, w porządku. Już jadę. Czeka tam. Nie ruszaj się. A gdyby ktoś się zatrzymał w pobliżu, wezwij policję, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się drżącym głosem.

Coś mu przyszło do głowy. - Odczekaj pięć minut, a potem zadzwoń do mnie na komórkę.

Nie wiedział, co się właściwie stało, ale paraliżowała go myśl o odłożeniu słuchawki. Wyobrażał sobie córkę gdzieś tam samą, targaną mdłościami, podczas gdy on będzie do niej jechał całą tę drogę. Lepiej, jeżeli będzie z nią przez ten czas rozmawiał. Gdyby wówczas zemdląca albo wpadła w większe tarapaty, sam mógłby wezwać karetkę.

- Nie znam numeru - odparła płaczliwie.

Podał jej numer, kazał powtórzyć. - Za pięć minut, zgoda?

- Zgoda.

Odłożył słuchawkę. Tuż za nim stała zupełnie rozbudzona Hope.

- Mogę jechać z tobą?

Nie odpowiedział, tylko chwycił ją mocno za rękę i porwawszy z kuchni portfel, wybiegł z nią pędem do samochodu.

MINEŁO pięć minut, potem dziesięć, a telefon w samochodzie milczał.

Jack ścisnął kierownicę i pędził najszybciej jak mógł

w unoszącej się do góry mgłę, modląc się, żeby córka była tam, kiedy dojedzie.

- No dobrze - zwrócił się do Hope. - Co wiesz, o czym ja nie wiem?

- Nic. Sam wiedziała, że nie podoba mi się to, co robi, dlatego nic mi nie powiedziała. To tyś ją powinien wypytać, dokąd idzie.

- Wypytywałem, ale niewiele z niej wyciągnąłem.

Hope miała rację. To był jego obowiązek, a on mu nie sprostał.

Przynajmniej Samanta miała na tyle oleju w głowie, żeby zadzwonić.

Po DRUGIEJ nad ranem dotarł do Carmel. Ulice były opustoszałe. Znalazł skrzyżowanie podane przez córkę, wypatrzył budkę telefoniczną, szybko podjechał, ale w środku nie widać było nikogo. Wysiadł z wozu, rozejrzał się i wtedy usłyszał jej głos.

- Tata? - siedziała skulona na podłodze budki. W nocnym świetle jej zapłakana twarz jakby zupełnie zzieleniała. - Nie zapamiętałam numeru - wyjęczała przez łzy. - Próbowałam wszystkich kombinacji.

Ukląkł, podniósł ją, wziął w ramiona.

Hope podbiegła i pomogła mu wsadzić siostrę na przednie siedzenie, zapięła jej pas, a potem obiegła samochód i wskoczyła do tyłu na miejsce za kierowcą. Jack zdjął kurtkę i okrył Samantę, bo cała się trzęsła.

Położył jej rękę na głowie.

- Jechać do szpitala? - spytał cicho. Potrząsnęła głową.

- Po prostu za dużo wypłam.

- A gdzie twój kolega?

Rozplakała się. - Chciał zrobić coś, na co ja zupełnie nie miałam ochoty.

Jackowi aż się ścisnęło serce.

- Zuch dziewczyna - pochwalił ją. Pochylił się, pocałował ją w czubek głowy i zawrócił w stronę domu.

Po PRZYJEŹDZIE do Big Sur zaniósł Samantę do jej pokoju. Kiedy brała prysznic, spoglądał na las przez szerokie okno salonu, zachodząc w głowę, co się naprawdę stało. Kran został zakręcony.

Odczekał, aż córka wejdzie do łóżka, a potem zajrzał do niej, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku.

Leżała z kołdrą pod brodą, ale nie spała. Kucnął na wysokości jej twarzy.

- Najważniejsze dla mnie jest to - odezwał się serdecznie - czy ten chłopak... nie dotykał cię tak, jak nie powinien. - Nie wiedział, jak inaczej o to zapytać.

Przez chwilę milczała. No więc dodał: - Jeżeli to był gwałt...

-Nie.

Czekał, że córka sama coś doda. Kiedy się nie odzywała, poprosił: -

Porozmawiajmy, Sam. Martwię się o ciebie. Chciałbym ci pomóc. - Po

kolejnej chwili dodał: - Gdyby tu była twoja mama, siedziałaby teraz z tobą i rozmawiała. Wcale się nie wtrącam. Wcale cię nie oskarżam ani nie obwiniam. Zamknęła oczy. Najpierw jedna, a potem druga łza spłynęły jej z kącika oka. Zabolały go obie. Kiedy Samanta zasłoniła ręką twarz, a jej piersią targnął długi, głęboki szloch, Jack również go poczuł. Nie wstając z kucek, głaskał ją po głowie, aż trochę się uspokoiła. Wtedy odetchnął. - Za żadne skarby świata nie chciałbym być w twoim wieku.

Pociągnęła nosem. - Dlaczego?

- Bo człowiek jest taki zawieszony w próżni. - Jakże on to pamiętał! - Nie jest już dzieckiem, nie może więc po prostu udawać głupiego, kiedy noga mu się powinie. Trzeba zachowywać się po dorosłemu, żeby zdobywać doświadczenie, tyle że właśnie nie ma się doświadczenia i dlatego najczęściej działa się po omacku. O nie, mógłbym znów mieć dwadzieścia siedem lat. Ale piętnaście? Za nic w świecie.

- A co takiego fajnego zdarzyło się, kiedy miałeś dwadzieścia siedem lat? Zastanowił się. - Twoja mama.

Samanta znów się rozplakała. - Tak strasznie jej potrzebuję.

- Wiem. Ale jej tu nie ma, spróbujmy więc oboje załatwić to tak, jak ona by to załatwiła. Opowiesz mi o dzisiejszej nocy? Chciałbym coś od ciebie usłyszeć.

- Tak, przede wszystkim chcesz usłyszeć... - głos jej się załamał -jaka jestem przegrana.

- Wcale nie jesteś przegrana - przerwał jej ostro. - Byłabyś, gdybyś została na imprezie z kolegami, którzy robią z siebie idiotów, piją, tańczą na stołach, rozbierają się...

Wybałuszyła na niego oczy.

- Skąd wiesz?

- Mam to za sobą, kochanie.

- Wiedziałeś, że Tom będzie pił piwo w samochodzie?

- Nie. Ale wcale mnie to nie dziwi.

- Od razu ci się nie spodobał.

- Dziwisz się? Nawet ci nie powiedział, że ślicznie wyglądasz. A naprawdę ślicznie wyglądałaś. No więc zostawił cię po prostu w tamtej budce telefonicznej, czy co?

- Ja tam uciekłam. On pewnie wrócił na tamtą imprezę.

- Miły koleś - mruknął Jack. - Gdyby był w porządku, pojechałby za tobą i odwiózł cię do domu. A w ogóle gdyby był w porządku, to trzymałby łapy przy sobie.

- Tato, to nie była wyłącznie jego wina. Na trochę sama mu pozwoliłam. Jack też się tego domyślił. I powiedział cicho: - Pozwolenie na trochę jest w porządku, jeżeli masz do chłopaka zaufanie i dopóki w grę nie wchodzi alkohol. Bo po alkoholu wyprawia się głupstwa. A nawet może dojść do tragedii. Tak czy owak, już po wszystkim. Dorastanie w sporej mierze polega na nauce, kiedy zachować ostrożność. Młody człowiek musi zrozumieć, że odpowiada za swoje czyny.

Tak długo milczała, że Jack zaczął się zastanawiać, czy aby nie zasnęła.

Może przesadził? I wtedy Samanta takim samym dorosłym głosem, jakim on do niej przemawiał, spytała: - A jak to się ma do rozwodu? Czy w małżeństwie ludzie też odpowiadają za swoje czyny?

Minęła chyba minuta, zanim odpowiedział: - Tak.

- Czyli przyjmujesz na siebie winę za rozwód?

- Nie. I do ślubu, i do rozwodu potrzeba dwojga.

- No to jak mogliście oboje dać za wygraną? - zapytała Samanta ze łzami w głosie. - Nie daliśmy.

- Owszem - zawołała przez łzy. - Nie kłóciliście się o to, nie walczyliście, tylkoście po prostu się rozstali - rzuciła oskarżenie. - Jak to wyglądało z twojej strony?

Nie wiedział, czy powinien odpowiedzieć szczerze, ale Samanta czekała.

- Czułem - zaczął - że wasza mama mnie nie chce. Że nasze drogi się rozeszły, że przyświecają nam inne cele.

Ja byłem poprzez pracę związany z miastem, a mama absolutnie nie chciała w nim mieszkać. - Przecież ją kochałeś.

- Owszem.

- I nadal kochasz?

Pomyślał o tym, jak mu się codziennie serce ściska, kiedy wchodzi do sali, gdzie leży Rachel.

- Możliwe.

- No to dlaczego nie walczyłeś o to, żeby ją zatrzymać? Nie było warto? Nie byłyśmy tego warte?

To pytanie go zdumiało. - Było. Byłyście.

- Myślałam o tym w budce, kiedy czekałam na ciebie. Miałaś rację. Nie byłyśmy tego warte. Zwłaszcza ja. - Czyś ty oszalała?

- A widzisz? - zawołała. - Nigdy nie mówisz tak do Hope.

- Istotnie. Mówię do niej inaczej, bo Hope i ty jesteście dwiema różnymi osobami. Ale żadna nie jest lepsza ani gorsza.

- Ona jest urzekająca, a ja nie. Bo za dużo gadam.

- Właśnie to mnie w tobie urzeka. Że zawsze wiem, na czym stoję. To wielka zaleta w każdym związku. Szczerłość. Zaufanie. Swoboda.

Czasem nie jesteśmy wobec siebie szczerzy, ale to dlatego, że ty jesteś taka młoda, a ja... - Stary.

Westchnął. - Chyba tak. No i widzisz. O tym też potrafimy rozmawiać.

Przewróciła się na plecy i zapatrzyła w sufit.

- A z Tomem jakoś nie potrafiłam rozmawiać. Bałam się, że weźmie mnie za szczeniara. - Tom to kawał chama - powiedział krótko Jack. - Stać cię na lepszy wybór, Samanto.

- Myślałam, że to lepszy wybór. Najwyraźniej się nie znam.

- Wyniosłaś nauczkę. Na tym polega dorastanie. A co poszło nie tak z Brendanem i Lydią?

Samanta nieoczekiwanie znów się rozpląkała. Po czym, szlochając, wybąkała:

- Zdradziłam ich, wiem, że teraz nie będą chcieli mnie znać... a Pam i Heather tak samo, bo Tom na pewno tam wrócił i opowiedział, co się stało. Nie będę się mogła pokazać w szkole. Przegrałam na całej linii.

- Nic podobnego. Wcale nie przegrałaś, ale powinnaś zadzwonić do Lydii.

- Nie mogę. Nie będzie chciała ze mną gadać.

- Możesz ją przeprosić. Lydia wygląda mi na osobę mądrą i wyrozumiałą. Samanta znów się rozplakała.

- A teraz co znowu? - spytał.

- Tak bardzo brakuje mi mamy.

Czując przeszywający ból w środku, odgarnął jej włosy.

- Mnie też - powiedział i uświadomił sobie, jak bardzo. A potem głaskał córkę po głowie, dopóki nie zasnęła.

OBUDZIŁ go w niedzielę rano ostry dźwięk telefonu.

- Jack? Mówi Kara Bates. Rachel oderwał się skrzep.

- ODERWAŁ się skrzep. Co to znaczy? - dociekała Samanta. Jechali samochodem do Monterey.

Hope, w kowbojkach przynoszących jej szczęście, wyciągała głowę z tylnego siedzenia, czekając na jego odpowiedź. Jack powtórzył, co powiedziała lekarka. - Czasami się zdarza, że w wyniku złamania kości... w tym wypadku nogi mamy... tworzy się skrzep, mała blokada, która dostaje się do krwiobiegu i krąży w żyłach. Czasem może utknąć w mózgu albo w sercu, czasem w płucach. Właśnie on zablokował waszą mamę.

- I mógłby ją zabić? - wystraszyła się Samanta.

- Mógłby, Sam - odpowiedział - ale nie zabije, bo siedzą teraz u niej doktorzy Bauer i Bates. Najgorsze jest to, że taka blokada może zatamować przepływ krwi. W przypadku waszej mamy byłoby to niezmiernie groźne. Jej mózg się goi. Potrzebuje jak najwięcej tlenu, a ponieważ krew przenosi tlen, nic nie powinno zakłócać jej przepływu.

- Czyli zrobią jej operację i to coś usuną?

- Na razie podają jej silny lek na rozpuszczenie skrzepu.

- A jeżeli nie zadziała?

- Sam... - wziął ją za rękę - wymyślanie najczarniejszych scenariuszy nic tu nie pomoże. Chyba należy nam się chwila wytchnienia, co?

- Tak - szepnęła i zamknęła oczy.



Przez chwilę pottrzymał jej dłoń. Dodało mu to otuchy, podobnie jak ciężar policzka Hope na ramieniu.

RACHEL wróciła na oddział intensywnej opieki medycznej. Całe wargi i okolice warg miała sine. Już sam ten widok był przerażający, nawet gdyby nie charczała tak dychawicznie.

- Z powodu tego skrzepu - wyjaśniła Kara, kiedy Jack i dziewczynki przyglądali się Rachel ze zgrozą - krew dostarczająca tlen nie może dotrzeć do płuc, żeby wymienić krew niosącą dwutlenek węgla. Ten jej charkot to próba wciągnięcia większej ilości tlenu do płuc. Brzmi to znacznie gorzej niż jest w istocie.

Rzeczywiście, Jack był wstrząśnięty. Sądził, że Rachel umiera.

- Kiedy lek zacznie działać?

- Spodziewamy się, że nastąpi to w ciągu kilku godzin.

MINĘŁA wolno pierwsza godzina. Jack stał jak sparaliżowany, przerażony w nie mniejszym stopniu charczeniem i zgrzytaniem Rachel, jak tą jej sinicą. Najpierw stał bez ruchu, tuląc do siebie dziewczynki, ale wszyscy troje padali z nóg. W końcu usiedli na łóżku, dziewczęta po jednej stronie, Jack po drugiej. Zaczęła się druga godzina. Przyjechała blada, roztrzęsiona Katherine. Wyglądała zupełnie inaczej niż przedtem. Twarz miała nieumalowaną, loki spięte z tyłu w koński ogon. Była w dresie i w adidasach.

Jack poczuł się w jej obecności rażniej. Teraz już była i jego przyjaciółką. Byli sojusznikami w tej samej wojnie.

Kiedy wysłał dziewczynki do kawiarni po coś do picia, powiedziała mu: - Dzięki za telefon. Byłam na siłowni. Zaraz po przyjsciu do domu przesłuchałam twoją wiadomość. Zdążyłam tylko wziąć prysznic.

- Świetnie wyglądasz - pochwalił. Kiedy spojrzała na niego z powątpiewaniem, dodał: - Naprawdę. Tak naturalnie. Podobnie do Rachel. Dziękuję za to, że przyszedłaś. - Dotknął warg Rachel. Były rozchylone, z trudem chwytaly powietrze. - Katherine, ja jej nie chcę stracić. Sądzisz, że ona chciałaby to usłyszeć?

Katherine obrzuciła go wzrokiem i westchnęła.

- Nawet niebrzydki z ciebie gość. Powinieneś się ostrzyć i ogolić. Ale ważne, że się chociaż myjesz. No więc tak, na pewno by chciała. A która kobieta nie chciałaby?

- CZEŚĆ.

Jack wyszedł za dziewczynkami do kawiarni na śniadanie. Katherine przechylała się przez barierkę, mówiąc Rachel, że usycha z tęsknoty za nią, kiedy wszedł Steve Bauer. Wiedziała, że się zjawi, czuła to intuicyjnie na długo, zanim postanowiła zrezygnować z makijażu i układania włosów. Uznała, że czas najwyższy pokazać mu się z najgorszej strony.

- Co tu się dzieje? - spytała, prostując się.

- Skrzep. Kroplówka. Czekanie.

- Aha, dzięki.

Podszedł do łóżka, przyjrzał się Rachel, potem chwilę patrzył na monitor. Katherine wyczuła jego obawy. - Jak coś takiego wpływa na śpiączkę? Czy może ją z niej wyrwać?

- Może, ale nie musi. - Zwrócił swoje niebieskie oczy na nią, leciutko się uśmiechnął. - A ty jak się czujesz?

- Denerwuję się o Rachel.

- Jak długo się znacie?

- Sześć lat, ale czuję, jakbym ją znała wieki. Takie jesteśmy podobne.

- Teraz jesteś do niej bardziej podobna niż przedtem.

- Też mam ziemistą cerę? Sine usta?

- Nie masz makijażu. I pięknie wyglądasz. Jack powiedział to samo, ale w ustach Steve'a zabrzmiało to inaczej. Ścisnęła dłoń Rachel.

- Posłuchaj, on znów na mnie nastaje.

- Nie. Tylko deklaruję poważne zamiary. - Zanim zdążyła przeanalizować jego słowa, dodał: - Czyli obie z Rachel jesteście podobne. Powiedz mi, pod jakim względem. Katherine nie miała z tym kłopotów.

- Ona jest jedynaczką. Ja tak samo. Ona wychowywała się w mieście. Ja tak samo. Ona nie znosiła miasta. Ja tak samo.

- Dlaczego?

- Bo czułam się w nim zagubiona. Lubię mieć wokół siebie znajomych.

- Takich jak Rick Meltzer?

Rick był anestezjologiem, który zawołał ją przy nim po imieniu. - Takich jak Rick - potwierdziła.

- A Rachel lubi chodzić do kina?

- Tylko na dobre filmy - uniosła brew. - Nawet nie próbuj mnie zapraszać.

- Wcale nie miałem zamiaru. Zadręczałabyś się wyrzutami sumienia, idąc do kina, skoro Rachel tutaj walczy, ale jeść musisz, a ja też nie mogę za bardzo oddalać się od szpitala. Może skoczylibyśmy na coś szybkiego.

Na przykład kanapki z pieczonym łososiem na Nabrzeżu Rybackim?

Katherine uśmiechnęła się. - W tłumie turystów?

- Tam jest szybko i bez ceregieli. Wiesz co, przez kilka najbliższych godzin będę się tu kręcił. Jeżeli zgłodniejesz o drugiej, spotkajmy się przed szpitalem. Podjadę ciemnozielonym CJ-7.

Zerknął jeszcze za siebie, żeby sprawdzić, czy kroplówka kapie we właściwym tempie, po czym, rzuciwszy Katherine czarujące spojrzenie niewiniątka, wyszedł. KIEDY Jack powrócił z dziewczynkami na salę, stwierdził ze smutkiem, że nic się nie zmieniło.

- Właśnie był tu Bauer - poinformowała go Katherine. - Nie widział większych powodów do obaw.

Jack jednak widział. Rachel nikła w jego oczach. Uznał to za karę dla siebie. Pozwolił Rachel odejść. Pozwolił. Samanta miała rację. Bez walki. Milczenie oznaczało zgodę.

- Cholera - zaklął pod nosem, i raptem oczy zasły mu łzami.

- Cześć, dziewczyny - Katherine przywitała Samantę i Hope. - Chodźmy na spacer. Wasi rodzice muszą pobyć sami.

Jack nie oglądał się za siebie, ale wiedział, kiedy wyszły. Zaczerpnął tchu i musnął Rachel kciukiem po powiekach.

- Chciałbym porozmawiać z tobą o tym, co się stało. Nigdy przedtem nie rozmawialiśmy. Po prostu rozstaliśmy się i nasze drogi się rozeszły.

Zapadliśmy się w siebie sprzed naszej znajomości, ale to nie byliśmy my.

Osobno ty i osobno ja. Ale nie my. - I znów zaczerpnął tchu, aż go

przeszedł dreszcz. A potem dodał z dziką zawziętością: - Rachel, nasze małżeństwo było wspaniałe. Chciałbym je znów odzyskać. Nie umieraj mi teraz.

Nawet nie drgnęła, tylko wciąż chwytiała chrapliwie powietrze.

Przerażony, podsunął sobie krzesło i usiadł.

SIEDZIAŁ na tym samym krześle, kiedy Samanta i Hope wróciły po godzinie na salę. W południe Rachel nadal była sina i nadal charczała.

- Bez przerwy myślę o Lydii - odezwała się cicho Samanta. - Chyba powinnam jej powiedzieć o mamie.

Jack wyjął z kieszeni telefon komórkowy i podał jej. Wzięła. - A jeżeli na dźwięk mojego głosu odłoży słuchawkę?

- Nie odłoży. - Gdyby odłożyła, nigdy by jej nie wybaczył. Samanta wróciła na właściwe tory. Nie chciał, żeby się teraz wyko-leiła. - Sam, zadzwoń od razu. Jeżeli wiesz, że coś jest słuszne, to nie pozwól, żeby wymknęło ci się z rąk. Wszyscy powinniśmy skorzystać z tej lekcji.

SAMANTA chciała zadzwonić do Lydii na osobności. Poszła więc na drugi koniec korytarza, zaszyła się w cichym kącie. Gdyby Lydia nie chciała z nią gadać, to Samanta nie wiedziała, co robi. Ale mama stanowiła znakomity pretekst. Skrzep krwi to coś, o czym można by powiedzieć Lydii. Lydia uwielbiała Rachel. Wszystkie koleżanki Samanty uwielbiały Rachel. Wystukała numer Lydii. Kiedy odebrała pani Russell, jej mama, Samantę coś chwyciło za gardło. W tej chwili dałaby wszystko, żeby usłyszeć głos własnej mamy. Odchrząknęła.

- Dzień dobry, pani. Czy zastałam Lydię?

- dzień dobry, Samanto. Brakowało nam ciebie wczoraj wieczór. Byłam pewna, że wpadniesz. Dobrze się bawiłaś?

Samancie zaszkliły się oczy. - Nie. Nie było... tak jak myślałam. A wszyscy jeszcze tam są?

- Shelly właśnie wyszła. Lydia chyba bierze prysznic. zaczekaj chwilę. Samanta odwróciła się do ściany i czekała.

- Tak, bierze prysznic - powiedziała pani Russell. - Może jej coś przekazać?

- Mam dość ważną wiadomość. Niestety stan mojej mamy się pogorszył. Głębokie westchnienie z drugiej strony.

- Poczekaj, Samanto. zaraz ją stamtąd wyciągnę. Samanta przycisnęła głowę do ściany. Minęła chyba wieczność, zanim rozległ się głos Lydii.

- Co się stało mamie?

Zupełnie jakby nic między nimi nie zaszło, Samanta opowiedziała przyjaciółce o skrzepie i zakończyła słowami: - Mama tak okropnie charczy. Strasznie to brzmi.

Milczenie z drugiej strony, a potem ostrożne: - Chcesz, żebym przyjechała?

-Tak.

- Dobra.

Rozłączyła się, zanim Samanta zdążyła cokolwiek dodać. Dziewczyna poczuła się upokorzona. Lydia wcale nie była dzieciuchem ani idiotką. Odebrała telefon, chociaż miała prawo się do niej nie odezwać. Może ojciec ma rację. Może trzeba skorzystać z tej lekcji.

KATHERINE wcale nie miała zamiaru iść na obiad na Nabrzeże. Głupio jej było zostawiać Rachel w takim stanie. Woląca siedzieć przy niej w szpitalu, denerwować się, wspierać ją, walczyć o nią. Ale to właśnie robili Jack z dziewczętami - przy czym Jack świetnie się spisywał. No i byli jej rodziną. Poza tym naprawdę zgłodniała.

Zeszła na dół, wyobrażając sobie, że CJ-7 to snobistyczny sportowy wóz. Tymczasem pod szpitalem czekał staroświecki jeep z pałakiem poprzecznym u góry, bez dachu i okien, z blaszanymi drzwiami.

- No, no - pochwaliła, zapinając pas. - Ale wóz!

Steve uśmiechnął się. - Dzięki. - Wcisnął gaz, samochód ruszył. - CJ to skrót od cywilnego jeepa. Znasz historię jeepów?

- Nie. W szkole kosmetycznej tego nie uczą. Roześmiał się.

- Na akademii medycznej też nie. ich dzieje datują się od czasów drugiej wojny światowej, a dokładnie tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, kiedy wojsko potrzebowało pojazdu zwiadowczego, który wjechałby wszędzie. Legenda głosi, że nazwa jeep pochodzi od GP - *general purpose*, czyli pojazd do wszystkiego. Pierwsze takie jeepy wyjechały na drogi w czterdziestym szóstym. Ale starczy tych szczegółów na dzisiaj.

Jechał powoli - zupełnie jakby delectował się świeżym powietrzem, tak jak ona. Majowe słońce było cudownie ciepłe, bryza znad oceanu pozwalała odetchnąć od sterylności szpitala.

Mimo zapowiedzi, że szybko się uwiną, Steve zaparkował daleko od Nabrzeża, do którego doszli spacerem. Bez lekarskiego kitla wyglądał bardzo swobodnie - sportowa koszula, stare džinsy, adidas.

Idąc wolniutko po molo, mijali liczne sklepiki. Doszli do krańca zakończonego ławą. Steve zostawił tam Katherine, a po chwili wrócił z kanapkami z pieczonym łososiem i mrożoną herbatą. Katherine zjadła wszystko do ostatniego okruszka, bynajmniej niespieszona. Steve bowiem też wszystko zjadł z apetytem, podobnie jak ona.

Kiedy zeszli z mola, podprowadził ją do samochodu.

Nie zapalił od razu, ale odwrócił się do niej i usiadł głębiej w fotelu. -1 co, nie bolało? Roześmiała się.

- Nie, panie doktorze.

- Mówię poważnie. - Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. A potem cicho dodał: - Katherine, jestem porządnym człowiekiem. Możesz mi zaufać. Od dziesięciu lat jestem rozwiedziony. Mam dosyć randek. No więc, jeżeli działam odrobinę szybciej niżbyś chciała, to dlatego, że nie widzę, po co miałbym owijać w bawełnę, kiedy ktoś mi się podoba. A naprawdę mało kobiet podoba mi się tak bardzo jak ty. - Coś zawisło w powietrzu. - Wystarczy jedno twoje słowo, a się zmyję - dodał.

Bardzo chciała powiedzieć mu to słowo, zresztą jakiegokolwiek, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Albo każ mi się zmywać - dodał - albo mnie pocałuj.

- Taki wybór nie jest fair.

- Wiem, że to dość ostre tempo, ale mam pięćdziesiąt trzy lata. Jestem za stary na sztuczki. Chcesz, żebym się zmywał?

-Nie.

- No to mnie pocałuj.

- Dlaczego?

- Bo chcę się przekonać, czy coś między nami iskrzy.

- Cóż za męska odzywka.

- A ponieważ padła z moich ust, absolutnie cię odstręcza.

- Powinna. - Ale tak się nie stało, bo ów mechanizm działał w obie strony. Jeżeli jego pocałunek jej nie rozpali, Katherine nie będzie się już musiała martwić. Mogą zostać przyjaciółmi bez obawy o konsekwencje.

- No dobra - powiedziała i spojrzała na zegarek. - Ale mam tylko minutę. Bo musimy już jechać. - Wyciągnęła głowę, zbliżyła usta do jego ust, rozchyliła je nieco, po czym cofnęła się.

- Czyżbym odstawiała solówkę? Potrząsnął z uśmiechem głową. Jedną ręką objął ją za szyję i wsunął delikatnie palce w jej włosy, drugą objął ją za ramię. Bez pośpiechu przysunął się bliżej, przechylił głowę, znów odczekał chwilę. Już zbliżył usta dosłownie na kilka centymetrów do jej ust, zaczął szybciej oddychać, ale odsunął się, spojrzał przed siebie, odchrząknął i przekręcił klucz w stacyjce. Katherine patrzyła z niedowierzaniem.

- Co ty wyprawiasz?

- Minuta minęła. - Zmienił pozycję w fotelu i wyjechał z parkingu. - Owszem, iskrzy. I czego to ćwiczenie dowodzi?

- Iskrzy? Dla kogo? - zawołała. Dotknęła palcem swoich ust.

- Tak się całujesz? Niczego nie poczułam. Spojrzał na nią twardo, a kiedy nie umknęła przed jego wzrokiem, spojrzał raz jeszcze. Następnie zatrzymał wóz, porwał ją w ramiona i obdarzył pocałunkiem, który doprawdy nie wróżył nic dobrego.

SAMANTA stała przy łóżku Rachel wpatrzona w drzwi. Minęło pół godziny od telefonu do Lydii. Jack siedział z łokciami na barierce łóżka. Miał wzrok wbity w Rachel. Hope rozglądała się po sali. Siedziała po turecku oparta o zagipsowaną nogę Rachel.

W pewnym momencie Hope wyprostowała nogi i zeskoczyła z łóżka. Jej buty uderzyły z hukiem o podłogę. - Przyniosę rzeczy mamy z drugiej sali. Mogą tam umieścić kogoś innego. - Wyszła na korytarz.

- Po co ona to robi? - zdenerwowała się Samanta. - Przecież mama tam wróci, jak tylko lekarstwo zadziała.

Jack wyprostował się.

- Właśnie po to. Żeby los splątał nam figła. Żeby, kiedy tylko wszystko tutaj przyniesiemy, trzeba było przenosić mamę z powrotem. Trzymaj się - rzucił i wyszedł.

Samanta zacisnęła palce na poręczy łóżka. Na samą myśl o balu, ogarniała ją trwoga. Najlepszy był powrót do domu. Ciekawe, ilu ojców zachowałoby się tak wspaniale jak jej tata.

-Sam?

Odwróciła się. W oczach Lydii malowało się to samo przerażenie, jakie ona, Samanta, poczuła, widząc mamę po raz pierwszy w takim stanie.

- Czy lekarze nie mogą nic zrobić? Samanta machnęła w stronę kroplówki.

- Wszystko jest tam. Musimy czekać, aż lekarstwo zadziała.

- Czy twoja mama wie o wczorajszym wieczorze?

- Pytasz, czy to nie jest reakcja na moją opowieść? - nie takiego wsparcia oczekiwała od przyjaciółki. - Nie, Lydio, nie mówiłam jej o tym. Zrobiła to sama z siebie.

- Nie wściekaj się. Na pewno zdenerwowałaby się wczorajszym wieczorem.

Samanta spojrzała na nią. - A co wiesz o wczorajszym wieczorze?

Lydia nie odrywała, wzroku od Rachel.

- Ze poszłaś do lana, ale wyszłaś z Tomem i ubzdryngoliłaś się, aż urwał ci się film, no więc Tom odwiózł cię do domu. Przynajmniej on tak rozpowiada. Czy to prawda?

- Nie, to nieprawda. Wcale nie urwał mi się film, a Tom nie odwiózł mnie do domu. Tak się na mnie rzucił, że mogłabym go oskarżyć o gwałt... tyle że skończyło się na usiłowaniu. Uciekłam, zanim posunął się dalej.

Ubdryngoliłam się? Raczej to on się ubzdryngolił. Przyjechał po mnie mój tata.

Lydia wytrzeszczyła oczy. - Musiałaś po niego dzwonić?

- Chciałam zadzwonić do ciebie, ale nie sądziłam, że się przejmiesz.

Lydia była niemal we łzach. Samanta uwielbiała ją taką.

- Wiesz, ty naprawdę jesteś głupia! - zawołała Lydia. Samanta właśnie miała jej przytaknąć, kiedy weszła Hope z naręczem kart i zdjęć. Za nią Jack z wazonami pełnymi kwiatów.

Samanta wyjaśniła Lydii: - Liczymy, że przekorny los spleta nam figła. Pomożesz nam?

NIEBAWEM zjawili się Steve Bauer i Katherine. Lekarz sprawdził wykres Rachel, monitor, kroplówkę, potem zlecił kolejne badanie płuc.

Po chwili wtoczono niezbędny sprzęt. Jack wysłał wszystkie trzy dziewczynki na spacer w słońcu. On i Katherine czekali na korytarzu.



- Wyjdzie z tego - stwierdziła stanowczo Katherine. - Za dużo ludzi za bardzo się stara, żeby pozostała przy życiu.

- Nie chodzi o to, żeby jedynie pozostała przy życiu. Tylko żeby się obudziła i była zdrowa. Może wyjść z tego w kiepskim stanie. Pytałaś mnie kiedyś, co bym wtedy zrobił. Chybaby mnie to dobiło.

- Odszedłbyś?

- Nie - to była przemyślana odpowiedź. - Absolutnie nie. A kiedy Katherine nie odzywała się, podniósł na nią wzrok.

Patrzyła na niego życzliwie. - C o jest?

- Facet staje na wysokości zadania - oświadczyła, wskazując wzrokiem w stronę sali Rachel. Jack podążył za jej wzrokiem. Zobaczył tylko Steve'a Bauera, który na zmianę pilnował techników i wyglądał do nich dwojga na korytarz. A obok stała Katherine z potarganą fryzurą i ciepłymi brzoskwiowymi policzkami.

- Czyżby coś mi umknęło? - spytał.

Spuściła głowę. - Nie pytaj. To jest taka niestosowna pora.

Nie podzielał jej zdania. - Przydałaby mi się odrobina wytchnienia.

Powiedz coś wesołego.

Uniosła głowę. - Ten facet świetnie się całuje. Co mam robić?

Istotnie, Jack się uśmiechnął. Podobał mu się ten lekarz. Uśmiech znikł mu z twarzy, kiedy zrozumiał, o co jej chodzi. - A, chodzi ci o tamtą starą historię z biustem.

Pokiwała głową. Zrozumiał. Musiało jej być nad wyraz trudno otworzyć się na podobne odrzucenie, które spotkało ją już dwa razy. - Ale przecież biust to tylko niewielka część kobiety. Bardziej niezmienna jest inteligencja. Podobnie jak ciepło i poczucie humoru. A także lojalność. Zobacz, jak Steve uwija się przy Rachel. Wcale nie musi tam być. Jest niedziela. Daj takiemu facetowi wybór między lalunią z naturalnym biustem a inteligentną, ciepłą, wesołą, lojalną, piękną kobietą ze zrekonstruowanym biustem. .. nie ma porównania. Wiesz, gdybym nadal nie był zakochany we własnej żonie, to też startowałbym do ciebie.

RACHEL wciąż nie reagowała na lek rozpuszczający skrzep. Monitor nie wykazywał zauważalnej poprawy w przepływie powietrza w płucach. Lekarz orzekł, że to musi potrwać dłużej.

Jack, siedząc przy niej owego popołudnia, myślał o miłości. Skoro już przyznał, że kocha Rachel, chciał coś zrobić. Chciał wierzyć, że Rachel się obudzi, i chciał, żeby wszystko wtedy było, jak należy. Ale teraz musiał malować. Musiał oprawić obrazy. No i musiał kupić nowy samochód.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

NOWY samochód kupiony przez Jacka był właściwie półciężarówką. Był to potężny pojazd z napędem na cztery koła, wygodny i z klasą. Rachel i dziewczynki zasługiwały na coś najlepszego.

I było go na taki wóz stać. A uprzytomnił to sobie dopiero tamtego wieczoru w pracowni Rachel. Wcale nie zamierzał sprawdzać swoich finansów, lecz podłączył laptop do modemu wyłącznie po to, żeby dokonać przelewu pieniędzy za samochód. Potem zabrał się do oprawiania płócien Rachel. Pomagały mu w tym dziewczynki. Lecz on myślni błędził gdzie indziej. Właśnie ten przelew coś mu podszeptnął. Kiedy więc nadszedł czas, żeby zrobić sobie przerwę, Jack wrócił do laptopa i sprawdził stan swoich kont oraz inwestycji.

Od czasu rozwodu nie oszczędzał specjalnie pieniędzy. Po prostu niewiele wydawał. Po kilku kolejnych połączeniach stwierdził, że jego nieruchomość w San Francisco ma akurat wysokie notowania, czyli że wartość domu znacznie wzrosła.

A zatem był w niezłej kondycji finansowej. Jak na kogoś, kto zaczynał od zera, daleko zaszedł.

Kiedy Hope złożyła głowę na stole w pracowni, wysłał ją do łóżka. Samanta popracowała chwilę dłużej. Kiedy i ona poszła wreszcie do siebie, sześć płócien było niemal gotowych do powieszenia. Już w samotności Jack zabrał się do pracy nad wilkiem. Ów piękny zwierzak leżał na dywanie spłowiałej trawy koloru khaki. Na obrazie widniał zarys czubka łba i całego ciała, a w słońcu błyszczało białe futro.

Skończył o piątej nad ranem. Przespał dwie godziny i obudził się wykończony. Samanta stwierdziła, że jest za bardzo zmęczona,

żeby iść do szkoły. A Hope powiedziała, że chce być z mamą. Przeczesał dłońmi włosy. - Mama wolałaby, żebyście poszły do szkoły, a ja też będę spokojniejszy. Odbiorę was zaraz po szkole. I wtedy pojedziecie do mamy.

Sam wyklócała się w samochodzie, ale on nie ustąpił. Kiedy stanął przed szkołą, nawet nie drgnęła. Jeszcze kilka dni temu nadałaby się w jawnym buncie. Dzisiaj przybrała tylko wyczekującą minę.

Próbował wczuć się w jej stan ducha.

- Z Lydią poszło ci gładko.

- Ale są inni. No i Tom. Umieram ze strachu.

- Rozumiem - westchnął. - Ale im prędzej będziesz to miała za sobą, tym lepiej.

Odgarnęła włosy. - Oto idzie totalna porażka - mruknęła. Otworzyła drzwi i ledwie wysiadła, podbiegła do niej Lydia. Rozległ się trzask zamykania nowych, solidnych drzwi.

Jedną z głowy, pomyślał Jack i spojrzał na Hope. Wydała mu się taka odległa, zapięta bezpiecznie pasem, lecz jakże daleka. Kiedy przyzwał ją gestem ręki, rozpięła pas, przeskoczyła na miejsce pasażera, usiadła.

- Mam dziwne przeczucie - powiedziała cicho, niemal szeptem.

- Przeczucie?

- Chciałabym być z mamą. Tak jak byłam z Ginewrą. Jackowi ścisnęło się serce. Przytulił córeczkę nad dzielącą ich konsolą.

- Ale mama nie umiera - powiedział w jej włosy. - Będziemy walczyć jeszcze bardziej, żeby wyrwać ją z tej śpiączki.

- Ale jak? - spytała cienkim głosikiem.

- Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślimy.

JACK siedział na szpitalnym łóżku Rachel. Gimnastykował jej ręce i nogę. Powiedział jej, że lekarstwo zaczęło działać w miejscach, których nie można zobaczyć, i że jej obudzenie pozostaje tylko kwestią czasu.

- Brzmi to zupełnie jak kurs pozytywnego myślenia - skomentował David Sung od progu. Nie był zbyt postawny, ale garnitury dobrze na nim leżały. Dzisiaj miał na sobie ubranie z popielatej wełny. Wszedł na salę, oparł ręce na poręczy łóżka naprzeciwko Jacka.

- Postanowiłem sam zobaczyć, jak wygląda sytuacja. Może podniosę cię odrobinę na duchu. Jest jakaś poprawa?

Jack westchnął. - Nie, jeszcze nie.

Zapadło milczenie, Jack nie patrzył na swojego współnika. Nie chciał mówić o sprawach służbowych, a tylko one ich łączyły. David odchrząknął.

- Posłuchaj, Jack, nie chciałbym być nietaktowny, ale powiem ci szczerze, że się martwię. Czegoś tu nie rozumiem.

Jack splótł swoje palce z palcami Rachel. Wydały mu się takie nagie. Zastanowił się, co zrobiła z obrączką ślubną.

- Nie powinniśmy byli tracić Boki - powiedział David. - Nie możemy sobie na to pozwalać. Nie chcemy przecież wrócić do projektowania pojedynczych domów, jak to było dziesięć lat temu. Wolałbym nie wracać do tamtego etapu życia. - Ja też nie - zgodził się Jack.

- No dobra, straciliśmy Bocę. Mieliśmy z nią więcej kłopotu niż była warta. Ale musimy zachować Montane i... - zawiesił głos. - Atlantic City.

- A co jest w Atlantic City?

- Nowy hotel - oznajmił z entuzjazmem. - Szum w prasie, wielkie pieniądze. Jack podniósł rękę Rachel i położył ją sobie na piersi.

- No więc jak? - spytał David. - Wchodzisz w to?

Jack podniósł wzrok i pokręcił powoli głową. Miał już dosyć takich projektów. Miał dosyć wyjazdów.

- To już nie dla mnie - powiedział. - Wypisuję się.

- Z czego? - zdziwił się David. - Z firmy?

- A nie o to pytałeś?

- Owszem, ale nie sądziłem, że zaraz złożysz broń. To tak samo twoja firma, jak moja.

- Wiesz - powiedział Jack z westchnieniem - od pewnego czasu nie traktuję jej jak własnej. I to było naszą kością niezgody, prawda? Jest bardziej twoja niż moja. Bo ja stopniowo się wycofywałem.

David wciąż patrzył na niego ze zdumieniem.

- Niezależnie od tego, co się stanie z Rachel - dodał - chciałbym obniżyć loty. Chciałbym reprezentować ludzi, a ty chcesz reprezentować konglomeraty. Pora się rozstać.

- Ot tak, po prostu?

Jack potarł dłonią czoło. - No nie tak, po prostu. Mamy za sobą sporo dobrych lat. Trzeba rozstrzygnąć wiele szczegółów. Podzielić aktywa. - Ale David wciąż nie mógł ochłonąć ze zdumienia. - Dlaczego się dziwisz? Przekonałeś się na własne oczy. Nie jestem na urlopie. To jest moje życie.

David, naprawdę teraz oszołomiony, zapytał ostro: - Masz zamiar otworzyć teraz własną firmę czy co?

- Tego jeszcze nie wiem - odparł Jack podniesionym tonem. David przyglądał mu się dłuższą chwilę, a potem odwrócił się na pięcie. Na odchodnym pokiwał tylko głową i przyspieszył kroku, stukając lśniącymi czarnymi butami.

Dopiero kiedy zniknął mu z oczu, do Jacka dotarł ogrom podjętej przed chwilą decyzji, przygotowując go o wstrząs. Wstrząs, a zarazem ulgę. Naraz zrobiło mu się lżej oddychać.

I wtedy pojął, że nie tylko jemu. Spojrzał na Rachel, nateżył słuch. Charczenie ustawało. Wstrzymał oddech i chcąc się upewnić, czy nie ulega złudzeniom, zadzwonił po pielęgniarkę.

WBIEGL Bauer. Za nim Bates, Winston i wszyscy inni na tym piętrze, którzy zajmowali się Rachel. Na monitorze widać było poprawę dotlenienia. Charczenie zdecydowanie ucichło, siność warg wyraźnie ustąpiła. Wszyscy gratulowali sobie nawzajem. Wprawdzie Rachel nadal leżała w śpiączce, ale w medycynie wszystko jest względne.

Długo po ich wyjściu Jack uśmiechał się, co chwila oddychając głęboko z ulgą. A ponieważ tak długo już się wyczekał, żeby ją uściskać, nie wytrzymał, wsunął jej rękę pod plecy, uniósł ją ostrożnie i przytulił do siebie. Zacisnął powieki na niechcianych łzach i westchnął jeszcze kilka razy z całego serca. Nie wiedział, jak długo trzymał ją w objęciach.

Wcale, ale to wcale się nie spieszył. A kiedy otworzył oczy, obok stała uśmiechnięta Katherine. Bardzo delikatnie oparł znów Rachel o poduszki. - Zadzwonił do mnie Steve - powiedziała. - Był prawie tak samo podniecony jak ja. - Podeszła do łóżka. - To dobry znak.

Lekarze uważali, że medycyna wreszcie zaczęła robić swoje. Jack natomiast uważał, że Rachel zareagowała wsparciem na jego rozmowę z Davidem. Mimo znużenia i zdumienia samym sobą, czuł się jakoś tak szlachetnie.

- Katherine, właśnie rzuciłem robotę.

- Co takiego?

Opowiedział jej o wizycie Davida. - Rozwiązujemy firmę.

- No, no - zdziwiła się i dodała: - Moje gratulacje. Teraz będziesz pracował na własną rękę, będziesz niezależny.

- Owszem. Chętnie pracowałbym w Big Sur, ale to jest teren Rachel. O ile mi wiadomo, ona mnie nie chce.

- Tak myślisz?

- Sam nie wiem, co myśleć, bo ze mną nie rozmawia. Jesteś jej najlepszą przyjaciółką. Sądzisz, że zechciałaby spróbować po raz drugi?

- Spróbować zamieszkać razem? - spytała ostrożnie. - Wziąć znów ślub?

- No właśnie - potwierdził Jack. - Odpowiedz, Katherine. Potrafię znieść prawdę.

Katherine rozłożyła bezradnie ręce. .

- Nie mnie sądzić.

KATHERINE musiała jechać do pracy, Jack musiał zadzwonić do prawnika, a potem odebrać córki ze szkoły. Kiedy wrócili do szpitala, Rachel już przeniesiono na zwykłą salę. Jack odbył drugą rozmowę z prawnikiem, kiedy dziewczynki zajmowały się matką. A potem on sam opowiedział jej o rozwiązaniu firmy. Zawiózł dziewczynki do Big Sur, przygotował im kolację i poszedł do pracowni.

Samanta trochę mu pomogła, a potem wyszła, żeby załatwić kilka telefonów. Jack z ulgą przyjął jej powrót do normalności. Hope pracowała u jego boku, aż przyszedł czas wysłać ją do łóżka. Tego wieczoru Jack oprawił sześć kolejnych obrazów. Dwanaście było już gotowych. Nie mogli robić nic więcej, dopóki Jack nie dokończy pozostałych.

Wybrał płótno przedstawiające wielką czaplę rozpościerającą skrzydła do lotu. Jack miał domalować mroczny cień bagnistych okolic na Florydzie, na których tle siedziało białe ptaszysko. Zabrał się do roboty.

POWINIEN już przywyknąć do budzenia telefonem, ale podskoczył do góry, kiedy we wtorek nad ranem rozległ się jego ostry dźwięk. Podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

-Tak?

- Czy pan McGill? - spytał służbowy głos. - Tu Janice Pierce. Jestem lekarką ze szpitala...

- Co się stało? - przerwał jej, siadając na łóżku.

- Rachel poruszyła palcami rąk i nóg. Być może się budzi. Dziewczynki usłyszały dźwięk telefonu i przybiegły, jeszcze zanim Jack odłożył słuchawkę. Nie minęło pięć minut, a oni byli już w drodze.

Kiedy przyjechali do szpitala, Rachel leżała w pozycji półsiedzącej, wsparta na lewym boku. Nie było żadnych oznak ruchu. Poduszki przytrzymały ją na miejscu. Leżała nieruchomo jak zawsze. Jack, pełen obaw, odgarnął jedwabiste blond włosy z twarzy mizerniejącej z każdym dniem.

- Cześć, Rachel. Cześć, najdroższa. Lekarka powiedziała mi, że się ruszasz. Pokażesz nam?

- Cześć, mamusiu - Hope stała tuż za nim. - To ja. Nie zjadłyśmy nawet śniadania, bo tak się spieszyłyśmy do ciebie.

- Czekaście - zawołała Samanta, wskazując na pościel. - Trzeba sprawdzić jej stopę. Jack odrzucił pościel. Kiedy Rachel ani drgnęła, Jack połaskotał ją w podeszwę. - Mama zawsze miała tam łaskotki - powiedziała zawiedziona Hope. - To niemożliwe, żeby tego nie czuła - rozzaliła się Samanta. - Nadal jest w śpiączce - wyjaśniła Kara, wchodząc na salę. - Ruch nie jest czynnością świadomą. Zwykle przychodzi falami. Okresy aktywności przeplatają się z okresami spoczynku.

- i co teraz? - zapytał Jack damę od sztucznych pereł. - Jak sprowokować ją do dalszego działania?

- Musimy robić to, co do tej pory. Coś jednak działa.

JACK odwiózł córki do szkoły, a potem zawrócił i pojechał do Big Sur. Miał tam pilną sprawę do załatwienia.

Pole przylegające do szosy na południe od Carmel zieleniło się sałatą i karczochami. Łańcuch gór ciągnących się za nim miał kolor musztardowożółty. Granitowe skały po stronie drogi bliżej oceanu przybrały barwę soczystej szarości, niemal stalową jak dachówka pod błękitnym nieboskłonem. Widoczny dalej Pacyfik mienił się morską zielenią, a dalej akwamaryną przechodzącą



w głęboki, ciemny, grafitowy granat. Bezmiar nieba tchnął spokojem i świeżością.

Kiedy Jack zjechał z autostrady w boczną drogę prowadzącą do domu Rachel, poczuł przyływ swojskości. Wsiadł z wozu, przeciągnął się powoli, uśmiechnął, nabrał w płuca świeżego powietrza, aż poczuł ciarki na całym ciele. Następnie zabrał się do roboty. Uwijał się jak szalony. Po kolei wynosił oprawy w ramy płótna do samochodu, który, chwała Bogu, był półcią-żarówką. Kiedy dobrze zabezpieczył już wszystkie dwanaście obrazów przegródkami ze styropianu, zamknął klapę i ruszył do P. Emmeta.

Ben już czekał w galerii. We dwóch szybko wnieśli obrazy do środka i ustawili je pod ścianą obok czekających tam trzech innych płócien. Ben nie ukrywał podniecenia. Podszedł, kucnął przed jednym, odszedł do drugiego, cofnął się.

Jack, nie mogąc dłużej znieść napięcia, zapytał: - No i co? Co pan na to?  
- Moim zdaniem, ona jest wprost genialna - pochwalił Ben. - Uchwyciła wszystko, o co mi chodziło. Bije od nich taka sama siła, jak od tych rysiów. - Zerknął na Jacka. - No i nieźle się pan spisał z tymi ramami. Doceniony, wniebowzięty Jack uśmiechnął się: - Dziękuję.

RACHEL nadal wykonywała drobne ruchy palcami rąk i nóg, czasem drgnęła jej łydka, łokieć albo kolano, ale do wieczora nic się już nadzwyczajnego nie zdarzyło. Kiedy Jack pomagał pielęgniarce z wieczornej zmiany przewrócić ją z boku na bok, Rachel jęknęła. Gdy powtórzyli ten ruch, jęknęła znowu. A potem zamilkła.

W końcu, po usilnych namowach pielęgniarki, Jack pojechał do domu. O jedenastej padł na łóżko i natychmiast zasnął, dopóki Hope nie pociągnęła go za ramię. Powieki miał jak z ołowiu. Z trudem uniósł jedną.

- Pojedziemy autobusem - powiedziała szeptem. Natychmiast się ocknął.

- Nie. Zaraz będę gotów - odparł.

- Wyśpij się - rzuciła Samanta od drzwi. - Dzwoniłam do szpitala. Mama robi te drobne ruchy, ale się nie budzi. Obiecali, że zadzwonią, jeżeli coś się zmieni.

Jack przespał kolejne trzy godziny. Po obudzeniu zadzwonił do szpitala. Rachel nie zrobiła żadnych postępów, ale też nie było pogorszenia. Pielęgniarki były zadowolone.

Popijając gorącą kawę, stanął przed szerokim oknem wychodzącym na las.

Zaczynał się kolejny piękny, spokojny dzień. Rozejrzał się. W domu było tak samo. Pięknie. Spokojnie. Pełno radości życia typowej dla beztrudnej Rachel, którą poznał przed laty. Rachel, z którą się ożenił.

Z tą myślą ruszył do sypialni. Przeszukał toaletkę, stolik nocny, szafę. Przeszukał szafki w kuchni. Przeszukał spiżarnię. Stanął w salonie, podparł się pod boki i zastanowił się, gdzie też ją mogła włożyć.

Jeżeli w ogóle ją zachowała.

Naraz, wiedziony intuicją, ruszył na drugi koniec domu do pokoju Hope. i właśnie tam, wśród panięńskich skarbów, na toalecie stał tłusty skrzydlaty amerek z porcelany.

Podniósł go, przewrócił do góry nogami, odsunął dwie zasuwki ukryte pod skrzydłami. Zdjął tylną pokrywkę, wyjął aksamitną sakiewkę i wysypał jej zawartość na rękę. Wypadły kolczyki z perłami, które Rachel miała na ich ślubie. i obrączka.

JACK i Rachel byli rozwiedzeni. Dlatego Jack czuł się w kwestii obrączki trochę nieswojo. Właściwie nie miał najmniejszego prawa wkładać jej Rachel na palec. Ale coś go koczyło. Wmawiał sobie, że to jej może pomóc. Chciał, żeby ją zobaczyła zaraz po obudzeniu.

Ujął dłoń Rachel, pocałował ją w policzek i wyprostował się. Trzymając jej dłoń przy swojej piersi, rozruszał po kolei palce. Następnie wsunął na jeden z nich obrączkę. Nieważne, że była luźniejsza niż dawniej. Wróciła na swoje miejsce.

Pogłaskał ją kciukiem po twarzy i po ledwie zabliźnionych ranach.

Rachel, gdzie jesteś?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, poruszyła oczami.

Jack nachylił się bliżej. - Rachel? - Za zamkniętymi oczami ruszały się gałki oczne. - Rachel, obudź się. Kochana, tak cię proszę. Wiem, że mnie słyszysz. Otwórz tylko oczy. Otwórz tylko oczy.

Ruch trwał jakąś minutę, a potem ustał.

RACHEL nie poruszyła drugi raz oczami, ale kiedy Jack przywiózł córki, powieki miała uchylone. Leciutko. Prześwitywała tylko kreseczka białek. Jack szalał z niecierpliwości.

- Mamo, wiesz, jak to koszmarnie wygląda? - powiedziała z wyrzutem Samanta.

Hope przekrzywiła głowę, usiłując zajrzeć pod powieki, żeby samej być widzianą. Kiedy się wyprostowała, jej wzrok padł na obrączkę. Spojrzała na Jacka. - Gdzieś ją znalazł? - spytała. - Przysłała ci ją? Zawsze się zastanawiałam, gdzie ona ją trzyma.

- Trzymała ją w ukryciu - powiedział Jack. Patrzył niepewnym wzrokiem po córkach. - Uznałem, że to jej może pomóc. a wam to przeszkadza? Dziewczynki zaprzeczyły. W miarę upływu kolejnych godzin również traciły cierpliwość, ale nie chciały zostawiać matki samej. Wpadł Ben. Zajrzeli Steve i Kara, postukali ją, zbadali, pogadali. Kiedy cindy przewracała Rachel na drugi bok, ta znów jęknęła, a potem osunęła się w tej samej pozycji z tak samo leciuteńko uchylonymi powiekami. Znowu zajrzał Steve.

O dziewiątej został już tylko Jack z córkami. Hope była blada i ziewała, Samanta wpadła w zgryźliwy nastrój, Jack padał z nóg. W końcu o dziesiątej pojechali do domu.

ack usiadł na łóżku i wpatrywał się w ciemność. Myślał

Jo tym, jaki jest zmęczony. Spojrzał na zegarek. Było wpół do pierwszej. Nagle zapragnął wrócić do szpitala, ale tylko zadzwonił i dowiedział się, że Rachel nadal się nie obudziła.

Znów się położył i przespał dwie godziny. Zadzwonił do szpitala, ponownie się położył, tym razem obudził się po trzech godzinach.

Zadzwonił do szpitala. Położył się. Ale wstał i otworzył okno. i wtedy coś poczuł, poczuł Rachel.

Kiedy odwrócił się od okna, w drzwiach stała Hope. Nie odzywała się, tylko trzymała rękę na gałce i patrzyła na niego.

- Czujesz coś? - spytał.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Pokiwała głową.

- Ja też. - Może oboje dostawali już kręćka. Tak bardzo pragnęli czegoś, że to coś ożyło w ich głowach. Wiedział tylko jedno, że już nie zaśnie. - Chcesz tam pojechać?

HOPE siedziała przypięta pasem w poprzek tylnego siedzenia. Samanta zajęła miejsce z przodu, z łokciem na drzwiach, pięścią pod brodą. Minęło dopiero pół godziny od wschodu słońca. Dzień był pochmurny. Ruch znikomy. Żadne z nich się nie odzywało. Kiedy wysiedli z samochodu i weszli do szpitala, Jack usiłował zachować spokój, ale nie miał cierpliwości czekać na windę. Znalazł schody i popędził, przeskakując po dwa stopnie naraz, a dziewczynki truchtały tuż za nim. Wbiegli na piętro Rachel, przemierzili w okamgnieniu korytarz, wpadli na jej salę. Samanta z jego lewej, Hope z prawej. Rachel leżała na wznak, powieki miała lekko uchylone, nie bardziej niż poprzedniego dnia wieczorem. Jack przełknął ślinę. Zawód ścisnął go za gardło. Podeszedł do łóżka i pocałował Rachel najdelikatniej, jak umiał w usta.

- Co się stało, tato? - spytała Hope.

- Pewno chęci przerosły rzeczywistość.

- Na tym właśnie polega starość - utyskiwała Samanta.

Jack odetchnął, po czym przemówił oburzonym tonem: - Rachel, bawisz się z nami w kotka i myszkę. To nie jest fair. - omiótł ją surowym spojrzeniem. Ale coś się w niej zaczęło dziać. Gałki oczne zaczęły krążyć pod powiekami. Między brwiami zarysowała się zmarszczka, jakby malutki mars. i następna. oczy zwolniły tempo. Powieki zatrzepotały. Zamknęły się, ponownie zacisnęły. i z wolna podniosły.

Jack bał się oddychać. Zza pleców doszło go kilka jęków zdumienia, a potem zapadła cisza. Wzrok Rachel utkwiał w jego twarzy i nie odrywał się tak długo, iż Jack zaczął się obawiać, że śpiączka nie ustąpiła. A potem przeniósł się na Hope. - Mamo? - zawołała Hope.

Następnie spojrzenie powędrowało w kierunku Samanty, która szepnęła bez tchu: - o rajuśku.

A kiedy wzrok powrócił do niego, można w nim było wyczytać zdziwienie. Potem Rachel znowu spojrzała na dziewczynki,

uśmiechnęła się. Słabym, lecz bardzo charakterystycznym dla siebie głosem zapytała: - Co się dzieje?

Wydał okrzyk ulgi, a dziewczynki zaczęły cisnąć się jedna przez drugą do łóżka, ścisnąć Rachel, trąkotać i śmiać się jednocześnie. i chociaż Jack czuł takie samo uniesienie i również pragnął ją wyściskać, to dał im pierwszeństwo. Bo to one były najważniejsze - Rachel i jej córki. obudziła się. Wróciła. Z kolejnym okrzykiem radości wypadł za drzwi, żeby obwieścić nowinę lekarzom.

RACHEL ocknęła się ze śpiączki, sądząc, że to kolejny dzień, w którym budzi się z myślą o Jacku, ale zastała go przy sobie naprawdę, z zatroskaną i przejętą miną. Najpierw pomyślała, że coś się stało którejś z córek, ale prawie natychmiast zobaczyła je na skraju swojego pola widzenia, jak zwykle tryskające energią, podobnie jak Jack. Czyżby Big Sur i sześć lat życia bez niego to był zły sen? Nie, to niemożliwe - nigdy w życiu nie zdołałaby sobie wyobrazić takiego lasu, chaty, brzegu oceanu ani tej samotności. Z całą pewnością była rozwiedziona. Ale na jej palcu lśniła obrączka.

Najwyraźniej leżała w szpitalu. A wszystkie osoby bliskie jej sercu znajdowały się obok niej. Na pewno to Jack przywiózł dziewczynki. Tyle że on by nie został. Bo zawsze ją zostawiał. Zdobyła się na uśmiech ze względu na Samantę i Hope.

- Co się dzieje?

Wtem obie dziewczynki, niczym magnetowid po zwolnieniu guzika pauzy, ożyły. Przepychając się przed Jacka, zaczęły ją ścisnąć ze śmiechem, paplać coś o wypadku, którego nie pamiętała, śpiączce, której również nie pamiętała, złamanej nodze, skrzepie krwi.

Nic z tego nie pamiętała. Nie mogła wprost pojąć, że leżała tak przez szesnaście dni - chociaż lekarze i pielęgniarki, którzy nadeszli, żeby ją zbadać, również to potwierdzili.

Dziewczynki trąkotały, że Jack mieszka z nimi w Big Sur, że odwozi je do szkoły, że codziennie przychodzi do szpitala.

Na chwilę przymknęła oczy. Wszystko wydawało jej się mgliste, czuła się wystraszona, a zarazem skołowana. Zapytała, który jest dzień tygodnia i która godzina. Zapytała, dlaczego dziewczynki nie są w szkole.

- Zbyt długo na to czekałyśmy - odparła Samanta. - Tata powiedział, że możemy dzisiaj nie iść.

Pielęgniarka podparła głowę Rachel. Rachel zakreśliło się w głowie, ale to uczucie zaraz minęło. Dziewczynki znów się rozgadały. Samanta wyliczyła wszystkich, którzy ją odwiedzili w szpitalu. Hope opowiedziała jej o Katherine, której wpadł w oko pewien lekarz.

Kiedy Samanta napomknęła Rachel o balu, omal nie pękło jej serce. A kiedy Hope doniosła jej o Ginewrze, rozplakała się.

Jack jak zwykle wyszedł. Do takiego życia zdążyła już przywyknąć, do samotności z córkami. Ale gdy tylko zniknął, rozgadały się znów o nim.

- Przyjechał do nas w środku nocy po wypadku.

- Zrobił nawet trumienkę dla Ginewry.

- Kupił ci nowy samochód, mamó. Na pewno ci się spodoba.

- Oprawił ci obrazy, nie trzeba będzie odwoływać wystawy.

- Od dwóch tygodni nie chodzi do pracy. Chyba się zmienił. Rachel uśmiechała się i kiwała głową. Zanim zdążyła dopytać

się, co znaczy ten tak mało subtelny lobbing, zjawiała się Katherine.

Kochana, słodka Katherine dosłownie spłonęła rumieńcem, kiedy na salę wrócił lekarz, który przedstawił się jako Steve. Czyżby to ten, który według Hope wpadł w oko przyjaciółce? Rachel była pod wrażeniem.

Ale nie o to zapytała najpierw, kiedy wreszcie została sam na sam z Katherine. Pomachała palcem serdecznym. - O co tu chodzi?

- Pytałaś go?

- Nie. Katherine, to tyś zadzwoniła do niego po wypadku?

- Tak - odparła. - Uznałam, że chciałabyś, żeby tu jednak przyjechał.

- Chciałabym? Przecież mnie zawiódł. Wiesz, że nadal mam zadrę w sercu.

- Ale nadal go kochasz. I dlatego masz zadrę. I dlatego zadzwoniłam.

- Czuję tę zadrę, kiedy na niego patrzę.

- A nie sądzisz, że on czuje to samo? Myślisz, że sterczy tu przez szesnaście dni dla własnego zdrowia?

- Czuje się w obowiązku.

- Jemu zależy.

- Ale to jeszcze nie miłość, a gdyby nawet, nie można kogoś kochać i zawodzić go w tak ważnej sprawie - Rachel zamknęła oczy. - Katherine, już to omawialiśmy. Wiesz, co czuję.

- W takim razie zdejmij tę obrączkę - stwierdziła Katherine. Ale Rachel nie zdjęła, bo była za bardzo zmęczona. Poza tym obrączka mogła uchodzić za talizman. Rachel miała ją na palcu, kiedy obudziła się ze śpiączki. Uznała, że zdejmie ją dopiero po powrocie do domu.

TEJ nocy dziewczynki spały jak zabite. Jack wiedział, bo zaglądał do nich co kilka godzin. Ich udręka się kończyła. Były tak podniecone obudzeniem się Rachel, że nie martwiły się o przyszłą rolę Jacka w ich życiu, on natomiast się zamartwiał. Zamartwiał się na śmierć.

W piątek rano pojechał do szpitala sam. Kroplówka Rachel znikła. Jej wilgotne jeszcze włosy pozwijały się w pierścionki, twarz promieniała czystością. Rachel czytała gazetę. Wydawała się taka krucha w obszernej karmazynowej podkoszulce. Obrączkę wciąż miała na palcu, ale zdziwiła się na jego widok.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Lepiej - odpowiedziała. - Gdzie dziewczynki?

- W szkole. Przyjdą po południu. Skinęła głową. - Kiedy wracasz do miasta?

- Nie wiem. Na razie nie wracam. Trzeba ci będzie pomóc.

- Dziewczynki mi pomogą. Za kilka tygodni kończy się rok szkolny.

- Ale to jeszcze kilka tygodni. Chyba że wolisz kogoś innego. Jeżeli wolisz pielęgniarkę, to ci wynajmę.

- Może i tak, skoro musisz wracać do miasta.

Głęboka ciemna dziura wyżerała go od środka. Przecież właśnie powiedział, że nie musi. Czy nie dotarło do niej nic z tego, co mówiły dziewczynki?

- O, świetnie się składa - ucieszył się Steve Bauer, mijając Jacka i podchodząc do łóżka. - Chciałbym, żeby pani się przespacerowała po korytarzu. Jack pani pomoże.

- Jeszcze nie doszłam do siebie po ostatnim spacerze.

- Im więcej będzie pani chodziła, tym prędzej nabierze pani sił i będzie mogła wyjść do domu.

Podał jej rękę. Przyjęła ją z westchnieniem, podciągnęła się do pozycji siedzącej. Kiedy już złapała równowagę, podał jej puchaty pantofel. Wsunęła go na nogę - ale się sztywno zgina, pomyślał Jack. Steve podał jej jedną kulę, pomógł wstać, a następnie drugą. Kiedy już miała obie pod pachami, stanęła ze zwieszoną głową.

- W porządku? - spytał cicho Steve. Jack zazdrościł mu tej intymności. Skinęła głową i uczyniła kilka niezgrabnych kroków.

- Czy to nie za wcześnie? - spytał Jack. Wyobraził sobie, że mogłaby upaść i wyrządzić sobie jeszcze większą krzywdę. Ale Steve mocno ją obejmował, uniemożliwiając wypadek. - Nie wyjdzie do domu, dopóki nie będzie chodzić.

Kiedy doszli do Jacka, lekarz rzekł: - A teraz twoja kolej.

KROCZYLI pomału korytarzem.

- W porządku? - spytał Jack. A po kilku kolejnych krokach: - Trzymasz się? - Kiedy dotarli do końca, pochwalił ją: - Świetnie sobie radzisz - a kiedy byli w połowie drogi na salę: - Już prawie jesteśmy na miejscu. Odpowiadała mu ledwie monosylabami, wyraźnie skupiona na utrzymaniu równowagi. Po powrocie na salę zobaczył, że jest złana potem. Pomógł jej wejść do łóżka, zapytał, czy czegoś potrzebuje.

Pokręciła głową, zamknęła oczy.

Jack poczuł się kompletnie zdruzgotany.

- JAK mama? - spytała Hope, gdy tylko wsiadła z Samantą do samochodu.

- Świetnie - odparł. - Wstała i kuśtykała po korytarzu.

- No i co, rozmawialiście? - zapytała Samanta. Spojrzał na nią zaintrygowany.

- O czym?

- No wiesz, tato - odparła Hope - o różnych sprawach. O twoim mieszkaniu z nami i w ogóle.

- Nie, jeszcze nie. Wasza mama dopiero co wyszła z ciężkiego stanu. Całą energię skupia na wstawaniu z łóżka i jedzeniu. Najpierw musi wrócić do domu.

- A co wtedy? - zapytała Samanta.

- Jak to?



- Zostaniesz?
  - To zależy.
  - Od czego?
  - Od naszej wspólnej decyzji, waszej mamy i mojej - odpowiedział. - Ale najpierw musimy jeszcze przemyśleć sporo innych spraw, więc byłbym wam wdzięczny, gdybyście się nie wtrącały, dobrze?
  - CZYLI tata sterczał tu przez cały dzień? - zapytała Samanta. Byli tam dopiero od pięciu minut. Jack wyglądał przez okno, słuchał, jak dziewczynki opowiadają Rachel o szkole. Usłyszawszy to pytanie, spuścił głowę i czekał.
  - Owszem - odpowiedziała Rachel.
  - Uważam, że powinien z nami zostać - odezwała się Samanta. - No wiesz, kiedy już wrócisz do domu.
  - Porozmawiamy o tym później - westchnęła Rachel.
  - Czyli kiedy? Mamo, to naprawdę przyzwoity facet.
  - Nigdy nie twierdziłam inaczej.
  - Może powinnaś go wysłuchać.
  - Samanto - ostrzegł Jack, odwróciwszy się do nich.
  - Kiedy leżałaś nieprzytomna, przejął wszystkie twoje obowiązki - dodała Hope. - To znaczy robił zakupy, gotował, wszędzie nas woził.
  - Bardzo mu jestem wdzięczna - powiedziała Rachel, nie patrząc na Jacka.
  - Dla ciebie rzucił firmę - wykrzyknęła Samanta.
  - To nieprawda, Sam - sprostował Jack. - Prawda!
- Odwróciła się gwałtownie do niego, aż rozwiały jej się blond włosy.
- Rzuciłem ją z własnego powodu. Z własnego, Sam. Nie dawała mi już tego, co dawniej, i dlatego z niej zrezygnowałem. Nie przypisujcie tego również mamie.
  - W porządku - powiedziała nagle Samanta. - No więc jeżeli ty pojedziesz do San Francisco, to ja też.
  - Samanto - zirytowała się Rachel.
  - Mogłabym przecież mieszkać w dwóch domach.
  - Nie ma mowy - odparł Jack. - Musisz pomóc mamie, a zresztą ja wcale nie będę mieszkał w San Francisco. Przepró-

wadzą się tutaj, bo mi się tu podoba. Jeżeli będę musiał, kupię sobie własny dom.

Co za niestosowna chwila! Cały pomysł nie wypali, jeżeli Rachel go zbojkotuje. Był wściekły, że córki tak go przyparły do muru. To była sprawa między Rachel a nim.

Nie pomógł też fakt, że nagle w drzwiach stanęła Katherine.

Podminowany wybiegł, mijając ją, z sali, a po chwili zrozumiał, że to również nie było najmądrzejsze. Powinien poprosić Katherine, żeby zabrała dziewczynki. Pragnął opowiedzieć Rachel, czym te ostatnie tygodnie dla niego były.

Ale nie zawrócił. Zniechęcony sobą i zły, ruszył korytarzem w stronę rzędu telefonów, żeby zadzwonić do prawnika.

- DLACZEGO nic nie powiedziałaś? - zapytała Samanta.

- Mamusiu, on cię kocha - dodała Hope.

Katherine podeszła do łóżka. - Ej, dziewczyny, mogę porozmawiać z mamą? - oho, ktoś lepszy od nas - rzuciła Samanta i spojrzawszy na matkę z niesmakiem, wyciągnęła Hope z pokoju.

Rachel odprowadziła je wzrokiem. - Szybko przestały się nade mną roztkliwiać.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? - spytała Katherine.

- Ale o co pytasz?

- Dlaczego nie powiedziałaś nic Jackowi.

- o czym?

- o jego rezygnacji z firmy. o przeprowadzce tutaj.

Rachel chciała odtworzyć ich rozmowę, omijając tamtą zadrę.

- A czy on mnie pytał o zdanie?

- To potrzebne ci jest oficjalne zaproszenie? Daj spokój, Rachel. Nie odstępował cię na krok. Wyjdź mu trochę naprzeciw.

- Niby dlaczego? - zawołała Rachel. - A może ja nie chcę, żeby się wprowadzał. No dobrze, dziewczynki są do niego przywiązane, ale Big Sur należy do mnie. Jak on może uważać, że się tak po prostu wedrze?

- Rachel, on cię kocha. Rachel zamknęła oczy i odwróciła się.

- Powiedz mu, że też go kochasz - poradziła Katherine. Rachel bolało serce. - Nie wiem, czy potrafię - przyznała.

- Czego się boisz?

Rachel otworzyła oczy i spojrzała twardo na Katherine.

- Że się od niego uzależnię, a on znów mnie porzuci. Zresztą wcale nie powiedział, że mnie kocha. I tylko mi nie mów, że mi to okazał, bo to nie to samo. Skoro mnie kocha, niech mi to powie. Niech się wychyli i narazi na odrzucenie. Nie postąpiłabyś tak, gdyby ci na czymś naprawdę zależało?

Katherine popatrzyła na nią chwilę dłużej, po czym ruszyła w stronę drzwi, jakby się nagle na coś zdecydowała. Rachel chciała zapytać przyjaciółkę, dokąd idzie, ale nie miała siły.

KATHERINE szła ze spuszczoną głową, nachmurzona. Była sfrustrowana uporem Rachel, wściekła na Steve'a za naleganie, zła na siebie za to, że sama boi się podjąć ryzyko, które właśnie kazała podjąć przyjaciółce.

Była też zła na Jacka. I oto natknęła się na niego przy telefonach.

Jack zadzwonił już tam, gdzie chciał i teraz nie wiedział, co ze sobą począć. Jego życie było w proszku... zarówno zawodowe, jak i osjobiste.

- Co robisz? - spytała Katherine.

Czuł się jak zbity pies. Nie miał siły znosić dźgania z jej strony. odszedł od budki, uniósł rękę i ruszył w stronę windy. - Nie teraz, Katherine.

- Jeśli nie teraz, to kiedy? - spytała, bez trudu dotrzymując mu kroku. -

Powiedziałeś mi, że ją kochasz i że chcesz wrócić do tego małżeństwa.

Dlaczego nie powiedziałeś jej tego.

Zakrył ręką ucho.

- Nie teraz, Katherine.

- No to kiedy? Dlaczego milczysz? Czy nie straciłeś już zbyt dużo czasu?

Niczego się nie nauczyłeś?

Stanął jak wryty i zbliżył twarz do jej twarzy.

- A ty?

Dotknęło ją to do żywego. Przełknęła ślinę, zamrugła.

- owszem - odparła z nagłą pokorą. - Chcę wierzyć, że się nauczyłam.

Przejrzałam się porządnie w lustrze i przyznałam ci rację. Nie powinnam się ich wstydzić. - Przejechała dłonią po piersiach. Przemawiała chyba bardziej do siebie niż do niego. - Czy jestem z nich zadowolona? Nie. Ale mogę z nimi żyć.

opuściła rękę, podniosła na niego oczy i powiedziała stanowczo: -

Spróbuję. Narażę się na odrzucenie, bo może jednak warto.

- Znow obdarzyła go uśmiechem, przeistaczając się ponownie w życzliwą mu osobę, której tak bardzo potrzebował. - A ty? Nie możesz zrobić tak samo?

W jej ustach brzmiało to łatwo. Ponownie zaczął spacerować tam i z powrotem.

- Mówimy o dwóch różnych sprawach.

- Ja mówię o zaufaniu - spokojnie powiedziała Katherine zza jego pleców.

- A gdzie jej zaufanie? Przecież ona wie, że rzuciłem firmę. Wie, że chcę się wynieść z San Francisco. Wie, że przez cały ten czas się nią opiekowałem. A nie zająknęła się ani słowem na ten temat.

Katherine położyła mu rękę na ramieniu. -A jak myślisz, Jack, dlaczego? - postukała się w głowę. - Zastanów się.

Popatrzyła na niego jeszcze przez chwilę, wzięła głęboki oddech i ruszyła korytarzem.

KIEDY Katherine dotarła do dyżurki pielęgniarek i zapytała, czy Steve jest gdzieś w pobliżu, już cała się trzęsła. Siostry nie były pewne, zaczęły wypytywać się nawzajem.

Zadała sobie w duchu pytanie, czy aby ta odwaga nie opuści jej do jutra, gdy nagle Steve Bauer wyłonił się z drzwi w głębi korytarza.

Zauważył ją. Jego błękitne oczy rozpromieniły się, szybko podszedł.

Uśmiech nie schodził mu z twarzy.

- Mógłbyś się wyrwać? - zapytała szeptem.

Zamienił słowo z pielęgniarką za biurkiem, zaprowadził Katherine do windy, nacisnął guziczek na zewnątrz, a potem wewnątrz. Szybko zjechali na dół. Steve wskazał palcem wyjście na dwór, a potem kciukiem długi korytarz. - Chodzi ci o Rachel? - zapytał. Kiedy potrząsnęła przecząco głową, ruszył za kciukiem. Trzymając ją za rękę, zaprowadził korytarzem za róg, do małego pokoiku. oparł się o drzwi, zamykając je w ten sposób od środka.

- Steve, musimy porozmawiać - zaczęła Katherine. - Musisz się dowiedzieć o mnie kilku rzeczy, zanim ten związek posunie się dalej. Zamruczał coś pod nosem.

- Żaden związek - kontynuowała - nie daje gwarancji, bo nikt nie wie, co przyszłość kryje w zanadru. Spójrz choćby na Rachel. jednego dnia żyje zdrowa jak ryba, a drugiego nagle zapada w śpiączkę, i to bez najmniejszej winy ze swojej strony. Wszyscy sądzą, że będziemy tu za tydzień, ale nie możemy mieć pewności. No więc, Steve... ja mam raka piersi.

- Złe użycie czasu gramatycznego - powiedział pewnym siebie głosem. - Miałaś raka piersi. Ale go już nie masz.

- Słucham? - aż ją zatkalo.

- Powinnaś użyć czasu przeszłego. Jesteś wyleczona.

- To ty wiesz?

- Wydawało mi się, że cię skądś znam, kiedy spotkałem cię po wypadku Rachel. Poza tym wciąż witałaś się z personelem szpitalnym, który też cię znał. Dodałem dwa do dwóch i sprawdziłem w aktach.

- Steve, przecież to jest naruszenie tajemnicy lekarskiej - zawołała.

- Możliwe, ale znalazłem się w podbramkowej sytuacji. Wywarłaś na mnie piorunujące wrażenie, a wciąż mnie odtrącałaś. Musiałem poznać powód.

- Dlaczego riiie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

- Nie mogłem. Musiałem się przekonać, czy zależy ci na mnie tak bardzo, że zechcesz się podzielić ze mną tą informacją.

- No więc zależy - przełknęła głośno ślinę. Walczyła ze łzami. - od dawna tak mi nie zależało. ostatnim razem, kiedy tak mi zależało, facet rzucił mnie, gdy tylko się dowiedział.

- Katherine, to nie jest nic takiego. We dwoje łatwo się z tym uporamy - powiedział. Nachylił się i pocałował ją.

JACK czekał, aż Rachel się odezwie. Rachel czekała, aż Jack powie słowo. Następny krok powinien należeć do niego.

Tak mu podpowiadał rozum. Serce natomiast mówiło, że nie może się całkiem odsłaniać przy dziewczętach.

Nadszedł wieczór. Jack odwoził córki do domu. Droga nad Pacyfikiem była skąpana w bursztynowym blasku zachodzącego słońca, które ozłociło dzikie kwiaty, granitowe głazy, kolejne warstwy zieleniących się wzgórz. Było coś wzruszającego w jej pięknie, w cichym szepcie fal.

Powiedz jej, poproś ją, ubłagaj, powtarzały swoje przesłanie kolejne fale.

Przy rzędzie skrzynek pocztowych skręcił z autostrady i ruszył w górę zbocza. Kiedy wysiadł z wozu, las milczał jak zaklęty, tylko wszędzie dokoła niósł się nagłący szept: Powiedz jej, poproś ją, ubłagaj.

Eeech. Staął na ganku wejściowym, odwrócił się do dziewczynek.

- Mogłybyście trochę zostać same?

- Nie jesteśmy już małymi dziećmi - odparowała Samanta stanowczo, ale serdecznie. - A dokąd się wybierasz?

Już wracał do samochodu. - Muszę porozmawiać z waszą mamą.

RACHEL była na granicy łez. Z każdą godziną świadomość wypadku, świadomość własnej śpiączki docierała do niej coraz bardziej. Nigdy nie zajmowała się zbyt kruchością własnego życia, ale trudno jej było teraz odrzucić tę myśl. Poczwała się taką marną istotą. Zwyczajnie - człowiekiem. Ta sprawa zaprzętała jej myśli, no i dziewczynki, i praca, i Jack. Właśnie, Jack. I jeszcze raz Jack.

Wtedy to stanął w drzwiach jej sali, aż serce podskoczyło jej do gardła.

Przełknęła ślinę, lecz ani drgnęła.

- cześć - przywitał się. Po kilku sekundach na progu wszedł do środka. -

Odwiozłem dziewczynki do domu. - Podparł się pod boki, rozejrzał po sali.

Znów spojrzał na nią. - Pomyślałem, że moglibyśmy... - odchrząknął.

- Wiem, że już późno... ale jest... - Wziął głęboki oddech i spytał wprost: - Miałabyś ochotę się przejechać?

Tego się nie spodziewała. Łzy zawisły jej na rzęsach. Coś ją ścisnęło za gardło, a jednocześnie za serce. Kiedy tak stał nad nią, prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, w sportowej koszuli z podwiniętymi rękawami, w wytartych džinsach, z posiwiałymi włosami, taki jakiś niepewny siebie, zmieszany, poczuła, że był jej ogromnie bliski.

- Nie ruszałaś się stąd od dwóch i pół tygodnia - przypomniał jej. - Na dole czeka mój nowy samochód. To nie potrwa długo... Chyba że jesteś za bardzo zmęczona...

- Nie jestem - odparła. Podniosła się, zsunęła ostrożnie nogę w gipsie z łóżka. Koszula nocna opadła jej do kostek. Sięgnęła po kule.

- Jeżeli cię zniosę, to się nie zmęczysz - powiedział tak ujmująco, że znów łzy nabiegły jej do oczu. Otarła je wierzchem dłoni i skinęła głową. Podniósł ją z tą samą delikatnością, która przebijała z jego głosu.

Najpierw była bardzo napięta.

- Niewygodnie ci? - zapytał, niosąc ją do drzwi.

- Dziwnie. - Chciała go objąć mocno za szyję, przytulić twarz do jego piersi, ale się bała.

Nióśł ją korytarzem. Po chwili dostali zgodę na wyjście, znaleźli się na zewnątrz. Wieczór był piękny i ciepły. Na dworze Rachel znów poczuła napływ łez. Nabrała głęboko powietrza, a potem jęknęła, kiedy zobaczyła, dokąd kieruje się Jack. Wysoka lampa halogenowa znakomicie oświetlała samochód.

- Czerwony - zawołała. - Dziewczynki mówiły mi, że jest czerwony. Nie miałam czerwonego wozu od czasu...

- Od tamtego volkswagena, którym jeździłaś, kiedy się poznaliśmy.

Uznałem, że już najwyższy czas.

Oswobodził rękę, żeby otworzyć drzwi i wsadził ją ostrożnie do środka.

- Dlaczego uznałeś, że już czas? - spytała Rachel, kiedy usiadł za kierownicą. Ruszył z parkingu i zdążył minąć kilka przecznic, zanim odpowiedział: - Bo ubóstwiałaś tamten samochód.

Rachel otworzyła okno. Ciepła bryza owionęła jej twarz. Płuca ożyły, złaknione świeżego powietrza.

- Dokąd jedziemy?

- Do P. Emmeta.

Na wystawę! Coś niesamowitego. - O tej porze?

- Jest piątek wieczór. Są otwarci do późna.

- Dochodzi dziesiąta.

- Nieprawda - zaprzeczył Jack. Ale to była prawda. Spojrzał na zegar i zaklął. - Ale i tak pojedziemy. Chcę, żebyś zobaczyła obrazy.

Nie miała siły się z nim sprzeczać. Oparła się o zagłówek i powiedziała tylko: - Jeszcze ci nie podziękowałam za oprawę. Jestem ci taka wdzięczna.

- Wszystko już miałaś przygotowane. Dziewczynki pomogły.

Przekrzywiła głowę, spojrzała na niego. Przez te sześć lat profil wcale mu się nie zmienił. Zawsze uważała, że Jack jest

przystojny. Pod tym względem nic się nie zmieniło. - Dziękuję, że się do nich wprowadziłeś.

Skinął głową, ale się nie odezwał, tylko jechał bocznymi uliczkami Carmel, aż dotarł do galerii. W środku panowały ciemności, nigdzie nie było żywej duszy. Wysiadł, zajrzał przez okno. Zastukał w szybę, podszedł do drzwi, zastukał mocniej.

- Jest stróż - krzyknął do Rachel. Zastukał jeszcze raz, po czym odwrócił się do niej i uniósł zwycięską pięść. Po kilku sekundach do drzwi podszedł mężczyzna, który machał ręką w geście odmowy i kręcił głową.  
- Moja żona jest malarką - powiedział głośno Jack. - Właśnie ma się tu odbyć jej wernisaż. Leżała w śpiączce w szpitalu. Wykradłem ją stamtąd, żeby pokazać jej ekspozycję. Tylko dwie minutki, więcej nam nie trzeba. Mężczyzna rozłożył bezradnie ręce.

Jack podniósł palec, żeby zaczekał. Dwoma susami podskoczył do samochodu, wyniósł Rachel aż do drzwi.

- Widzi pan ten gips? - krzyknął przez szybę. - Człowieku, tu nie ma żadnej lipy.

- Pokaż mi swój dowód tożsamości - spróbowała Rachel. Trzymała Jacka za szyję. Była teraz taka bliska, taka kochana i kruchutka.

- Widnieje w nim moje nazwisko, ale nie twoje - powiedział z żalem. Stróż otworzył drzwi, ale nie przestawał kręcić głową.

- Galeria jest zamknięta. Nie mogę was wpuścić.

- To jest autorka wystawy. Nazywa się Rachel Keats. Niech pan spojrzy. - Jack wskazał na witrynę. - Tu jest informacja. Rachel Keats. Proszę sprawdzić w ulotce. Proszę porównać na zdjęciu. To jej twarz.

Stróż podrapał się w nos. - Bo ja wiem.

Jack pchnął ramieniem drzwi i wniósł Rachel do galerii. Czowała się trochę nie w porządku, ale była podekscytowana.

- Pan Wolf na pewno nie będzie zadowolony - rozległo się utyskiwanie stróża za jej plecami, ale Jack wszedł już na salę ekspozycyjną. W środku panowały ciemności, cisza niemal upiorna. Rachel w jego ramionach wstrzymała oddech, ale wypuściła powietrze, kiedy Jack raptem skrzył i wrócił pod ścianę. Uchwyciła się go mocniej, kiedy wyciągnął rękę, żeby zapalić



łokciem światło. A kiedy lampy rozbłysły, zaniósł ją na środek sali i postawił ostrożnie na podłodze. Stojąc tuż za nią, objął ją w pasie i oparł podbródek na jej głowie.

Ledwie oddychała. Wodziła oczami po sali, nie wiedząc, na czym się skupić, pragnąc ogarnąć wzrokiem wszystko naraz. Zaczęła od rysiów. To był jej ulubiony obraz. Widziała go już przedtem oprawiony i wiszący na ścianie. Ale obok wisiały czaple i szary wieloryb. No i jej samotny wilk arktyczny.

Aż jej dech zaparło. Przecież go nie dokończyła. Podobnie jak przepiórek, jelenia ani wielkiej czapli. - O raju. - Te nury. Nury siedzące o zmierzchu na lustrzanej tafli jeziora. To dzieło Jacka. Nikt inny by tak nie potrafił.

Zrobił to dla niej, i to jak pięknie.

Z oczu trysnęły łzy, piersią wstrząsnął rozdzierający szloch. Odczuła wzruszenie połączone z samotnością, dogłębną potrzebę drugiego człowieka połączoną z lękiem.

Kiedy Jack odwrócił ją do siebie, zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do jego piersi. - Nie płacz, kochana - poprosił. - Błagam cię, nie płacz. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa.

Chciała mu powiedzieć, że zrobił coś tak pięknego, że nie wyobraża sobie, żeby kiedykolwiek mogła czuć się szczęśliwsza. Chciała mu powiedzieć, że go kocha, ale nie mogła powstrzymać łez.

Jeszcze nigdy tak nie płakała. I nigdy do nikogo nie czuła takiej miłości. Poczowała, jak Jack porywa ją w ramiona, jak ją unosi, a już po chwili oboje siedzieli na podłodze. Jack tulił ją do siebie, łagodząc spazmy jej płaczu delikatnym kołysaniem. A potem zaczął powoli mówić.

Z głową pochyloną nad jej głową, głosem błagalnym, ale na tyle donośnym, że docierał do niej przez szloch. - Posłuchaj, uwierz mi, nie wpadłbym na ten pomysł, gdybym nie przyszedł tutaj i nie zobaczył tych rysiów. Ben szalał na ich punkcie, twierdząc, że to twój najlepszy obraz, a mnie się przypomniało, jak pracowaliśmy nad nim razem. On o tym nie wiedział, więc nie poznałby, gdybym to powtórzył. Wierz mi, Rachel, targały mną wątpliwości. Na pewno nie tknąłbym twoich obrazów, gdybyś zaczęła się budzić, ale tak nie było.

Trzymał jej głowę na swojej piersi.

- Marzyłem o czymś - dodał. - Wiesz o czym?

Potrząsnęła głową pod jego ręką, przy jego piersi, zbyt świadoma własnych marzeń i własnych przemożnych pragnień. - Że nadal malujemy razem. Nie chcę sygnować tych prac swoim nazwiskiem. Podpisuj je sama. A ja nadal będę robił projekty, tyle że skromniejsze. Chcę projektować domy dla ludzi, którzy będą się uśmiechali i chwalili mnie za dobrą robotę. Tak jak na początku, ale to już było tak dawno temu, że prawie wyrzuciłem to z pamięci. A za tym, co wyrzuciło się z pamięci, wcale się nie tęskni, dopóki coś nie obudzi tych wspomnień. I właśnie siedzenie przy twoim łóżku, Rachel, obudziło te wspomnienia. Przypomniały mi się różne rzeczy z mojej pracy i z naszego wspólnego życia, które usunąłem z pamięci, bo były tak wspaniałe, a potem znikły. Rachel wiedziała, co to znaczy.

- No więc chcę projektować domy i malować tła do twoich obrazów. Chcę mieszkać w Big Sur i znów być twoim mężem.

Rachel przytuliła się mocniej do niego. Jej łzy zrosiły mu szyję, ale nie odsuwała się, bo tak bardzo czekała na jego pocałunek. Wtedy Jack zbliżył usta do jej ust, przypieczętowując pocałunkiem wszystko, co przed chwilą powiedział. Kiedy się w końcu od niej oderwał, ujął jej twarz w dłonie i szepnął: - Nigdy nie przestałem cię kochać. Nigdy.

- Sprawileś mi zawód - rzuciła oskarżycielskim tonem.

- A tyś mnie rzuciła - odparł jej atak.

- Bo mnie zraniłeś. Musiałam uciec od źródła bólu.

- Nie wiedziałem, że jesteś w ciąży, kiedy do mnie dzwoniłaś.

Powinienem był przyjechać. Strasznie mi przykro, że straciłaś dziecko. To by było coś wspaniałego.

- Tak. - Dawno już opłakała tamto dziecko. To rzeczywiście byłoby coś wspaniałego.

- Nie masz mi za złe, że dokończyłem twoje obrazy?

- Przeciwnie, ogromnie się cieszę. A twój związek z Jill?

- Zerwałem z nią. Wiedziałem, że ten związek nie ma przyszłości. A twój z Benem?

- E, to nie ma znaczenia, nie ma znaczenia.

- Podobają mi się twoi przyjaciele.

- Ty im też. A co zrobisz z domem?

- Sprzedam. Możemy kupić coś większego, ale podoba mi się twój dom.

- Naprawdę? Poważnie? To nie jest czczy komplement?

- Naprawdę. Poważnie. To nie jest czczy komplement.

- A nie przestanie ci się podobać za pięć lat? - spytała, dobrze wiedząc, że Jack mówi poważnie. Przebijało to z jego oczu, z jego miłości.

- Już mieszkałem sam. Pięć, dziesięć, dwadzieścia lat mieszkania z tobą pod jednym dachem znaczy o wiele więcej niż to, co miałem w perspektywie tam... - głos mu się załamał. Oczy zaszyły mgłą. Rachel dotknęła jego ust. - Kocham cię - szepnęła i przypieczętowała to wyznanie pocałunkiem. Wtedy on odetchnął z ulgą, którą i ona odczuła, a następnie utulił ją w drżących ramionach.

Jak spod ziemi wyrósł obok nich stróż.

- Pan Wolf na pewno nie będzie z tego zadowolony. Rachel przyznała mu w duchu rację. Ale uznała, że Ben od dawna podejrzewał, iż czegoś brakuje w jej życiu. A znając jego dobre serce, pomyślała, że powinna ucieszyć go wiadomością, iż znów to coś znalazła.